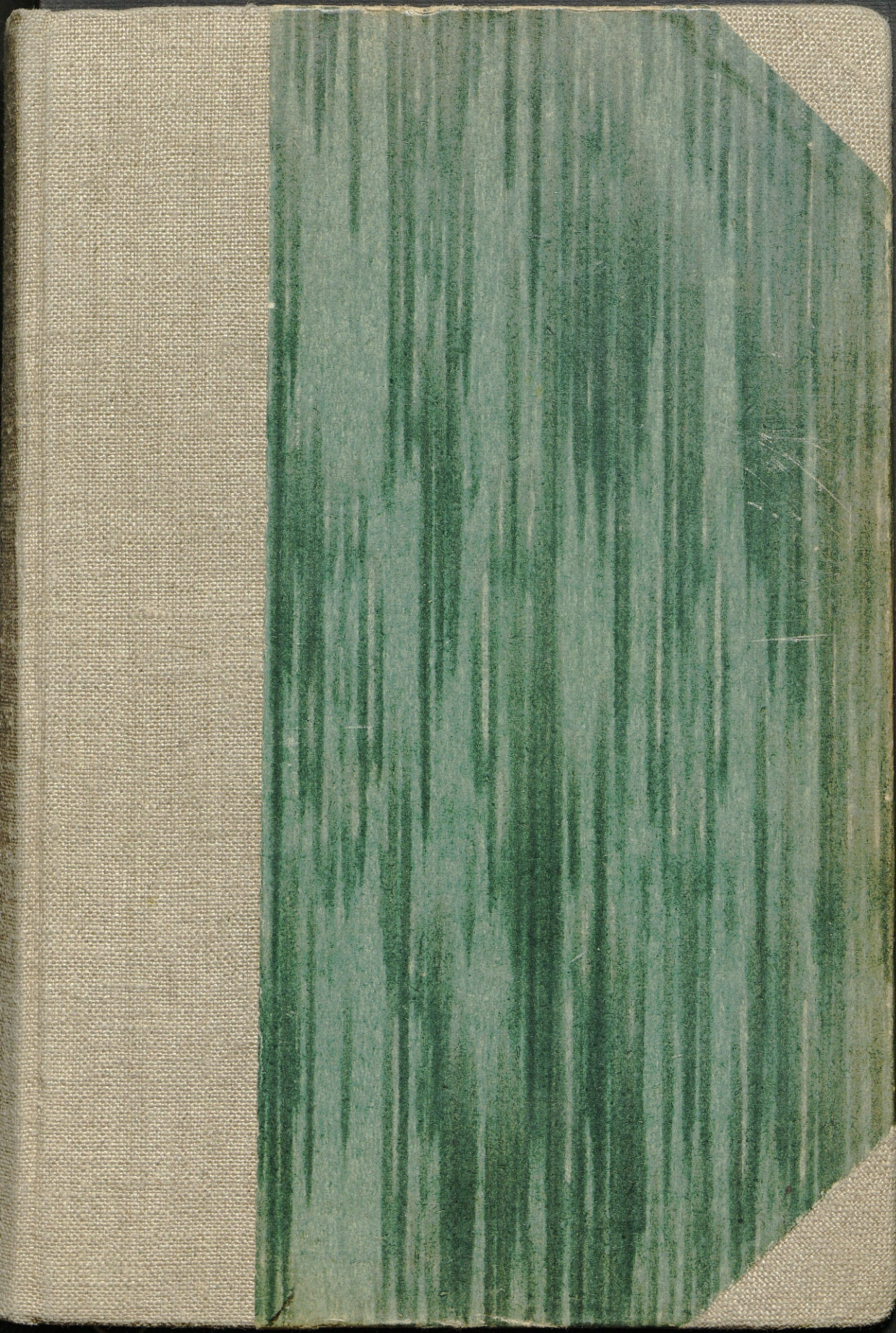


Grey Scale #13



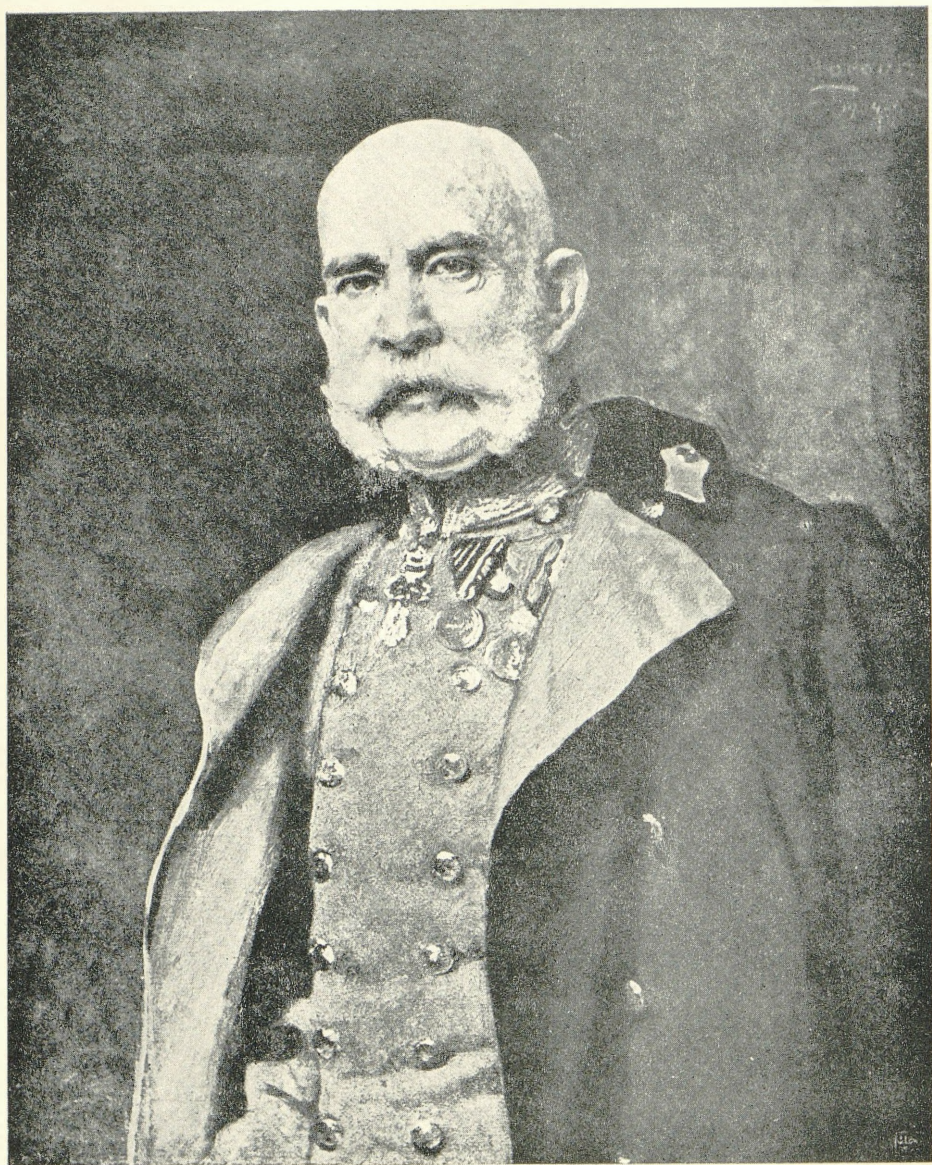
DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





FRANCISZEK JÓZEF



Cesarz Franciszek Józef

Janowi Corci

R. RECOULY

FRANCISZEK JÓZEF

ZMIERZCH CESARSTWA

POWIEŚĆ BIOGRAFICZNA

POWSZECHNA SPÓŁKA WYDAWNICZA „PŁOMIEŃ”

840-3.8/09); 92/ (miejscowe goście)

Autoryzowany przekład
HELENY HELERÓWNY



33454 | 2

Druk. Br. Wójcikiewicz, Warszawa.

ROZDZIAŁ I.

Wstąpienie na tron Franciszka Józefa. — Cesarz abdykuje: cesarz zostaje proklamowany.

Drugiego grudnia 1848 r., w rocznicę bitwy pod Austerlitz, niezwykła scena rozgrywa się w Ołomuńcu, małym mieście na Morawach, w którym schroniła się rodzina cesarska i dwór austriacki, w pośpiechu opuściwszy Wiedeń, stolicę, gdzie rządzą rewolucjoniści.

Już o świcie wezwano nagle do cesarza członków domu panującego, ministrów, dygnitarzy i generałów.

Przybyli właśnie marszałek Windischgraetz i ban Kroacji Jellaczić, którzy wraz z Radetzky'm byli zbawcami monarchii.

Każdy jest ciekaw tajemniczych powodów, dla których zwołano to zebranie.

Nikt nie wie, o co idzie. Cudownym jakimś sposobem zdolano zachować w ścisłej tajemnicy doniosłe wydarzenie, jakie ma nastąpić, a mianowicie zrzeczenie się tronu przez cesarza Ferdynanda na rzecz jego młodego bratanka Franciszka.

Poza dwoma zainteresowanymi, kilka osób tylko jest wtajemniczonych. Obiecały one milczeć. I obietnicy dotrzymały.

Punktualnie o ósmej otwierają się na oścież drzwi sali

tronowej, do której wkraczają arcyksiążęta i arcyksiężne, ministrowie i generałowie.

Potem zjawia się para cesarska w otoczeniu dygnitarzy dworu.

Za nimi idzie brat cesarza, arcyksiążę Franciszek-Karol, żona jego arcyksiężna Zofia, syn ich arcyksiążę Franciszek, przyszły władca.

Cesarz i cesarzowa siadają na fotelach przed tronem, arcyksiążęta zaś i arcyksiężne na krzesłach, ustawionych po obu stronach. Ministrowie i obaj wielcy wodzowie wojskowi stoją przed cesarzem.

„W sali panowała uroczysta cisza” — wspomina jeden ze świadków, hrabia Hübner.

Cesarz Ferdynand, jak zawsze w surducie, niepewnym krokiem wchodzi na tron. Pierwszy adiutant wręcza mu dokument, który cesarz odczytuje głuchym głosem, — mamrocze trochę:

„Względy konieczne skłoniły nas do powzięcia nieodwołalnego postanowienia zrzeczenia się korony cesarskiej na rzecz naszego ukochanego bratanka, Jego Wysokości arcyksięcia Franciszka, którego uczyniliśmy pełnoletnim gdy nasz ukochany brat, a jego ojciec arcyksiążę Franciszek Karol oświadczył, że zrzeka się ostatecznie następstwa”.

Ksiązę Schwarzenberg, głosem wzruszonym, odczytuje deklarację pełnoletności arcyksięcia — który właśnie skończył osiemnaście lat, — akt zrzeczenia się jego ojca i abdykację cesarza.

Gdy ci ostatni podpisali akty, młody cesarz, zbliżywszy się do swego stryja, klęka przed nim, aby otrzymać jego błogosławieństwo. — Niech Bóg cię błogosławi! — mówi Ferdynand. — Bądź dzielny. Chętnie to uczyniłem.

(„Sei brav. Es ist gern geschehen”).

Cesarzowa podnosi nowego władcę, całuje go, długo go tuląc do siebie.

Nikt z obecnych nie może powstrzymać łez.

Tylko cesarzowa dobrowolnie wyzuta z własności, okazuje nieklamana radość. Wygląda uszczęśliwiona i rozpromieniona z powodu tej zmiany, do której bardziej się przyczyniła, niż ktokolwiek inny. Oddawna błagała kierowników monarchii, aby zgodzili się na abdykację konieczną, jej zdaniem, zarówno ze względów osobistych, jak politycznych. Pragnęła życia samotnego, poświęconego wyłącznie praktykom religijnym; przekonana była, że cesarz, człowiek upośledzony na umyśle¹⁾ i w dodatku ciężko chory, jest zupełnie niezdolny sprawować władzę wobec piętrzących się trudności.

¹⁾ Saint-Aulaire, ambasador Ludwika Filipa we Wiedniu, pisze w swych „Pamiętnikach“, że cesarz, przyjmując go na audiencjach, stale przywdziewał wielki krzyż zakonu Ducha Świętego, jakkolwiek Ludwik Filip, wstąpiwszy na tron, zniósł oficjalnie tę odznakę, podobnie jak sztandar i kwiaty lilii.

Podobnie, ilekroć spotykał się z ministrem holenderskim, cesarz rozmawiał z nim zawsze o Belgach, nie wiedząc, że od r. 1830 oddzielili się oni od Holandii i byli narodem niepodległym.

Zegar cesarski, jak słyhać, dziwnie się spóźnia!

Pewnego dnia, gdy jeden z młodzieńskich arystokratów składał mu hołd, cesarz zapytał:

— Zatem pan jest księciem Lobkowitz?

— Tak, Wasza Cesarska Mość.

— Taki młody i już Lobkowitz! — zawołał Ferdynand.

W czasie rozmowy z Metternichem, gdy minister usiłował mu wyjaśnić zawiłą jakąś kwestię, cesarz, który zdawało się słuchał, przerwał mu nagle.

— Czterdzieści trzy! — krzyknął.

Metternich spojrzał na niego zdziwiony.

— Tak, odkąd pan zaczął mówić, na podwórze pałacu wjechały czterdzieści trzy powozy. Ani mniej, ani więcej. Liczyłem je dokładnie.

Nowy cesarz wzruszony, poważny, pełen godności, odchodzi z **mistrzem** ceremonii, po otrzymaniu błogosławieństwa rodziców.

Teraz dopiero wpuszcza się do sali tronowej **wysokich** urzędników i oficerów, którzy czekali w przedpokoju, **nie** wiedząc, co się dzieje.

Heroldowie obwieszczają mieszkańcom „starożytnego i wiernego miasta Ołomuńca” wiadomość o doniosłej zmianie.

Franciszek Józef, w towarzystwie zwycięskich generałów Windischgraetz'a i Jellaczić'a, którzy odzyskali mu stolicę państwa, udaje się do wojsk, witających go owacyjnie.

W kilka godzin później, w ciągu popołudnia, byli cesarz z żoną wyjeżdżają do Pragi, gdzie odtąd mają zamieszkać. Na pusty niemal dworzec odprowadzają ich: Franciszek Józef i jego rodzice. Kilka osób zaledwie przybyło, aby asystować cesarzowi. Smutny to odjazd.

Podczas innej narady, w której brali udział Metternich i Kolowrat, cesarz zawołał nagle:

— Ich hab's! (Mam!)

Ministrowie sądzili, że cesarz sam rozwiązał zagadnienie. Bynajmniej! Szło o muchę, którą zdołał złapać.

Mimo jednak, że był prawdziwym głuptakiem, nie był całkiem pozbawiony rozumu, pewnego zdrowego rozsądku, który od czasu do czasu objawiał się słuszną uwagą, wprawiając w zdumienie rozmówców cesarza.

Zyjąc w swym pałacu w Pradze długo po swym rzeczeniu się tronu (zmarł w r. 1875), w jakieś dwadzieścia lat później, zapytał jednego ze swych gości:

— Jak stoją nasze sprawy we Włoszech?

— Ależ, sire, przecież straciliśmy Włochy!

— A nasze interesy w Niemczech?

— Sire, Niemcy również straciliśmy!

— No, to doprawdy nie wiem poco zrzekłem się tronu — powiedział cesarz. — Jeśli szło tylko o stracenie jednej prowincji za drugą, **mogiem** to zrobić równie dobrze jak mój bratanek!

Pod wrażeniem symbolicznej tej samotności, cesarzowej wyrrywają się słowa krótkie, pełne głębokiej treści i żalu:

— „Jako! Już?”

Pragnęła wprowadzić tej zmiany, oddawna przygotowywała się na nią, ale pomiędzy jej wyobrażeniem a rzeczywistością jest ogromna różnica. Cesarzowa dotychczas była władczynią; teraz dostrzega, że już nią nie jest...

Ta abdykacja, mimo ważne różnice, specyficzne dla czasu i kraju, przypomina jednak pewne wydarzenia z historii monarchii hiszpańskiej — czasu jej rozkwitu, gdy jednoczyła pod swym berłem, oprócz półwyspu, również Niemcy, Austrię, Niderlandy i część Włoch!

Karol V, u szczytu swej potęgi, zrzekł się władzy, aby wycofać się w pustynną samotność Estremadury.

Podobnie Filip II coraz bardziej rezygnował ze świata, aż w końcu zamknął się w smutnym Escorial'u, który zbudował na podobieństwo swoje.

Ale tylko pragnienie samotności i ciszy skłoniło Karola V do zrzeczenia się tronu.

Cesarz Ferdynand zaś jest idiotą, odpadkiem człowieczym. Mógł ostatecznie panować w okresie spokoju i ciszy. Gdy jednak zbliża się burza, potrzeba wodza godnego tej nazwy staje się koniecznością.

Nigdy jeszcze tak młody monarcha nie objął władzy w okolicznościach równie tragicznych. Zdawało się, że państwo chwieje się w swoich posadach.

Na Węgrzech jest bunt. Oficjalnie ogłoszono separację od Austrii. Wystawiono potężną armię, która od szeregu miesięcy — często z powodzeniem — walczy z wojskami cesarskimi. Również Włochy i Czechy buntują się przeciw Austrii.

Sytuację ratują częściowo wielcy wodzowie (Austria ma

to szczęście niespodziewanie, iż jest ich aż trzech w tym okresie): Radetzky we Włoszech, Windischgraetz w Czechach i Jellaczić na Węgrzech. Wojska narodowe odzyskują stolicę państwa, Wiedeń, gdzie rewolucja przez kilka miesięcy świeciła zwycięstwo.

Ile jednak przeszkód napotka na swej drodze nowy cesarz, Franciszek Józef!

Wypadki paryskie w lutym 1848, upadek monarchii w lipcu, to tylko był pretekst do powstania, które rozszerzyło się na całą niemal monarchię. Była to błyskawica, która wznieciła pożar.

Aliści, ognisko nie wygasło.

Co to jest Austria?

Chcąc zrozumieć panowanie i rolę Franciszka Józefa, trzeba wiedzieć przede wszystkim, czym była pod względem geograficznym i historycznym, monarchia, którą ten cesarz miał rządzić tak długo.

Najlepiej można sobie uprzytomnić całokształt tej naddunajskiej Europy, odbywając ponad nią lot w jednym z wygodnych samolotów „Air-France”, które przez Strasburg, Norymbergę i Pragę przybywają do Wiednia, Budapesztu, a potem Belgradu i Bukaresztu.

Gdy tylko się dotrze do wielkiego dorzecza Dunaju, którego naturalne granice stanowią Alpy, a następnie góry Czeskie i Karpaty, przede wszystkim rzuca się w oczy jedność geograficzna i ekonomiczna tej całej połaci.

Jeśli istnieją kraje, jakby stworzone do współżycia i współ-

pracy handlowej, są to niewątpliwie te, z których składała się monarchia.

Tuż u wylotu gór, w miejscu, gdzie rozpoczyna się szeroka równina, powstała wielka stolica. Pochodzi ona jeszcze z czasów Rzymian, a rola jej w ciągu stuleci była polityczna i strategiczna, gdyż miasto to stanowiło jeden z szczytów kultury łacińskiej przeciw barbarzyńcom, których powtarzające się stale na granicach państwa napady przypominały coraz odnawiające się uderzenia fal morskich.

Do niedawna jeszcze odgrywał Wiedeń tę rolę. Pod koniec XVII stulecia, za panowania Ludwika XIV, Wiedeń był zagrożony, obleżony przez Turków.

Niewątpliwie też byłby uległ, gdyby nie przyszły z pomocą posiłki zawezwane z Europy środkowej, a mianowicie z Niemiec i z Polski.

W tej pozycji o niezwykłym znaczeniu, gdyż dominuje ona nad całą Europą środkową, rozwija się ambitna rasa zbieraczy ziemi, obdarzonych apetytem nienasyconym, pragnących rozszerzyć na wszystkie strony swe posiadłości i władzę. Nie można sobie wyobrazić większej łączności i zażyłości pomiędzy stolicą a dynastią.

Nie do pomyślenia jest jedna bez drugiej. Wiedeń niepojęty jest bez Habsburgów, a Habsburgowie bez Wiednia.

Imperium Habsburgów położone jest akurat w punkcie, gdzie rasa germańska zbiega się, — jeśli nie łączy — z licznymi narodowościami Europy środkowej, pozostałymi po inwazjach, które ich sprowadziły, a więc z Czechami, Węgrami i południowymi Słowianami.

Niemiecka była dynastia, i niemiecka była stolica, ale nie imperium, w którym rasa germańska stanowiła mniejszość.

Mnogość i różnorodność ludów, tworzących imperium, jest przeszkodą, zdawałoby się, ich zjednoczeniu. Ale potężne względy geograficzne, polityczne, wojskowe, czynią to zjednoczenie koniecznym.

Wszystkie te ludy, jako że są zagrożone od zewnątrz, zwłaszcza przez Turków muszą być pod jedną władzą i mieć jednakowe ustawy. Z tej jedności tylko czerpią potrzebną im siłę; gdyby tej siły zabrakło, byłiby skazani na klęskę i ulegliby inwazji.

Rolą Habsburgów było realizować politycznie tę jedność i utrzymać w jednym państwie Czechów, Węgrów, Słowian południowych i Niemców austriackich. Ci ostatni, jakkolwiek mniej liczni, przez długi czas mieli przewagę, gdyż opierali się o Niemcy, a święte cesarstwo rzymsko — niemieckie od czasów Karola V zawsze było w rękach Habsburgów.

Cesarz świętego państwa rzymsko — niemieckiego, potem cesarz Austrii, król apostolski Węgier, król Czech, Dalmacji, Kroacji, Galicji i t. d. — oto zaledwie kilka tytułów z pośród wielu, należnych głowom tego znakomitego rodu.

Dopóki rozmaite narodowości tego imperium — istnego płaszcza Arlekina, — godziły się ze swą zależnością od dynastii, dopóty sprawy szły jako tako. Ale w XIX stuleciu, w miarę jak najsilniejsze z pośród nich usiłowały zerwać więzy, monarcha napotykał coraz większe trudności.

Zagadnienie, wobec jakiego stanął, było jednym z najbardziej skomplikowanych, jakie kiedykolwiek władca miał do rozwiązania. Polegało bowiem na tem, aby w państwie zmodernizowaniem, pozornie przynajmniej zapewniającem pewne swobody konstytucyjne, zorganizować współzycie licznych i rozmaitych ras, które dotychczas znały tylko rządy absolutystyczne.

Ale w jaki sposób pogodzić ich stopniowe oswobodzenie się z nieodzowną potrzebą utrzymania władzy centralistycznej, wystarczającej do ochrony monarchii przed wrogami zewnętrznymi?

Dla utrzymania równowagi pomiędzy rozbieżnymi siłami a sprzecznymi koniecznościami, trzeba by człowieka o wielkich zdolnościach, czy też nawet genialnego, wyzbytego wszelkich wspomnień i tradycji przeszłości, — co jednak wydaje się trudne do urzeczywistnienia, nie każdy z nas bowiem, jest — czy chce czy nie chce — materialnym i moralnym synem swych poprzedników.

„Ludzkość — jak powiedział August Comte — stanowią przede wszystkim zmarli”.

Franciszek Józef był niewolnikiem swych wspomnień, zwyczajów i wpływów, które ciążyły na nim od kołyski.

Długa i bolesna tragedia jego życia jest pełna wysiłków i walk, które doprowadziły w końcu do klęski i upadku jego państwa.

Austria — najlepiej można ją w ten sposób określić — jest przede wszystkim pomostem między górami a równiną, między tą niemiecką Szwajcarią, jaką stanowi Tyrol, księstwa Górnej i Dolnej Austrii, a płaskimi krajami dorzecza Dunaju; między Niemcami z jednej strony a Węgrami i Słowianami z drugiej.

I bardziej jeszcze — pomostem między Europą Środkową a Wschodem, który rozpoczyna się już w Budapeszcie — a to nie tylko ze względów historycznych (Węgry przez kilka

stuleci były w rękach Turków) ale ze względu na obyczaje, a zresztą i na niebo, jaśniejsze niż w Europie.

Potężna dynastia, która długi czas odgrywała rolę zjednoczycielki, w miarę możliwości popierała tę łączność, posługując się w tym celu siłą, bogactwem pochodzącym z niezliczonych jej posiadłości, obejmujących część Europy.

Długi szereg pomyślnie zakończonych wojen oraz bardziej niż wojny owocne małżeństwa wzmogły ogromnie jej potęgę.

Ale ta potęga — jest to jej rys charakterystyczny — była wielce niepewna i stale zagrożona.

W dziejach tego państwa widać niemal nieprzerwany szereg powodzeń i klęsk, wznoszeń i upadków, blasków i nędz.

Pod koniec XVII stulecia Turcy oblegają Wiedeń i o mało co nie zagarniają stolicy. W jakieś sto lat później cesarzowa Maria Teresa, ta okazała władczyni, widzi jak na jej państwo napierają zewsząd wrogowie. Napoleon w ciągu kilku lat po dwakroć triumfalnie wkraczał do Wiednia na czele swych zwycięskich żołnierzy.

Poważną przyczyną słabości Austrii jest ogrom jej posiadłości, długość granic, nie ochronionych żadną naturalną przeszkodą i różnorodność rasowa jej ludów.

W żadnym chyba kraju nie odczuwa się tak gwałtownej potrzeby dobrego rządu, jak w Austrii!

Jeżeli rząd taki istnieje i dopóki istnieje, władza centralistyczna pozostała silna, a niebezpieczeństwa z zewnątrz i wewnątrz będą zażegnane. Ale w dniu, w którym tego rządu zabraknie, obawiać się trzeba najgorszych katastrof. Wszystko co w tej monarchii jest sztuczne, nienaturalne, a więc kruche, działa nieuchronnie, t. j. prowadzi do jej rozbioru.



Cesarz Franciszek Józef w roku wstąpienia na tron (1848)



U zwycięzców Napoleona.

Franciszek Józef spędził swe dzieciństwo i część młodości w Austrii „po — napoleońskiej”, którą w krajach naddunajskich zwano „Vormaerz” (z przed marca 1848 r. okresu rewolucji).

Człowiekiem, który wywarł na nim swe piętno, był Franciszek II, ojciec Marii Ludwiki, jeden ze zwycięzców Napoleona. Jeśli można się w ten sposób wyrazić o nie uznającym żadnych zmian rządzie, to nadał on mu kierunek.

Franciszek II czuje instynktowny i, jednocześnie, wyrozumowany wstręt do rewolucji francuskiej. Ona to jest jedyną przyczyną wszystkich tych nieszczęść, jakie spadły na jego ludy i na całą Europę. Należy więc przede wszystkim odwrócić się od jej ducha, od idej rewolucyjnych i wyplenić je w zupełności.

Sprzymierzeni przeciwko Napoleonowi, bezpośredniemu sukcesorowi i przedstawicielowi Rewolucji, wszyscy władcy z woli bożej, którym też udało się go zniszczyć, — nie bez trudu — mają ten obowiązek.

Zwycięzcy ci, a mianowicie car i cesarz Austrii, upojeni swymi sukcesami, przypisują je niewątpliwie swym zasługom i geniuszowi, ale także Opatrzności.

Albowiem monarchia absolutystyczna i z bożej woli powołana, musiała siłą tego faktu, prędzej czy później, przemóc ustrój szkodliwy, przeklęty, jaki panował we Francji rewolucyjnej i napoleońskiej.

A ponieważ absolutystyczna monarchia okazała się w końcu zwycięską, zbytecznie i niebezpiecznie byłoby zmieniać w niej cokolwiek.

Nikt nie był o tem przekonany głębiej, aniżeli cesarz Franciszek II.

Nie szczędził żadnych wysiłków, aby odkazić swych poddanych z „zarazków rewolucyjnych”.

Nad dziennikami, broszurami i wszelką produkcją literacką srożyła się dzika, nielitościwa i co gorsza głupia cenzura, wykonywana przez urzędników policji i przez żandarmów.

Jedynym pismem w języku niemieckim, które ma pewną poczytność, nie jest dziennik austriacki, lecz niemiecka „Allgemeine Augsburger Zeitung”. Wszystkie wiadomości o Austrii ogłaszane są jedynie za zgodą i w porozumieniu z rządem. Gdyby redaktorzy pozwolili sobie na najmniejszą swobodę, gazetę skonfiskowanoby natychmiast i odrazu straciłaby połowę prenumeratorów.

Surowość i głupota były posunięte tak daleko, że nie oszczędzono nawet ksiąg klasycznych, arcydzieł literatury.

Najwięksi pisarze niemieccy jak Goethe, Schiller, Herder, są na indeksie, — czy to całkowicie, czy to w odróżnieniu do dzieł poszczególnych. Podobnie rzecz się ma z tragediami Szekspira, w których występują królowie, — Ryszard II, Henryk IV, Makbet, król Lear, Hamlet zwłaszcza; niebezpiecznie bowiem i nieprzyzwoicie jest pokazywać publiczności, że monarcha może oszaleć.

Ażeby ta nieprawdopodobna proskrypcja była skuteczną, trzeba ogromnie wzmóc działalność policji. Nigdy jeszcze władza policji i inkwizycja nie panowały się do tego stopnia.

Policja stała się najważniejszą instytucją państwową. Wszystko jest pilnowane, kontrolowane i szpiegowane. Otwiera się wszelką korespondencję. Nikt, choćby to był magnat, książę, człowiek rodziny cesarskiej, minister, nie może uchylić się od tej kontroli.

W czasie Kongresu Wiedeńskiego przejmują się za pomocą subtelnych, wyrafinowanych środków doniesienia zagranicznych dyplomatów i ministrów. „Czarny gabinet” wykazuje oszałamiające wprost mistrzostwo. Specjaliści umieją tak zręcznie odkleić i podrobić pieczęcie, że nie ma śladu ich roboty.

Posługując się takimi, ze znajomością rzeczy użytymi środkami, Franciszek II schlebiał sobie, iż uda mu się powstrzymać wszelkie przenikanie i rozwój nowych idei i utrzymać swe państwo w takim stanie, w jakim było w chwili upadku Napoleona.

Polityka zewnętrzna, kierowana przez Metternicha, ma akuratnie ten sam cel, czyli zachowanie przy pomocy wszelkich środków, to znaczy przede wszystkim siły, statutu terytorialnego Europy według recepty Kongresu Wiedeńskiego.

Nigdy zaś nie było statutu bardziej arbitralnego i, pod pewnemi względami, bardziej niedorzecznego.

Na przełomie dwu stuleci.

Franciszek Józef urodził się w r. 1830, gdy Ludwik Filip wstąpił na tron, panować zaś zaczął w r. 1848, kiedy Ludwik Filip został wygnany. Zmarł w r. 1916, dwa lata po wybuchu wojny światowej.

Wystarczy zestawić te trzy daty, ażeby „umiejszczyć” w historii współczesnej jego panowanie i uzmysłwić sobie jego nieprawdopodobną długość.

Gdy był małym dzieckiem, trzymał go na kolanach rodzinny syn Napoleona, król Rzymu. Akwarela Jana Hendera

przedstawia księcia Reichstadtu z przyszłym cesarzem Franciszkiem Józefem i z uroczą dziewczynką z lokami, hrabianką de Salerne, przyszłą małżonką księcia d'Aumale.

To sześćdziesięcioośmioletnie panowanie, jedno z najdłuższych w historii, stanowi jakby przełom dwóch epok, przejście od starej Europy do nowej.

W tym bowiem okresie, od r. 1848 do r. 1916, zaszły poważne zmiany polityczne, gospodarcze i społeczne.

Europa z r. 1830, przed wprowadzeniem kolei żelaznej, była zewnętrznie podobna do Europy z XVIII stulecia.

Ale, gdy wokół Franciszka Józefa wszystko się zmieniło, on sam, pod wpływem wychowania i tradycji, pozostaje prawie niezmieniony.

I w ten sposób zwiększa się jeszcze dystans między nim a jego poddanymi.

Chcąc zrozumieć Franciszka-Józefa, należy spojrzeć na niego nie jako na władcę ludów, lecz jak na pana feodalnego, właściciela niezliczonych dóbr, obejmujących część Europy, — baczny on na najbliższe zdarzenia w swoich posiadłościach, jak np. wydalenie dzierżawcy, zmianę gajowego i t. p. Drobnostki takie mają w jego oczach znaczenie wyolbrzymione.

Wszystko u niego jest na jednym planie. Cesarz dba jednakowo o papiery, gromadzące się na jego biurku — a Bóg jeden świadkiem, wiele ich jest — i poświęca im tyleż czasu, co tamtym błahostkom.

Ilekoć mówi o swych prowincjach i zamieszkujących je ludach, wyraża się: „Moje państwa, moje ludy”. Jedne i drugie stanowią część jego dóbr dziedzicznych, które uważa za swój obowiązek przekazać swym następcom.

Po tragicznym samobójstwie Rudolfa, jego jedyne go bezpośredniego następcy, wyrwał mu się okrzyk znamienny:

„Byłbym chętnie dał dwie prowincje, aby Rudolf nie zginął w ten sposób”.

Uważał, że prowincje stanowią jego własność prywatną, i że ma prawo rozporządzać niemi według swego uznania.

Ambitna matka.

Ojcem Franciszka Józefa był arcyksiążę Franciszek Karol, młodszy brat cesarza Ferdynanda I, człowiek o mentalności mieszczańskiej, pozbawiony jakiejkolwiek ambicji i mało inteligentny.

Jeśli się powie, że spłodził on czworo dzieci, to jest to chyba wszystko, co jest o nim do powiedzenia. Nie zajmuje on żadnego stanowiska, nie odgrywa żadnej roli — nie tylko w polityce, ale i w swej rodzinie.

Natomiast matka Franciszka Józefa, arcyksiężna Zofia, córka króla bawarskiego Maksymiliana I, jest osobistością wybitną. Ma ambicję i energię za dwoje. Jej zawdzięcza syn całą swoją karierę.

Polityka jest jej namiętnością, i to polityka, idąca niemal wyłącznie w kierunku korzyści i ambicji jej rodziny. Umysł miała ciasny, a równocześnie władczy; niezbyt szerokie pojęcie, niewiele zrozumienia, natomiast wielką chciwość i energię, stale wytężoną ku urzeczywistnieniu swych pragnień.

Cesarz Ferdynand jest przecież zidiociał, impotent, więc może i nie powinien mieć potomka; następcą jego będzie brat, mąż arcyksiężnej Zofii. Ale mąż nie ma najwidoczniej ochoty ani zdolności do sprawowania rządów. Tron więc przypadnie w udziale najstarszemu jej synowi, Franciszkowi.

Oto cel, jaki należy osiągnąć. Dla arcyksiężnej Zofii jest to najważniejszą rzeczą w życiu. Nie myśli o niczem poza tem. Wszystko inne schodzi na plan dalszy.

Twierdzono, że była kochanką księcia Reichstadtu, syna Napoleona, który umarł mając dwadzieścia jeden lat i był o pięć lat od niej młodszy.

Ale w pamiętnikach ani w korespondencjach ówczesnych niema niczego co pozwoliłoby stwierdzić, że istotnie tak było. A dwór był podejrzliwy i oszczerczy; śledziłby każdy gest tak eksponowanych osobistości.

Nie ulega tylko kwestii, że pomiędzy synem Napoleona a matką przyszłego Franciszka-Józefa panowała dość wielka zażyłość. Z przyjemnością przebywali razem i często się widywali.

Uczucia, jakie dlań żywiła, były zdaje się uczuciami starszej siostry, nieomal matki, ale nie kochanki.

Ten sentymentalny, romantyczny stosunek arcyksiężnej Zofii, która pozatem nie miała żadnej przygody miłosnej, z „synem człowieka”, jak go zwano, nadaje jednak tej oschłej naturze pewien, niespodziewany, rys świeżości. Ukazuje w nowem świetle i czyni sympatyczniejszą i bardziej zajmującą kobietę, o której mówiono, że jest „jedynym mężczyzną na dworze austriackim”.

Dziecko i żołnierze.

Stosownie do tradycji dworu cesarskiego, bezpośrednio pochodzącej z Hiszpanii, młodego księcia powierza się zaraz po urodzeniu guwernantce, „aja” która aż do szóstego roku

jego życia kontrolować ma wszystko, co dotyczy jego pielęgnacji.

Wybór guwernantki był znakomity. Jest to baronowa Sturfeder, córka szlachcica z dworu wirtemberskiego, który miał dziesięcioro dzieci, ale nie miał pieniędzy. Jednej z jego córek, której naręczony został zabity w czasie wojen napoleońskich, poruczono więc opiekę nad nowonarodzonym arcyksięciem. Ma ona dwadzieścia cztery lata. Świetnie się wywiązuje ze swego zadania. Energiczna i ruchliwa, bardzo potrzebowała tej energii, aby nieustannie i z całych sił walczyć z „Schlamperei”, czyli, z austriacką niedbałością i biernością.

Przyzwyczajają chłopca do wytrzymalności na mroz i na upał. Od początku też wpaja w niego zamięłowanie do porządku, jakimi odznaczał się przez całe życie.

Wzbudza w nim również uwielbienie dla armii i spraw wojskowych. Największą jego radością jest zabawa z ołowianymi żołnierzami. Zaledwie umiejąc chodzić o własnych siłach, już potrafi rozróżnić rodzaje broni i stopnie wojskowe.

Gdy Franciszek ma sześć lat, rozpoczyna się właściwa nauka. Powierzono ją potomkowi rodziny francuskiej, hrabiemu de Bombelles.

Najważniejszą cechą tej nauki jest jej charakter wojskowy.

Władca — a każdy wiedział już od tej chwili, że Franciszek pewnego dnia wstąpi na tron — jest szefem armii. Niezbędnem jest zatem, aby od dzieciństwa przygotowywał się do wykonywania swego zawodu.

Na wszystkich fotografiach z dzieciństwa, Franciszek jest w mundurze.

Wielkie to zainteresowanie sprawami wojskowymi jest w dynastii Habsburgów rzeczą dość nową. W XVIII i na

początku XIX stulecia cesarzowie Józef II, Leopold, Franciszek II, no i mający ku temu największe powody zidiociały Ferdynand, wyręczają się, jeśli idzie o sprawy wojskowe, generałami, którzy niejednokrotnie są cudzoziemcami, jak na przykład ksiązę Eugeniusz.

Ale to wychowanie młodego arcyksięcia dotyczy wyłącznie niemal strony materialnej i pośledniejszej, sztuki woj skowej. Nigdy niema mowy o tym, co Napoleon zwał „boską stroną wojny”, a mianowicie o studiach historycznych i strategicznych. Zwraca się uwagę jedynie na ćwiczenia, parady, kwestie umundurowania, dyscypliny i t. d. na to, co zwie się w Austrii „Gamaschen Dienst” (służba w getrach).

Tem też będzie Franciszek-Józef zajmował się przez całe życie.

Gdy jego szef sztabu wyraził się kiedyś, że chciałby skasować trąby w jakimś pułku piechoty, cesarz, wówczas już bardzo stary, wpada w straszny gniew, niewspółmierny z tak błahą sprawą. Uparcie odmawiał swego przyzwolenia, pomimo wszelkich argumentów. Trzeba aż trzymiesięcznych nieustannych wysiłków, aby wymóc na nim zgodę.

Franciszek-Józef jest poliglotą. Ma wrodzoną zdolność do języków, jak wielu z jego rodaków, w kraju, gdzie trzeba, aby się móc porozumieć, znać conajmniej dwa języki, a często i więcej. Prócz niemieckiego, który znał świetnie (jego nieliczne listy — nigdy nie lubił pisać — wykazują pewne zdolności pisarskie, styl jasny, dobitny i zwięzły), nauczył się francuskiego, którym władał wspaniale, tak samo jak włoskim, czeskim i węgierskim.

W tem wychowaniu szczególnie zwraca uwagę oschłość, przesadna rzeczowość. Napycha mu się głowę mnóstwem wiadomości praktycznych, które są nie bez pożytku, ale wzмага-

ją niepotrzebnie pewne jego wady, przede wszystkim zupełny, niemal brak fantazji i wrażliwości.

Nie uwzględni asię zupełnie sztuki, literatury, poezji, muzyki.

Bierze się pod uwagę wyłącznie cechy utylitarne. Mówi się tylko o tem, co wydaje się w życiu potrzebne; o reszcie, która w rzeczywistości przyczynia się najbardziej do rozwoju człowieka, wogóle się nie wspomina.

Słowem, wychowanie to nie zapełnia bynajmniej istniejących już luk naturalnych. Przyczynia się do zrobienia z przyszłego cesarza człowieka oschłego, bez polotu i ideałów, jakim pozostał przez całe życie.

Franciszek-Józef, jak większość jego poddanych, jest głęboko wierzącym katolikiem; ale jest to katolicyzm szczególny, oryginalny, czysto austriacki.

U tego łagodnego narodu, odznaczającego się pewnym brakiem energii, wesołego, żyjącego beztrósco i rozkoszującego się darami życia, religia jest sprawą naturalną, prostą, bez komplikacji, a tem mniej — subtelności. Jest to uczucie, jakiego każdy doznaje od najwcześniejszego dzieciństwa; jest ono częścią jego istoty, pozostaje raz na zawsze, nie podlega żadnej krytyce, żadnej dyskusji ani żadnej wątpliwości. Ma ono mało wspólnego z dewocją, czy klerykalizmem, znanym w innych krajach.

Franciszek-Józef, tak samo jak jego poddani, jest nabożny, lecz nie jest klerykałem, ani nabożnisiem.

Wstępując na tron w osiemnastym roku życia, jest dobrze zbudowanym, silnym chłopcem; takim samym, o ile nie wyżej stojącym, jak wielu jego rówieśników z wielkich rodów austriackich.

Nieszczęściem tylko jest to, że zbyt wcześnie musi wziąć

na siebie funkcje panującego. W wieku, w którym jego rówieśnicy są jeszcze w gimnazjum, sprawuje on rządy w olbrzymim państwie, sięgającym od Apenin aż po Karpaty.

Odtąd niema on już możliwości rozszerzenia swej wiedzy, ani wzbogacenia swej osobowości. Ma inne troski i zajęcia. Jego dzień jest wypełniony od czwartej rano aż do nocy; nie pozostaje mu ani minuta na rozmyślanie, czy zastanawianie się. Wykształcenie jego zostało wstrzymane przedwcześnie.

Na tem, zdaniem historyka Redlicha, polega pierwsza i być może największa tragedia jego życia, tak pełnego dramatów i tragedyj.

Wychowany w latach 1830 — 1848, gdy nie istniało jeszcze wiele zagadnień — jak np. kwestia narodowości i rozwój idei liberalnych i demokratycznych — nic dziwnego, że później nie troszczył się o nie, wcale, albo bardzo mało. W miarę, jak zaostrzają się te zagadnienia, między cesarzem a jego ludami powstaje straszne nieporozumienie.

Cesarz nie rozumie i nie może zrozumieć fatalnej konieczności, wysuwającej te sprawy na pierwszy plan. Niezłomnie wierzy, że to źli ludzie rozmyślnie zatruwają umysły jego poddanych. Całą winę przypisuje prasie, dziennikarzom, do których przez całe życie czuje istny wstręt. Aż do końca swego panowania nie dopuścił do siebie żadnego dziennikarza, co wydaje się niestychane, jeśli się zważy, jak dziennikarstwo rozwinęło się w ciągu połowy ubiegłego stulecia i jak się wzmógł wpływ prasy.

Powstał stąd jeden z konfliktów pomiędzy nim a następcą tronu, Rudolfem. Rudolf, człowiek o pojęciach nowoczesnych, żywo interesuje się prasą i dziennikarzami. Rozumie, jakie oni mają znaczenie, jak bardzo są użyteczni i jaki wpływ wywierają na opinię publiczną. Jest serdecznie zaprzyjaźnio-

ny z jednym z nich, Maurycym Szepsem. Cesarz, dowiedziawszy się o tem, rozgniewał się na swego syna. Jego niezadowolenie przechodzi w wielki niepokój. Zastanawia się nawet, czy Rudolf, mając takie poglądy, potrafi rządzić monarchią według zasad, przy których on niezmiennie obstawał i które uważał za jedynie dobre i słuszne.

Kapelusze Gesslera, czyli niedołęzny cesarz.

Starszy syn Franciszka II, Ferdynand, brat przyrodni Marii-Ludwiki (Franciszek II miał pięć żon, niemal tyle co Henryk VIII) wstąpił na tron w r. 1835. Był to, jak już wiemy, głuptak.

Taki też sąd wydali o nim, gdy miał dziesięć lat, lekarze nadworni, oświadczając, że przez całe życie pozostanie niedorozwinięty.

Mimo to ojciec ożenił go z normalną, zdrową i w dodatku piękną księżniczką hiszpańską, jakkolwiek każdy wiedział, że Ferdynand nie może być jej mężem. Była dewotką, a przecież, w przystępie szczerości, wyrwał jej się kiedyś okrzyk: „Chciałabym mimo wszystko mieć dziecko, ale tylko córkę, ażeby arcyksiężna Zofia nie była zazdrosną!

Większym jeszcze błędem, zbrodnią niemal było uczynienie z tego głuptaka cesarza; wiadomo było, że nie jest zdolny panować.

Franciszek II powinien był za życia ustalić sprawę następstwa i wyznaczyć na przyszłego cesarza swego młodszego syna, Karola Ludwika, ojca Franciszka Józefa.

Ale cesarz — co jest znamienne — wyobrażał sobie widocznie, że zasada monarchii wystarcza sama przez się, niezależnie od tego, kto ją reprezentuje.

Jest to kapelusz Gesslera, przed którym każdy powinien był pokornie się skłonić — tak, jakby szło o osobę władcy.

Rządy sprawowała więc rada koronna, w której zasiadali dwaj ministrowie: Kolowrat dla spraw wewnętrznych, Metternich dla spraw zagranicznych; przewodniczył arcyksiążę Ludwik, przedstawiciel rodziny cesarskiej, który też, w teorii przynajmniej, miał głos rozstrzygający.

„Rządzić, to rzecz jednego człowieka” — powiedział Napoleon.

Trzech ludzi jest na miejscu szefa, szef nie istnieje. Według określenia jednego z współczesnych była to „monarchia bez monarchy”.

Faktyczne to bezkrólewie, ciągnące się przez trzynaście lat, doprowadziło w końcu do tego, że machina się popsuła, przestała funkcjonować. Działalność czynników kierujących, zamiast obejmować zagadnienia główne, rozprasza się, gubi się w szczegółach, skupia się zwłaszcza na błahych sprawach policyjnych. Niezadowolenie ogarnęło wszystkie klasy społeczne.

Względy natury ekonomicznej zwiększyły zniechęcenie. Państwu groziło bankructwo, co było w tym kraju objawem dość częstym.

Gdy w Paryżu wybuchła rewolucja lutowa, Austria również dojrzała do rewolucji.

Na pierwszy plan wysunęły się dwa postulaty: rząd, bardziej liberalny i demokratyczny, ustępstwa na rzecz poszczególnych narodowości.

Przez pół roku niemal, rządy cesarskie potrafiły utrzymać naród w karchach i tłumić aspiracje, które teraz, z nieprzepartą siłą, utorowały sobie drogę.

Rok 1848, czyli tron zachwiany.

Wydarzenia wiedeńskie w r. 1848 stwierdzają wielkie prawo rewolucyj, mianowicie, że gdy zwyciężają, powodzenie ich wynika nie tyle, z siły rewolucjonistów, ile ze słabości rządu.

Rewolucja wiedeńska jest triumfem słabości, która na swej drodze napotkała nicość.

Gdy tylko zaczęły docierać wiadomości z Paryża, wzmożła się agitacja i podniecenie. Niezadowolenie ogółu kieruje się przede wszystkim przeciw Metternichowi, który nie bez powodu uchodzi za rzecznika absolutyzmu. Okna jego obrzuca się kamieniami.

Na czele ruchu — jeżeli można nazwać to ruchem — stają studenci.

Rząd nie stawia żadnego oporu. Właściwie sam się obalił.

Metternich, czując się osobiście zagrożony, wynosi się szybko w upokarzających okolicznościach. Wyjazd jego wygląda całkiem jak ucieczka. Odwaga zresztą nie stanowiła głównej jego zalety. Wydawał się zdziwiony, niemal osłupiały, gdy na własne oczy ujrzał w stolicy, zazwyczaj tak potulnej, bunt. Jak większość ludzi, stojących wtedy u steru, miał wrażenie, że przeniesiono go nagle na inną planetę. Uciekł haniebnie, razem ze swą zarozumiałą, wyniosłą małżonką, w nędznej dorożce konnej!

Anglicy, którzy bardzo lubią rewolucje... u innych, natrząsali się ogromnie z tego wyjazdu.

Gdyby sam się nie zdecydował na tę ucieczkę, zmusiliby go do niej jego koledzy, ministrowie, oraz niektórzy członkowie rodziny cesarskiej, przede wszystkim arcyksiężna Zofia, szczęśliwa, że tak tanim kosztem może się pozbyć człowieka,

któremu zazdrozczono, nienawidząc go, i z którego z przyjemnością zrobiono kozła ofiarnego.

Powstaje nowy rząd, który czyni znaczne ustępstwa, przyznając rewolucjonistom prawie wszystko, czego się domagali.

Ale, jak to bywa w czasach zamętu, ustępliwość ta nie tylko nie ułagodziła powstańców, ale jeszcze ich podniecała. Bezradny, przerażony dwór postanowił nagle opuścić stolicę. Przeniósł się do Insbruku, między ludność tyrolską, której lojalność i wierność są wypróbowane.

Studenci, czując się odtąd jedynymi panami, tworzą w połączeniu z częścią gwardii narodowej prawdziwy rząd rewolucyjny, składający się z bardzo młodych ludzi, którzy nie mają doświadczenia ani energii, ale za to — głowę nabitą słowami górnolotnymi. Niezaprzeczalny ich idealizm przysłania im istotny stan rzeczy. Są odosobnieni, zagubieni wśród beztroskiej ludności, mniej zajmującej się polityką niż swemi interesami i przyjemnościami; ludność ta jest naogół uczuciowo związana z dynastią i biada nad jej nieobecnością.

Albowiem bez dworu Wiedeń nie jest Wiedniem!

Miasto straciło nagle swą wytworność i elegancję; odrazu zniknęły cylindry i zbytckowne stroje.

Arystokracja przebywa w swych posiadłościach. Synowie jej walczą we Włoszech, w Czechach i na Węgrzech pod wodzą generałów, usiłujących stłumić powstanie.

Wzywany ze wszystkich stron dwór postanawia powrócić 12 sierpnia, spodziewając się, iż dzięki jego obecności wróci porządek.

Cesarz, wysiadłszy z okrętu, udaje się pod ochroną gwardii narodowej wśród entuzjastycznych okrzyków, do swego pałacu w Schoenbrunnie. Pozdrowia tłum z roztargnionym i powściągliwym wyrazem twarzy.

Cesarzowa, „święta męczennica”, jak mówi jeden ze świadków, Hübner, ma łzy w oczach. Również arcyksiężna Zofia z trudem ukrywa łzy. Arcyksiążę Franciszek, przyszły cesarz, zachowuje się spokojnie, zdradzając raczej smutek, aniżeli zniechęcenie.

Ale zaraz po powrocie staje się cesarz więźniem w swym pałacu. Rząd, osłabiony ustępstwami, nie ma właściwie żadnej władzy. Zamiast niego rządzi komitet rewolucyjny. Niejasna ta sytuacja i dwoistość rządu, doprowadzają do większych jeszcze zaburzeń, do słynnego dnia 6-go października, o charakterze wyraźnie rewolucyjnym.

Tego dnia na ulicach Wiednia rozgorzała prawdziwa bitwa między powstańcami a wojskiem. Jeden z batalionów grenadierów przechodzi do rewolucjonistów. Żołnierze opuszczają ministerstwo wojny, siedzibę rządu, której mieli zapewnić bezpieczeństwo.

Ministrowie ratują się jak mogą; uciekają w przebraniu. Jeden z nich, hrabia de Latour, którego napastnicy poznali, został pobity, zmasakrowany i w końcu powieszono go na latarni. Wierne rządowi wojska z wielkim trudem zdołały utrzymać się na linii fortyfikacyj, nie śmiąc wejść do miasta.

Dwórzak drugi decyduje się na ucieczkę. Cesarz i wszyscy członkowie jego rodziny, aby nie zwracać uwagi ludności, któraby ich może zatrzymała siłą, korzystają ze spaceru, by opuścić stolicę i schronić się do Ołomuńca na Morawach, pod opiekę armii. Do Wiednia wrócili pod osłoną bagnetów; ale dopiero gdy Windischgraetz stłumił rewolucję w Czechach, a Jellaczić powstrzymał Węgrów, spieszących na pomoc powstańcom austriackim.

Jednocześnie bowiem z rewolucją we Wiedniu, wybuchło powstanie we Włoszech, w Czechach i na Węgrzech, gdzie

było ono najsilniejsze i pociągnęło za sobą najpoważniejsze następstwa.

Radetzky i Windischgraetz stłumili szybko i z łatwością bunt Włochów i Czechów. Co się jednak tyczy Węgrów, to siły Austrii były niewystarczające do zaprowadzenia tam porządku. Trzeba było wezwać na pomoc wojska rosyjskie, których interwencja uratowała dopiero terytorialną jedność monarchii.

Zniesienie swobód parlamentarnych.

Wśród tego rodzaju bardzo burzliwych i bardzo krytycznych okoliczności wstąpił na tron Franciszek-Józef.

Pozostaje mu jeszcze do odzyskania część państwa, a mianowicie Węgry, które ogłosiły swą niepodległość i walczyły zbrojnie z jego wojskami. Musi on też zakończyć, zlikwidować rewolucję.

Czy nada swemu ludowi konstytucję, jak to uroczyscie przyrzekł, wstąpiwszy na tron?

I na czym właściwie będzie ona polegała?

Jeżeli to będzie zależało od niego, od jego własnej woli, to nie dotrzyma obietnicy i nie będzie żadnej konstytucji; nastąpi poprostu powrót do dawnego absolutyzmu.

W nowowybranym parlamencie zasiada pewna ilość ludzi z charakterem i o dużych zdolnościach: Czesi, Niemcy, Polacy, południowi Słowianie, — z wyjątkiem Węgrów, walczących jeszcze z Austrią.

Parlament sumiennie zabiera się do dzieła; pragnie i spodziewa się stworzyć Austrię konstytucyjną, federacyjną,

w której znalazłoby się miejsce dla różnych narodowości, przy-
czym każda korzystałaby z podstawowych swobód. Zdaniem
jego Austria nie ma racji bytu, nie może istnieć i rozwijać się,
jak tylko pod warunkiem, że uda się osiągnąć kompromis mię-
dzy władzą centralistyczną, tradycyjnymi prawami dynastii
i autonomią, przyznaną poszczególnym narodowościom, z któ-
rych składa się to pstre cesarstwo, to tak zwane wielorakie
państwo.

Podczas gdy pełni dobrych chęci lecz niedoświadczeni po-
słowie zaprzęgają się do niezwykle trudnego zadania, usiłując
zrealizować system konstytucji federalistycznej, kierownicze
osobistości monarchii, Windischgraetz, a zwłaszcza Schwar-
zenberg, myślą tylko o tem, aby zyskać na czasie, zwiększyć
swe siły w miarę jak słabną siły powstańców, a potem — usu-
nąć posłów i parlament, który przejmuje ich odrazą.

Schwarzenberg, mistrz wszelkich szachrajstw, oszukał naj-
pierw cesarzową przed abdykacją jej męża, a następnie —
parlament.

Żona Ferdynanda, jakkolwiek oddawna pragnęła, aby
mąż jej zrzekł się korony, wiązała jednak z abdykacją pewne
bardzo wyraźne warunki. Domagała się aby nowy cesarz miał
władzę równie absolutystyczną, jak Ferdynand, bez jakich-
kolwiek ograniczeń. Oświadczyła to formalnie Windischgra-
etzowi, który przyrzekł spełnienie jej życzeń.

I Windischgraetz, dając tę obietnicę, był zupełnie szcze-
ry. Lecz jego szwagier Schwarzenberg, wtedy już wszechmoc-
ny, pokierował sprawę na swój sposób. W ostatniej chwili
zmienił tekst proklamacji, uzgodniony z cesarzową.

Młody cesarz zapowiada więc w swej proklamacji nada-
nie konstytucji i posłowie Reichstag'u, nieco naiwni, wyra-
żają swoją radość.

Zaledwie jednak parlament się zbiera, przenosi go się nagle ze stolicy do Kromieryża, małego miasteczka na Morawach, gdzie, jak mówiono, będzie mógł spokojnie pracować, obradując zdala od agitacji i zamieszek. Gdyby posłowie mieli trochę więcej energii, mogliby nie zgodzić się na opuszczenie stolicy. Ale ustępują.

Schwarzenberg, aby uśpić nieufność parlamentu, namawia cesarza, ażeby do swego imienia dodał imię Józef, na pamiątkę swego słynnego przodka, znanego z liberalizmu.

Ponadto tworzy rząd, złożony z ludzi, o których wiedział, że hołdują nowym pojęciom.

Ta polityka pełna fint, podstępów i obłudy trwa do chwili, gdy Schwarzenberg wzmocnił swą władzę. Nagle odrzuca maskę. Ucieka się przy tem do brutalnego środka, dokonywa prawdziwego zamachu stanu. Rozwiązuje bowiem parlament i przepędza posłów, jakby to byli lokaje.

Z wyrafinowaniem i perfidią użył do tego najbardziej liberalnego ze swych ministrów, Stadiona, który, acz wbrew sobie, musi słuchać rozkazu! Wszystko co zdołał uczynić, to uchronić od śmierci pewną liczbę posłów, którym pozwolił uciec, wiedząc, że inaczej powieszonoby ich bez namysłu.

W ten sposób załatwiono się z konstytucją i prawami parlamentarnymi. Zduszono konstytucję w zarodku; z posłami postąpiono tak samo, jak z setkami, z tysiącami włoskich i węgierskich powstańców.

Nowy cesarz, zaledwie wstąpił na tron, jawnie pogwałcił uroczystą obietnicę, daną swemu ludowi. Istne to krzywoprysięstwo zaciążyć nad całem jego panowaniem jak grzech pierworodny.

Odzyskanie Węgier.

Wszystko odtąd rozwija się pomyślnie dla Franciszka Józefa. Skutki rewolucji są niemal zatarte. Jeden tylko ciemny punkt: Węgry.

Jest to bowiem kwestia nie przebiegłości lecz siły. Nie wystarcza nawet zręczność, czy dwulicowość Schwarzenberga.

Węgry znalazły wielkiego męża stanu i dzielnego patriotę, Ludwika Kossuth'a, który jest wcieleniem aspiracji swego narodu.

Z chwilą rozpoczęcia rewolucji, przedstawił on, w słynnej mowie program węgierskich rewindykacyj:

„Powiedziałem to, co myślę. Dopóki nasz król (cesarz austriacki jest tylko królem Węgier) nie będzie rządził w formie konstytucyjnej, dopóty nie możemy być spokojni o przyszłość ojczyzny”.

I dodał:

„Z wiedeńskiej kostnicy wydobywają się duszące wyziewy”.

Delegacja, której przewodniczył, udała się do Wiednia celem przedłożenia na piśmie tych żądań, wyrażających uczucia narodu. Ludność zgótowała jej entuzjastyczne przyjęcie. Kossuth domaga się od cesarza jasnej i natychmiastowej odpowiedzi.

Dwór zgadza się początkowo na wszystkie żądania. Na Węgrzech tworzy się rząd konstytucyjny pod przewodnictwem hrabiego Batthyany. Ale z obietnicą cesarza, daną Węgrom stało się to samo, co z obietnicą, daną Austriakom.

I Węgrzy, doprowadzeni do ostateczności, zrywając wszystkie więzy, łączące ich z Austrią, ogłosili swą niepodle-

głość. Franciszek Józef, chcąc się z nimi uporać, musi uciec się do pomocy obcych! Dumny potomek Habsburgów zmuszony jest błagać cara o pomoc.

Mikołajowi I, który gotów jest w to wierzyć, będąc uosobieniem absolutyzmu, przedstawia Franciszek Józef rewoltę węgierską jako stałą groźbę dla zasad monarchii. Twierdzi, że w razie zwycięstwa Węgrów duch rewolucyjny rozszerzy się na kraje sąsiednie, a przedewszystkiem — na Polskę.

Car nie mógł pozostać nieczuły na tego rodzaju argumenty. Bał się wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z rewolucją. Uważał, że z woli Opatrzności powinien tępić idee rewolucyjne, gdziekolwiek by istniały, ażeby siłą bodaj utrzymać Europę taką, jaką uchwalili Kongres Wiedeński. Była to w jego oczach święta misja, — misja, do której był powołany.

Gdy poznał Franciszka Józefa w Warszawie, w niedługi czas po jego wstąpieniu na tron, odrazu poczuł doń wielki pociąg. Żywił dla niego uczucie starszego brata, miał sobie niejako za obowiązek pomagać mu, być jego przewodnikiem i wydobyc go z opresji. Ich stosunki od samego początku przybrały charakter sentymentalny. Tłumaczy to też zawód cara, jego smutek i gniew gdy w kilka lat później Franciszek Józef, zapoczątkowując długi szereg swych niewdzięczności, opuścił go w czasie wojny krymskiej.

Wojska rosyjskie wkraczają na Węgry. Kozackie „sotnie” ukazują się nagle po wsiach i miasteczkach. Są to brodaci, rozczochrani olbrzymi, siejący panikę i walczący dzidami.

Węgry, dostawszy się między Austriaków i Rosjan, muszą się poddać, mimo całej swej waleczności. Ich wódz naczelny, generał Georgey, kapitułuje wobec dowódcy wojsk rosyjskich, Paskiewicza.

Wojna jest skończona. Kossuth opuszcza ojczyznę.

Paskiewicz wysyła swemu panu słynną depeszę: „Węgry są u stóp Waszej Cesarskiej Mości”.

I natychmiast rozpoczyna się bezlitosna, dzika represja, o której okrucieństwie zamało jeszcze się pisało. Obryzguje ona wielką strugą krwi odpowiedzialnego przede wszystkim monarchę i jego rząd.

Georgey, przywódca wojsk węgierskich, uchodzi z życiem dzięki wstawiennictwu Rosjan. Wszyscy inni generałowie oraz prezes rady ministrów, Batthyany, skazani są na śmierć — powieszeni lub rozstrzelani.

Heynau, którego przezwano „hieną z Brescia”, wznieca na Węgrzech straszny terror. Bezprawie i okropności przybierają takie rozmiary, że opinia europejska, zwłaszcza w Francji i w Anglii, jest pełna oburzenia i wstrętu.

Nie sprawiedliwie byłoby twierdzić, że jedynie Franciszek Józef odpowiedzialny jest za te okropności. W znacznej mierze winny jest jego wszechmocny doradca, Schwarzenberg, który, odpowiadając komuś, zalecającemu politykę bardziej humanitarną rzekł:

— Ja, ja, das ist schon gut, aber vorher werden wir ein bisschen hängen. (Tak, tak, to dobrze, ale przedtem będziemy trochę wieszac).

Mąż stanu.

Zrazu wywiera Schwarzenberg przeważający wpływ na cesarza. Wycisnął on niezatarte piętno na duszy Franciszka Józefa i nadał mu kierunek i orientację ostateczną; ukształtował go niejako jak rzeźbiarz swój posąg.

Była to przewaga duszy silnej i energicznego charakteru nad istotą młodą, której brak było znajomości ludzi i doświadczenia życiowego. W tym kraju, w którym nigdy nie istniało wiele wysuwających się na pierwszy plan osobistości, jest Schwarzenberg bardzo ciekawą, bardzo oryginalną postacią.

Ma on pewne cechy prawdziwego męża stanu, a to: bystrą inteligencję, energię, siłę i charakter. Należy równocześnie do XVIII i XIX stulecia.

Jako młodszy syn jednej z arystokratycznych rodzin czeskich, kolejno był wojskowym, dyplomatą, politykiem i pod pewnymi względami przypomina słynnego Moskę z „Klasztoru w Parmie”, jednego z najbardziej zadziwiających i udatych typów Stendhala. Jak Mosca miał odwagę fizyczną, jasność i szybkość decyzji i pozbawiony był skrupułów. Jego amoralność i cynizm czynią z niego bezpośredniego ucznia Machiavel’a, ale Machiavel’a, w którym wyczuwa się wpływ Byrona, wszechmożny w czasach jego młodości.

Rozpocząwszy swą karierę, jako prosty żołnierz w dwudziestym drugim roku życia zostaje pułkownikiem, wstępuje do dyplomacji pod opieką Metternicha; podróżuje, zmienia kochanki, więcej dba o swe przyjemności niż o swoje zadania. Bawiąc w Londynie, oczarowuje jedną z najsłynniejszych piękności londyńskiego towarzystwa, lady Elleborough, która porzuciła rodzinę i męża, ażeby wyjechać z nim do Paryża, gdzie zamieszkali wspólnie. Stosunek ten, który wywołał skandal, trwał kilka lat, ale pewnego pięknego dnia arystokratka angielska opuszcza swego uwodziciela.

Wiedeński Don Juan boleśnie odczuł ten cios. Odtąd stał się bardziej jeszcze oschłym i cynicznym. I zaczął więcej zajmować się polityką, a mniej kobietami.

Gdy rozpoczęły się pierwsze rozruchy rewolucyjne, przebywał we Włoszech. Opuściwszy natychmiast swe stanowisko, udaje się Schwarzenberg do marszałka Radetzky'ego. Dyplomata staje się znów na jakiś czas żołnierzem, zupełnie jak bohater Stendhal'a, który stanął na czele pułku, by zaatakować buntowników.

Stary Radetzky, ujęty jego odwagą, na której odrazu się poznał, wysłał go do Wiednia, aby wspólnie z Windischgraetzem ocalił dynastię i stłumił rewolucję.

Windischgraetz, ujrawszy szwagra po kilkuletniej nieobecności, przekonał się, że jest to całkiem inny człowiek. Zdumiony jego energią i stanowczością wysłał go do Ołomuńca, dokąd schronił się dwór. Poleciał go cesarzowi, a raczej cesarzowej (gdyż cesarz się nie liczył), jako szefa nowego rządu.

Wówczas to pomiędzy arcyksięciem Franciszkiem, przyszłym władcą, a Schwarzenbergiem nastąpiło to, co możnaby nazwać „miłością od pierwszego wejrzenia.”

Arcyksiążę był oczarowany. Uważał Schwarzenberga, który, jakby z nieba mu spadł, za uosobienie bohaterstwa. Olsniewał on go wszystkimi zaletami, jakie przyszły cesarz cenił najbardziej i których sam pragnął dla siebie: niewzruszoną wiarą w posłannictwo Austrii, która z woli Opatrzności spełnić ma świętą misję w Europie środkowej, spokojem oraz energią, które stanowiły uderzający kontrast z przeciętnymi, przerażonymi i drżącymi ludźmi, jakimi tron był otoczony.

Franciszek Józef a hegemonia w Niemczech.

Gdy Węgry uległy, Schwarzenberg zabiera się do Niemiec, gdzie Austria miała prawo, obowiązek i możność odgrywania roli rozstrzygającej.

W jego oczach Austria jest przede wszystkim mocarstwem niemieckim, najstarszym i najznakomitszym ze wszystkich.

Bieg wypadków, stopniowy rozrost, dokonywany w ciągu wieków przez Habsburgów, dzięki wojnom, a bardziej jeszcze — małżeństwom, rozszerzył panowanie Austrii na kraje, w których ludność nie jest rasy germańskiej, jak naprzykład Czesi, Węgrzy, Słowianie i Włosi, którzy ulegli jej sile przyciągającej.

Ale tę siłę zawdzięcza Austria swemu niemieckiemu charakterowi, temu, że jej władcy w ciągu wieków nosili wspaniały tytuł „Cesarza świętego imperium rzymsko-germańskiego,” który był tytułem Karola Wielkiego.

Następstwa rewolucji r. 1848 dały się odczuć i w Niemczech. Znalazły one wyraz w domaganiu się reform liberalnych, konstytucyjnych oraz w bardzo wyraźnej potrzebie jedności.

Wybrano parlament, złożony z przedstawicieli różnych krajów, którzy zebrali się w Frankfurcie. Pomiędzy stronnikami obu najpotężniejszych państw, Austrii i Prus, natychmiast rozgorzała walka.

O ile by jedność niemiecka stała się faktem — a każdy czuł, że była nieunikniona, wszyscy niemal jej pragnęli — to nastąpiłaby pod wpływem i moralnym oraz materialnym autorytetem Austrii i Prus.

Austria wydawała się znacznie silniejszą; ale wyższość ta była raczej pozorna.

Prusy były czysto niemieckim, skupionym w sobie narodem.

Austria natomiast obejmowała mnóstwo ras i ludów, co stanowiło wieczne źródło rozdzźwięków i słabości.

Wreszcie i przede wszystkim Prusy, miały to szczęście, że miały w owej chwili wybitnego męża stanu, jednego z największych, jacy kiedykolwiek istnieli: Bismarcka. Jego rola historyczna wtedy właśnie się zaczyna.

Wybrani po rewolucji posłowie niemieccy, natychmiast po zebraniu się w Frankfurcie, ofiarowują koronę cesarską królowi pruskiemu, stoczywszy długą walkę ze zwolennikami Austrii.

Król pruski Fryderyk Wilhelm IV uparcie odmawia przyjęcia tej korony, tak samo, jak początkowo nie chciał jej brat jego, w Wersalu w r. 1871, po zwycięstwie nad Francją. Nie pragnął władzy danej przez zgromadzenie rewolucyjne. Przepojony uczuciami dynastycznymi, uważał, że przyjęcie korony, która jego zdaniem należy się domowi Habsburgów, byłoby z jego strony hańbiącym, wielkim błędem.

Walka Habsburgów z Hohenzollernami przechodzi z rąk ludu niemieckiego w zakres dynastycznych i dyplomatycznych intryg między rozmaitymi dworami niemieckimi.

Schwarzenberg ma swój pomysł, swój plan.

Gdy tylko Austria po klęsce Węgier odzyskała siłę i znaczenie, Schwarzenberg stara się spieszenie pokazać tę siłę przez odrodzenie dawnej niemieckiej Federacji w Frankfurcie — w takiej formie, w jakiej istniała przed r. 1848, — złożona z delegatów nie narodów, lecz książąt. Solidnie podpierana przez

Austrię, Federacja ta stanowić ma potężną ligę przeciw Niemcom północnym i środkowym, podległym wpływowi pruskiemu.

Na konferencji w r. 1850 w Ołomuńcu, Prusacy muszą ustąpić. Boją się armii austriackiej, a jeszcze bardziej — interwencji cara. Car w sporze tym jest w zupełności po stronie Franciszka-Józefa przeciwko królowi pruskiemu, któremu zarzuca, że z braku odwagi nie zniósł konstytucji.

Współzawodnictwo pomiędzy Austrią a Prusami idzie tak daleko, że w jesieni 1850 r. w obu tych państwach mobilizuje się armię.

Schwarzenberg nie lęka się walki, przeciwnie, jest zdecydowany wypowiedzieć wojnę Prusom. Trzeba przyznać, że dla Austrii sytuacja nigdy jeszcze nie była tak korzystna. Dzięki swej sile odzyskała ona jedność. Na jej czele stał człowiek energiczny; była pewna pomocy Rosji. Nadarzała się jej jedyna w swym rodzaju sposobność załatwienia raz na zawsze ze swym rywalem, Prusami, sprawy hegemonii w Niemczech”.

Ale Austria nie wyzyskuje tej sposobności. W ostatniej chwili, gdy wojna już miała wybuchnąć, zapobiegły jej wszechmożne wpływy dynastyczne.

Dwory wiedeński i berliński łączyły więzy rodzinne. Królowa pruska była siostrą matki Franciszka Józefa, arcyksiężnej Zofii. Król Fryderyk Wilhelm IV napisał do Franciszka Józefa bardzo uniżony, błagalny niemal list, prosząc go, aby wysłał Schwarzenberga do Ołomuńca. Była to ostatnia próba przed zbrojnym starciem.

Cesarz, ulegając wpływowi matki, wbrew woli Schwarzenberga, uważającego rokowania za zbędne i pragnącego użycia siły, decyduje się w końcu dać królowi pruskiemu to zażądanie. Pierwszy to raz postępuje cesarz nie po myśli swego potężnego ministra. Konferencja w Ołomuńcu zapo-

biegła konfliktowi. Nie mniej stanowiła ona pewne zwycięstwo dla Austrii, która zmusiła Prusy do ustępstwa.

Wszystko, zdaje się, wspaniale się układa dla młodego cesarza Austrii. W niespełna dwa lata po jego wstąpieniu na tron, sytuacja, zarówno zewnętrzna, jak wewnętrzna, przeobraziła się na jego korzyść.

Franciszek Józef zastał zamieszki rewolucyjne; połowa ludności skierowała broń przeciw niemu. Obecnie powróciło znów posłuszeństwo. Władza cesarza jest silniejsza, niż kiedykolwiek. Również Prusy zmuszone są ustąpić.

Wtedy to spotyka Franciszka Józefa pierwsze jego nie-szczęście: Schwarzenberg, główny twórca tego odrodzenia, umiera nagle w kwiecie wieku, mając zaledwie pięćdziesiąt lat.

Austria traci w nim swego najlepszego, można nawet powiedzieć jedyne go męża stanu.

Strata ta zaś jest tym dotkliwsza, a jej konsekwencje tym poważniejsze, że właśnie na horyzoncie politycznym wschodzi gwiazda Bismarcka, dotąd całkiem nieznanego. W rok później w r. 1851, Bismarck zostaje wysłany w charakterze pruskiego ambasadora do parlamentu w Frankfurcie.

Po śmierci Schwarzenberga niema w Austrii nikogo, kto mógłby się zmierzyć z tym nieustraszoną, groźnym przeciwnikiem.

Absolutyzm Franciszka Józefa.

Franciszek Józef miał dużo szczęścia od początku swego panowania.

Dzięki energicznym i inteligentnym doradcom, jakich zna-

laż, i dzięki pomocy cara, zdołał zjednoczyć pod swą władzą wszystkie ludy swego państwa. Sądził wobec tego, że jego władza jest nieograniczona.

I po śmierci Schwarzenberga postanawia, że nikomu nie powierzy jego zastępstwa.

W grudniu 1851 r., cesarz „nadaje” konstytucję, stanowiącą istny zamach stanu. Nie wielka swoboda pozostająca jeszcze w jego państwie, jest zniesiona. Powraca rząd bardziej absolutystyczny i scentralizowany, aniżeli przed r. 1848. Znosi się prawa Czechów, Węgrów i Kroatów.

Odtąd kierują Austrią trzy potęgi, których działanie zresztą miała długi czas przetrwać: cesarz, armia, biurokracja.

Osobistości kierownicze uważają po za tym za wskazane wprowadzić w ruch czynnik duchowy: religię. W r. 1853 podpisany jest konkordat nadający kościołowi ogromne znaczenie i uprzywilejowane stanowisko w państwie.

Wszystko zatem zdawało się, układa się świetnie. Nad państwem znów zawisło jak by senne odrętwienie.

Ale nikt właściwie nie jest zadowolony. Wszyscy cierpią mniej lub więcej, lecz milczą.

ROZDZIAŁ II.

Małżeństwo. — Sielanka w zdrojowisku.

Po wstrząsie rewolucyjnym Wiedeń znów staje się miastem, które tańczy. Nieustannie odbywają się bale, a młody cesarz jest najlepszym i najbardziej zapamiętałym tancerzem. Tańczy niezmordowanie walca z młodymi pięknościami dworskimi, podczas gdy dumna z jego powodzenia matka śledzi go rozpromienionym wzrokiem.

Ciesząc się nim, jest zarazem dumna z siebie. Czyż nie ona pokierowała triumfalną karierą syna — tak że wstąpił na tron, i na jaki tron!

Trzeba jeszcze tylko dokończyć dzieła, poszukać i znaleźć mu żonę. Znając energię i przedsiębiorczość arcyksiężnej Zofii można być pewnym, że jej się to uda.

Pochodząc z Bawarii i będąc z tego dumną powiedziała sobie, że żadna z księżniczek dworów europejskich, wśród których można było dokonać wyboru, nie dorównywa księżniczkom bawarskim.

Jedna z jej własnych siostr miała dwie córki, z których starsza była w wieku odpowiednim do zamążpójścia.

Nazywała się Helena. Stosownie do przyjętego w środku

wej Europie, a zwłaszcza w Austrii i Bawarii zwyczaj, nazywano ją imieniem zdrobniałym „Nene”.

Młodsza, Elżbieta, zwana była „Zizi”.

Nene i Zizi były więc ciotecznymi siostrami Franciszka Józefa. Bliskie to pokrewieństwo, mimo, że pod pewnymi względami miało strony ujemne, bynajmniej jednak nie przeszkadzało planom arcyksiężnej. Bez wahania przeszła nad nim do porządku dziennego.

Kilka miesięcy przed wstąpieniem na tron, Franciszek Józef spotkał się po raz pierwszy z Nene i Zizi w Insbrucku, w czasie przymusowego pobytu w tyrolskiej stolicy rodziny cesarskiej, wygnanej z Wiednia przez rewolucję. Ale obie księżniczki były wtedy jeszcze dziećmi.

W pięć lat później, plany arcyksiężnej Zofii, wszechmożnej na dworze (otoczenie zwało ją „Unsere Kaiserin”, — nasza cesarzowa) stały się możliwe do urzeczywistnienia. Matka obu księżniczek, księżna Ludwika, godziła się oczywiście, zachwycona tym, że będzie matką cesarzowej.

Spotkanie miało nastąpić w Ischlu. Ischl, który później stał się znanym uzdrowiskiem, dzięki częstym odwiedzinom Franciszka Józefa był wówczas niemal nieznaną małą, uroczą rezydencją; położony jest w jednej z najmiłszych i najbardziej pociągających okolic Salzkammergut.

Ponieważ jego bardzo skuteczne wody uzdrowiły jednego z krewnych Franciszka Józefa, rodzina cesarska udała się tam i zamieszkała skromnie w wynajętej willi. Gości umieszczono w hotelu.

W pełni lata, w sierpniu 1853 r., księżna Ludwika przybyła tam ze swymi córkami, oczywiście bardzo podnieconymi — zwłaszcza starsza była nieprzytomna — z powodu projektu

zaręczyn, którego rodzice nie mogli przecież ukryć przed niemi.

Matka Franciszka Józefa przygotowała wszystko na przyjęcie swej siostry. Co do cesarza, to tak mu było spieszo, że wzorem Napoleona jechał bez postoju i w ciągu dziewiętnastu godzin przebył przestrzeń, którą przebywano zazwyczaj w czasie dwa razy dłuższym.

Nene ma dziewiętnaście lat. Jest to wysoka, smukła szatynka, ładna, ale z czymś niemiłym w wyrazie twarzy.

Zizi skończyła piętnaście lat. Zaledwie wyszedłszy z niezdzięcznego wieku, jest tym, co Niemcy nazywają „Backfisch”, podlotkiem — jest to niby poczwarka w chwili, gdy się staje motylem. Ale Zizi nie była już poczwarką; była ślicznym motylem; ma typowy urok Niemek z południa.

Włosy ma cudowne, (najpierw były blond, a później pociemniały), ułożone oczywiście w loki i okalające bardzo ładną dziewczęcą twarzyczkę o rysach nieskazitelnych; czoło jest wysokie, brwi — gęste, pięknie zarysowane, oczy — duże, podobne do oczu sarny; bardzo kształtny nos, ślicznie wykrojone usta i broda; długa, giętka szyja nad lekko zaokrąglonymi ramionami i piersi dziewczęce, jak pączki.

Całość jest czarująca. Już są dane, a nawet więcej niż dane, że Zizi będzie królewską pięknoscią. Istotnie, cesarzowa była później jedną z najpiękniejszych kobiet swego kraju i swojej epoki.

Franciszka Józefa odrazu ujmuje jej wdzięk, jej figlarną żywość, naturalność, oryginalność. Wszystko to odbija od zimnej nieco powagi i pewnej sztywności jej siostry, Nene.

Nene stanowczo nie ma wielkich szans, współzawodnicząc z młodą siostrą. Aby, jak tego pragnęli jej rodzice, mogła wyjść za Franciszka Józefa, trzeba było nie pokazywać Zizi. Z

chwilą gdy się widziało młodszą siostrę, starszej nie brało się w rachubę.

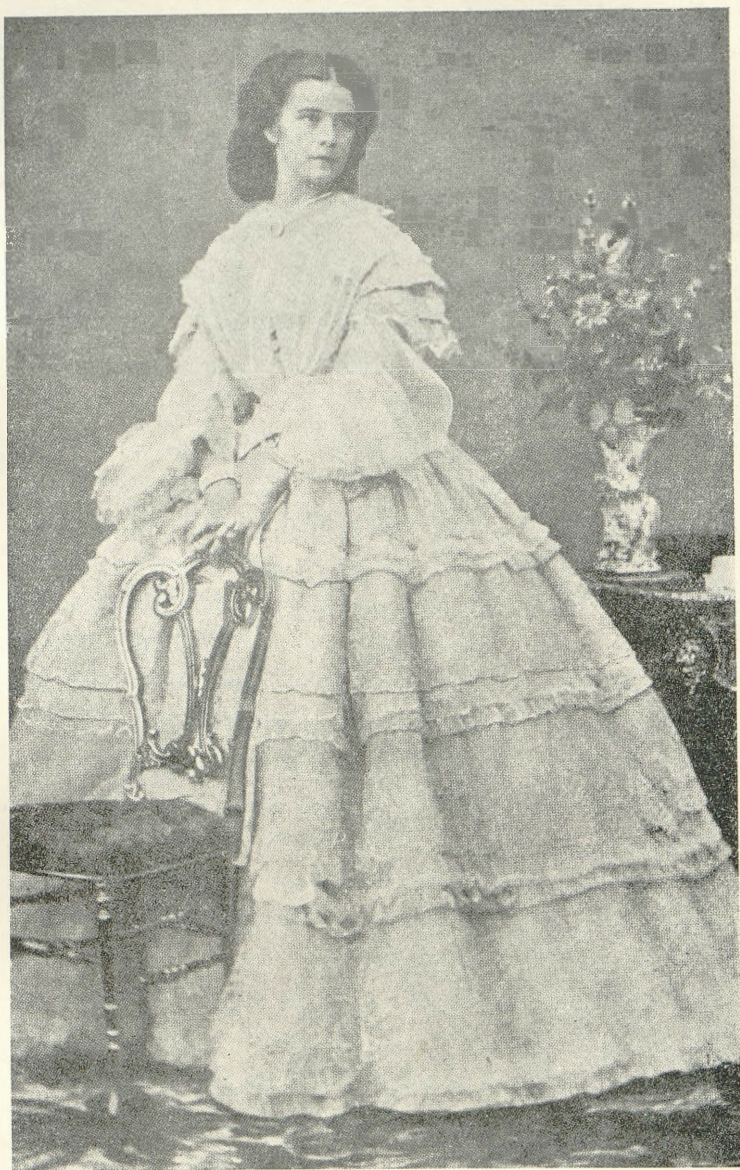
Gdy Zizi się ukazała, cesarz zakochał się w niej z pierwszego wejrzenia.

Był oczarowany jej promienną, zwycięską urodą. Zizi ma właśnie te cechy, naturalność i spontaniczność, jakich brak cesarzowi — czy to od urodzenia, czy to dlatego, że sztywne, formalistyczne wychowanie stłumiło je w zupełności.

Zizi zaś — to wielkie szczęście — nie była wychowana jak księżniczka, lecz raczej jako córka artysty, należącego poniekąd do cyganerii. W tym względzie uwydatnił się bardzo wpływ jej ojca, księcia Maksymiliana. Była bardziej podobna do niego, aniżeli do matki, która przywiązywała nadmierną wagę do etykiety i protokołu. Księżna Ludwika uważała, że jako siostra króla, popełniła megalians, wychodząc za potomka bocznej linii, za zwykłego księcia w Bawarii, gdy ona była księżniczką krwi, księżniczką Bawarii. Trudno sobie wyobrazić, jaką ta różnica tworzyła przepaść pomiędzy małżonkami! Mimowoli porównywała swój niezbyt świetny związek z bardziej zaszczytnymi małżeństwami sióstr, z których jedna była królową pruską, druga królową saską, a trzecia, Zofia, żoną arcyksięcia, który jako najbliższy cesarzowi miał wszelkie dane, że wstąpi na tron lub doczeka się wstąpienia na tron swego najstarszego syna.

Szereg scen, które w przyspieszonym tempie doprowadziły do zaręczyn Franciszka Józefa z młodszą siostrą, mimo, że mu przeznaczono starszą, to prawdziwa mała komedia, którą należy sobie wyobrazić w skromnych, sielskich ramach, aby w pełni ocenić jej urok.

Jest w tym wszystkim coś, co trąci przygodą w uzdrojowisku.



Cesarzowa Elżbieta (w r. 1860)

Oto osoby: z jednej strony — Franciszek Józef, jego brat arcyksiążę Karol Ludwik, który przed kilku laty sam nawiązał dziecinny romans z Zizi; z drugiej — księżna Ludwika ze swymi dwiema córkami, Nene na pierwszym planie, a Zizi na drugim, przy czym zarówno obie księżniczki, jak ich matka są w strojach podróżnych, ponieważ ich bagaże jeszcze nie nadeszły...

W czasie pierwszego obiadu u arcyksiężnej Zofii, Nene siedzi oczywiście obok Franciszka Józefa, podczas gdy Zizi, uważana jeszcze za dziecko, zajmuje miejsce na końcu stołu, obok guwernantki.

I oto Franciszek-Józef, zamiast rozmawiać ze swą sąsiadką Nene, jak się tego wszyscy spodziewają, zamienia z nią za ledwie kilka słów w ciągu całego obiadu. Natomiast ciągle zwraca się w stronę Zizi, z której dosłownie nie spuszczał wzroku, tak, że panienka, która w swej naiwności niczego się nie domyśla, czuje jednak na sobie to uporczywe spojrzenie, które w końcu wprawia ją w zakłopotanie. Nie śmie podnieść oczu z nad talerza. Skutkiem tego ledwie dotyka potraw. Arcyksiążę Karol, który się w niej kochał, widząc, że Zizi nie bierze nic do ust, zwraca na to uwagę jej matki: — Zizi nic nie je. Czyżby była na diecie?

Urok Zizi, w etymologicznym znaczeniu tego słowa, tak dalece działa na cesarza, że następnego już dnia, z samego rana, udaje się on do matki. Zastaje ją jeszcze nieubraną, mimo to wchodzi do jej pokoju, wbrew wszelkim swoim zwyczajom i prawom etykiety.

Wielce zdziwiona tym niezwykłym pośpiechem, arcyksiężna wysłuchuje z ust syna, który bynajmniej nie jest romantykiem, entuzjastycznych jego słów o Zizi, o jej piękności i uroku. O Nene — ani słowa.

Arcyksiężna, domyślając się, do czego to doprowadzi, stara się ostudzać jego zapał:

— Zizi jest nie brzydka, — powiada. — Ale to jeszcze dzieciak („ein Fratz”), a po za tym — czy nie zauważyłeś, jakie ma żółte zęby?

Franciszek Józef niczego nie zauważył, żółte zęby nie przeszkodziły mu zresztą zachwycać się tą dziewczyną. Tylko zimne, złe oczy arcyksiężnej mogły dostrzec ten szczegół w tak cudownej całości.

Nazajutrz, deszcz leje jak z cebra, co w górach nie jest rzadkością. Niema mowy o wycieczkach.

Wieczorem wydaje cesarz wielkie przyjęcie dla całego dworu, no tym — bal. Jakież zdziwienie ogarnia wszystkich, gdy widzą, że Zizi nie siedzi już na samym końcu obok guwerantki, ale obok cesarza! Po prostu wyrugowała Nene, która zeszła na drugi plan.

Z chwilą rozpoczęcia balu, wszyscy myślą tylko o jednym: z którą z siostr będzie cesarz tańczył kotyliona?

Franciszek-Józef, zanim się decyduje, o ile jeszcze nie był zdecydowany, — chce się przekonać, jak Zizi tańczy. Na jego prośbę, każe arcyksiężna Zofia jednemu z adiutantów, aby prosił Zizi do polki. Nie można powiedzieć, aby tańczyła bez zarzutu. Jest debutantką, dopiero co ukończyła kurs.

Gdy jednak nadchodzi oczekiwany z niecierpliwością kotylion, Franciszek Józef nie tylko spiesźnie zaprasza Zizi, lecz ofiarowuje jej odrazu wszystkie bukiety, jakie mu przygotowano dla innych tancerek. Nie ma już najmniejszej wątpliwości, kto jest wybranką jego serca. A przecież Nene jest w wspaniałym stroju, umyślnie uszytym na tę zabawę. Zizi zaś traktowana jak Kopciuszek, ma na sobie skromną sukienkę, uszytą przez jej pokojówkę.

Nazajutrz rano cesarz udaje się do swej matki, oświadcza jej, że zakochał się w Zizi, że tylko z nią się ożeni; chce, aby jeszcze tego samego dnia matka oficjalnie poprosiła o jej rękę.

Władca arcyksiężna Zofia ma wielką ochotę się sprzeciwić. Uważa, że głupotą jest zakochać się z pierwszego wejrzenia, i to w dziecku. Ale po raz pierwszy czuje, że cesarz powziął niezłomne postanowienie, w obec którego jest bezsilna. Myśli sobie zresztą, że Zizi, która jest tak młoda, pozwoli łatwo sobą kierować. I ten wzgląd przeważa na szali. (Arcyksiężna umiała jak nikt inny komenderować synem i synową).

Następują oficjalne oświadczenia. Zostają oczywiście przyjęte przez Bawarkę, która jest szczęśliwa, że może wydać córkę za cesarza, chociaż nie jest to ta, o której zrazu myślała.

Co do Zizi — nic dziwnego, że jest również zachwycona.

Franciszek Józef był wówczas pięknym chłopcem, wysokim, smukłym (pozostał takim przez całe życie), świetnym jeźdźcem, szykownym, eleganckim. Mundur marszałka, obcisły i uwydatniający smukłe kształty, (które podkreślał jeszcze gorset, będący w owym czasie niezbędną częścią munduru), leżał na nim, jak ulany. Czerwone spodnie z wielkim złotym pasem przylegały do długich, silnych, kształtnych nóg.

Gdy guwernantka Zizi zapytała ją, czy istotnie kocha swego narzeczonego, Zizi odpowiedziała w sposób znamieny, który wyjaśnia jej dzieje i całe jej życie: „Jakże mogłabym go nie kochać? Ale gdybyż tylko nie był cesarzem!”

Zaręczyny ogłoszono w całym państwie, i w całej Europie.

Ślub odbył się wiosną, 24 kwietnia 1854 r., w kościele Augustynów w Wiedniu.

Kilka dni przed tym, młoda księżniczka, nie bez wzrusze-

nia opuszcza swe pocziwe miasto Monachium, swój ukochny kraj Bawarię, gdzie się urodziła i wyrosła.

Cesarz, jej narzeczony, czeka na nią w Lincu. Stamtąd na wspaniale udekorowanym okręcie odpływa do stolicy.

Niebawem miała stać się cesarzową, a pod wieloma względami była jeszcze dzieckiem.

Obraz Wiednia.

Wiedeń, w chwili przybycia Zizi, jest obok Paryża najwspanialszą stolicą świata. Przewyższa nawet Paryż pod pewnymi względami, ponieważ jego dwór pozostał taki, — jaki był przed wiekami, nie tracąc nic ze swej potęgi, ani ze swego splendoru.

Olbrzymie imperium Austria, zajmuje największą część Europy środkowej. Cała część północna półwyspu włoskiego, najbogatsze prowincje, Wenecja i Lombardia, są pod rządami Habsburgów.

Cesarz austriacki uważany jest przez większą część Niemiec — Niemcy środkowe i południowe — za pierwszego z władców germańskich, z którym król pruski nie może się równać. Jego władza sięga daleko w naddunajską równinę — aż do Belgradu, do Żelaznych Wrót, które są bramą Wschodu.

Dla wszystkich tych ludów stanowi Wiedeń naturalny ośrodek przyciągający. Bogate rodziny feodalne, posiadające olbrzymie majątki z których nie wyczerpanie ciągną dochody, oddawna przyzwyczaiły się wydawać je w stolicy. Mają tam swe pałace, olśniewające przepychem.

Magnaci węgierscy, czescy i niemieccy, których posiad-

łości obejmują tysiące hektarów, książęta, hrabiowie — wszyscy część roku spędzają we Wiedniu. Urządzają tam wspaniałe zabawy; w przedpokojach swych mają dziesiątki lokajów, a w stajniach — setki koni. Ich bogactwo datuje się zdawna i oparte jest na solidnych podstawach; wszystko, co czynią, jest naturalne i w dobrym tonie. Nic nie trąci nowobogactwem, ani dorobkiewiczostwem.

Ośrodkiem tego towarzystwa, ozdobą stolicy, jej dumą i racją bytu jest dwór z siedzącym na tronie, jak Bóg w niebie, cesarzem, oraz mnóstwem arcyksiążąt i arcyksiężniczek.

Arystokratyczne to towarzystwo tworzy świat odrębny; członkowie jego należą jakby do jednej rodziny. Mówią sobie po imieniu i żenią się między sobą.

Życie ich — to nie przerwany ciąg przyjęć, uroczystości, obiadów, balów i polowań w wielkich lasach, w sąsiedztwie stolicy.

Wiedeń jest przede wszystkim metropolią muzyki. Nigdzie tradycje muzyczne nie są takie żywe, a zamiłowanie do koncertów tak rozpowszechnione wśród wszystkich klas społecznych. Tak samo, jak Paryż, a może nawet więcej, przepada Wiedeń za teatrem i widowiskami. Niektóre sztuki, zwłaszcza operetki, które najlepiej się podobają, miewają po pięćset przedstawień, co w owym czasie jest fantastycznym rekordem.

Majątek nie jest już zresztą wyłącznym przywilejem arystokracji; zaczął się rozszerzać na inne warstwy, na wzbogacone dzięki operacjom finansowym, przemysłowi i handlowi mieszczaństwo. Żydowscy baronowie, którzy dzięki swym bogactwom uzyskali szlachectwo, pojawiają się za przykładem Rothschildów. Lud jest wesoły, dobroduszny, pragnie śmiechu i zabawy.

Wszystko to wytwarza przemiłą atmosferę, w której żyje wesołe, swobodne, beztroskie społeczeństwo, wyzyskujące rozkosze chwili i nie zastanawiające się nad tym, co będzie jutro. Ludność, mało skłonna do zajmowania się poważnymi sprawami i polityką, pozostawia rządowi jaknajszersze pole działania. W swych zabawach i przyjemnościach zachowuje zawsze umiar.

Jest w mieście tym coś, co przypomina wdzięk włoski.

To, co we wszystkich krajach, pozostających pod wpływem germańskim określa się mianem „kultury”, mianowicie różnorakie postaci cywilizacji, wszystko co dotyczy życia artystycznego i umysłowego, ludy Europy środkowej i wschodniej przywykły czerpać z Wiednia.

Teściowa i synowa.

Przyjazd Elżbiety do Wiednia jest wjazdem triumfalnym. Całe miasto jest usłane kwiatami. Wiedeńczycy są rozentuzjuszowani pięknością młodej księżniczki.

Elżbieta, która dotychczas prowadziła tryb życia odosobniony, jest nieco zażenowana, spłoszona. Nie lubi, aby przypatrywano jej się w ten sposób. Jej zakłopotanie zwiększa się jeszcze, gdy pierwszego wieczora otrzymuje dwa tomiki w zbytckownej oprawie, zawierające szczegółowy opis wszystkich formalności bardzo długiego i bardzo skomplikowanego ceremoniału, jakiemu miała się poddać. Trzeba było wyuczyć się na pamięć tych dwu książeczek, ażeby niczego nie zapomnieć.

Panie, które Zofia wybrała jako mające przebywać w otoczeniu cesarzowej, udzielają jej tysięcy rad.

I Elżbieta wkrótce zdaje sobie sprawę z tego, że skończyło się jej swobodne, bez troskie życie. Odtąd czeka ją ciężkie brzemie protokołu i etykiety, jakkolwiek nie przysługują jej w zamian prawa prawdziwej cesarzowej. Rozkazy bowiem wydaje i wszystko załatwia arcyksiężna Zofia. Dzięki ślepemu niemal posłuszeństwu swego syna kieruje ona nie tylko polityką, lecz życiem domowym cesarza.

Doprowadza to do bardzo wielu incydentów.

Niezgoda między synową a teściową potęguje się z każdym dniem. Cesarz jest w niezwykle przykrym położeniu pomiędzy tymi dwiema kobietami, które kocha. Ubóstwia swą młodą, piękną i pociągającą żonę, chciałby pod każdym względem uprzyjemnić jej życie; z drugiej jednak strony jest przywiązany do matki, podziwia ją, żywi uznanie dla jej doświadczenia i inteligencji.

Ta partyzantka, przez obie strony prowadzona równie zaciekle jak niesprawiedliwie, trwa przeszło piętnaście lat. Zakończyła się zupełnym zwycięstwem Elżbiety, ale po walce, która ją złamała, poróżniła z mężem i rozdzieliła z dziećmi. Nic bardziej nie przyczyniło się do wzbudzenia w niej nigdy nie nasyconego pragnienia dalekich podróży.

Teściowa, która mieszka stale z młodą parą, czyni pobyt Elżbiety w Schoenbrunnie niesłychanie przykrym. Młodej cesarzowej zbrzydło wreszcie to ciągle pilnowanie i opieka. Zapragnęła opuścić stolicę, uciec, udać się gdzieś... bardzo daleko.

Cesarzowa — pisze hrabia Corti, jej biograf — jest uroczym, bardzo młodym dzieckiem, może zbyt młodym dla gwałtownych zapalów miłosnych okazywanych jej przez męża.

Zdanie to tłumaczy nam wiele rzeczy. Pierwszego już wieczora, w nocy poślubnej doznaje Elżbieta rozczarowania,

niemal urazu psychicznego, który stał się częściowo powodem jej małżeńskich nieporozumień.

Elżbieta była wychowywana w zupełnej niemal niezależności przez ojca, który był o wiele bardziej artystą niż księciem. Zdradza ona już bardzo wcześniej wybitną indywidualność. Z drugiej jednak strony wydaje się uosobieniem romantycznej młodej panny. U nikogo tak silnie nie zaznacza się egzaltacja, sentymentalizm i idealizm, usiłujący wymknąć się z realnego życia ku złudzeniom i marzeniom. Jej wylewy uczuciowe są tak żywe i pełne uniesienia, że unieszczęśliwiły by ją, gdyby była w innych warunkach życiowych. Jedynym władcą, który potrafił ją zrozumieć, był krewny jej, król Ludwik bawarski, w całym znaczeniu tego słowa romantyczny książę. Łączyła ją z nim gorąca, zażyła przyjaźń. Ale nie mógłby on stać się dla niej niczym więcej, niż przyjacielem.

Bardzo wysokie, ba! najwyższe stanowisko, na którym się nagle znalazła, zwiększyło tylko jej rozczarowanie. Była cesarzową, pierwszą kobietą w państwie. I zamiast cieszyć się swobodą, czynić co jej się podoba, chodzić dokąd chce, nagle przekonała się, że od rana do wieczora i od wieczora do rana jest skrępowana więzami, przykuwającymi ją ciałem i duszą, paraliżującymi ją tak, że ani na chwilę nie może od nich się uwolnić.

Kocha, a raczej starała się kochać cesarza. Jest dla niej bardzo dobry i miły, usiłuje w miarę możliwości sprawić jej każdą przyjemność. Ale, zajęty przez czternaście godzin dziennie najrozmaitszymi sprawami, które bierze bardzo poważnie, wkładając w nie całą swą energię i traktując je z wielką, drobniawą nieco pilnością, nie przebywa niemal z żoną. Pozostaje całkowicie pod wpływem matki, groźnej arcyksiężnej Zofii, której wszystko zawdzięcza.

Zofia ma rozwinięte w najwyższym stopniu wszelkie wady, zazwyczaj przypisywane teściowym. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej doskonałego w tym względzie. Jej chęci, być może, są jaknajlepsze i piekło — jak mówią — wybrukowane jest dobrymi chęciami. Z życia synowej zrobiła istne piekło.

Na nieszczęście była przekonana, że spełnia święty obowiązek, czyniąc z tej młodziutkiej dziewczyny, w której cesarz niepotrzebnie się zadurzył, prawdziwą cesarzową, godną zasiadania na tronie obok niego.

Jej oschłość, uszczypliwość i wieczna kontrola tworzą między nią a Elżbietą przepaść nie do przebycia. Cesarz z konieczności zostaje wplątany w tę walkę. Bardzo często, zbyt często staje po stronie matki.

Po nocy poślubnej, gdy młoda małżonka żywi naturalne zresztą pragnienie pozostania z mężem bez świadków, Franciszek Józef oświadcza wyraźnie, stosując się do wymagań matki, że powinna zjeść śniadanie z całą rodziną, i to nie tylko z arcyksiężną Zofią, lecz z osobami, należącymi do świty. Na próżno zażenowana, zmieszana Elżbieta błaga go, aby oszczędził jej tego przykrego spotkania. Cesarz odmawia, przejęty strachem na samą myśl, że mógłby narazić się matce, wobec której długo jeszcze czuje się jak dziecko. Biedna cesarzowa, po tym okropnym śniadaniu, chroni się do swego pokoju, gdzie wybucha płaczem.

Trzeba zresztą przyznać, że Zizi często płacze. Wynika to z jej usposobienia, ale jest w tym i duch czasu.

Nigdy nie płakano tyle co wówczas.

W tydzień, czy dwa tygodnie po ślubie, cesarzowa, coraz bardziej samotna i uwięziona, czuje instynktowną potrzebę wyrwania się ze swego życia realnego. Szuka rozrywki i

ucieczki w poezji. Już dawniej pisywała wiersze i teraz znowu zaczyna pisać. Oto jeden z jej wierszy, przytoczony przez Cortiego. Tytuł jego — „Tęsknota”, co jest tylko błędym tłumaczeniem niemieckiego, daleko silniejszego i bardziej wyrazistego słowa: „Sehnsucht”.

Wróciło przedwiośnie;

Przystraja drzewa w nowe liście.

Cóż mnie jednak obchodzą te wiosenne rozkosze

Tu, na tej obcej i dalekiej ziemi.

Następują słowa gorzkiej tęsknoty za krajem ojczystym.

Wszystko to zaś jest nieco przesadne, sztuczne i romantyczne. W wierszach jej znać wpływ Henryka Heine’go, który zawsze był i pozostał jej ulubionym poetą. Niekiedy są one tylko, niezbyt zresztą udalą, parafrazą „Intermezza”.

Możnaby sądzić, że Elżbieta, podniecając w ten sposób swą wyobraźnię, doznaje jakiejś ukrytej, nieco chorobliwej przyjemności. Przypomina niekiedy, oczywiście tylko pod pewnymi względami, panią Bovary, która też była ofiarą modnej literatury i wybuchów sentymentalnych. Gdy mówi o dalekiej, obcej ziemi, na której przebywa jak na wygnaniu, przesada jest jaskrawa, gdyż żaden kraj nie jest tak podobny do Bawarii, jak Austria.

Arcyksiężna teściowa nie pozwoliła Elżbiecie przywieźć z sobą z domu kogoś, kto mógłby być jej powiernikiem i przed kim mogłaby się wywnętrzyć, a nikt tak jak ona nie odczuwa potrzeby wynurzeń.

Na szczęście jednak z braku ludzkich istot, wolno jej przywieźć ze sobą zwierzęta: konie, psy, a przede wszystkim papugi, z którymi spędza znaczną część wolnego czasu, ucząc je godzinami powtarzać pewne słowa i zdania.

Przy tej sposobności zaznacza się to, co w niej jest kapryśnego i dziecinnego.

Szczęśliwe chwile samotności i wytchnienia nie trwają jednak długo. Teściowa nie daje jej spokoju. Nagle wpada do jej apartamentów, ciągle udziela jej wskazówek i rad, lub przypomina liczne, skomplikowane i często niedorzeczne reguły okropnie drażliwej etykiety, w trzech czwartych przejętej z dworu hiszpańskiego.

Teściowa jest dla niej jakby ochmistrzą. Na biedną cesarzową spada istny potok uwag, krytyk i wymówek.

Protokół dworski wymagał stanowczo, aby wszystkie damy jadały w rękawiczkach. Było to prawdziwe zgorszenie, gdy cesarzowa pozwoliła sobie pewnego dnia zdjąć rękawiczki, aby gołą ręką sięgnąć po jakiś przysmak.

W czasie przejażdżki powozem w towarzystwie teściowej, zachciało jej się razu pewnego wysiąść, celem poczynienia zakupów. Wywołało to straszny gniew arcyksiężnej, która uważała, że jest to dzika zachcianka, niegodna cesarzowej.

— Zdaje ci się może, iż jesteś jeszcze w Possenhofen? — zawołała Zofia.

Possenhofen, to nazwa skromnego zamku rodzinnego Elżbiety.

Niebawem rozchodzą się wieści o tych codziennych niemal naganach. Osoby nieżyczliwe, biorące stronę teściowej przeciwko synowej, nazywają cesarzową „perłą z Possenhofen”.

Gdy Elżbieta zażądała raz, aby jej podano do stołu szklankę świeżego i musującego piwa — na które, jako prawdziwa Bawarka, była szczególnie łasa — biesiadnicy byli niezmiernie zgorszani tym brakiem dobrych manier. Jedyne

dorożkarze i pospólstwo mogli sobie pozwolić na picie piwa do obiadu.

Arcyksiężna Zofia, której ruchliwość i kontrola są nieustanne, nie waha się nawet rozszerzyć swego nadzoru na stosunki małżeńskie pary cesarskiej. Nawet sypialnia cesarska nie uszła jej kontroli.

Zaledwie Elżbieta zaczęła zdradzać pierwsze oznaki ciąży, teściowa jej pozwoliła sobie natychmiast napisać do cesarza, że nie powinien odtąd utrzymywać stosunków płciowych ze swą żoną. Równocześnie poleciła mu — to już szczyt wszystkiego — ażeby zabronił cesarzowej przebywać z papugami, gdyż dziecko, które się urodzi, może stać się do nich podobne.

— Jeśli chce na kogoś patrzeć — dodała — to niech się sobie przypatruje w lustrze, albo niech patrzy na swojego męża.

Najważniejszą rzeczą, jakiej się od Elżbiety spodziewano, było urodzenie syna, przyszłego dziedzica korony. To było jej wielkie, możnaby nawet powiedzieć jedyne zadanie. Gdyby zaś sama tego nie rozumiała, to jej otoczenie, a przede wszystkim teściowa nie omieszkalaby jej tego przypomnieć, bez najmniejszej zresztą delikatności.

Gdy tylko Elżbieta zaszła w ciążę, Zofia zapragnęła pokazywać ją publicznie, aby wszyscy mogli się o tym naocznie przekonać. Cesarzowa oczywiście nienawidziła tych pokazów.

Dziecko urodziło się. Pierwsze rozczarowanie, gdyż była to córka, arcyksiężniczka Zofia, która umarła w dziecięcym wieku.

Wówczas objawiły się z całą surowością i obrażającą nieustępliwością prawa, prerogatywy teściowej.

Zaledwie dziecko się rodzi, zabiera się je, wyrywa się je

tej, która je wydała na świat. Odtąd wymyka się ono z pod opieki matki. Staje się dla niej kimś obcym. Arcyksiężna zagarnia je, jakby to była jej własność. Cesarzowa nie ma w tym względzie nic do powiedzenia. Arcyksiężna sama wybiera mamkę, guwernantki i lekarzy, mających się dzieckiem opiekować.

Ażebym wyraźnie zaznaczyć wobec wszystkich swą władzę, umieściła dziecko w swych apartamentach, jak najdalej od apartamentów cesarzowej, położonych w innym skrzydle pałacu i oddzielonych kilkoma piętrami. Elżbieta, chcąc się tam udać, musi odbyć istną podróż. Gdy chce zobaczyć niemowlę, przyjmuje ją jak obcą osobę.

W rok później, w r. 1856, Elżbieta znowu zachodzi w ciążę. Gdy tylko wieść o tym się rozeszła — a arcyksiężna dba już o to — że wszystkich stron monarchii nadchodzą od księży, rabinów, arystokratów i nawet prostych ludzi rady i wskazówki co zrobić, aby tym razem urodził się chłopiec.

Pewien rabin z Budapesztu zalecił, aby cesarzowa umieściła w swej sypialni, na widocznym miejscu, napis w języku hebrajskim.

Elżbieta popełnia wielki błąd, że nie stosuje się do rady rabina. Znowu rodzi córkę, — arcyksiężniczkę Gizelę, (która wyszła później za księcia Leopolda bawarskiego).

Teściowa znowu porywa dziecko, podobnie, jak to było z pierwszym.

Tego jednak jest zanadto. Elżbieta, pomimo całej swej cierpliwości i zgodności, buntuje się. Nie bez trudu uzyskała poparcie cesarza, który po wielu wahaniach decyduje się wreszcie stanąć po jej stronie. Nie śmiąc jednak otwarcie przeciwstawić się matce, ucieka się do wykrętu, jak to zwykli czynić ludzie słabi: pisze do arcyksiężnej, zamiast rozmówić się z

nią. List zaś wysłała w przeddzień swego wyjazdu z cesarzową, aby uniknąć strasznej sceny.

Arcyksiężna pieni się na wieść, że odtąd apartament młodych księżniczek będzie przylegał do pokojów ich matki.

Śmiałość ta wywołuje u niej gniew i zdziwienie. Jest to pierwszy i poważny cios, godzący w jej władzę. Zofia obawia się, aby Elżbieta, dotąd podporządkowana jej pod każdym względem, nie uzyskała zbyt wielkiego wpływu na cesarza. Stosunki pomiędzy nią a synową nigdy nie były dobre, ale pogorszyły się jeszcze bardziej.

Podróż do Włoch.

Położenie we Włoszech, gdzie stale wzrasta niezadowolenie i rozjątrzenie, staje się coraz gorsze. Franciszek Józef postanawia więc udać się osobiście na półwysep, ażeby zorientować się w sytuacji.

Zabiera z sobą cesarzową — w nadziei, że jej wdzięk i uroda podziałają na ludność.

Podróż ta jednak od początku do końca, jest szeregiem porażek. Cesarz, pragnąc — trochę po niewczasie udobruchać Włochów, czyni im ustępstwa: zmniejszenie podatków, amnestię dla więźniów politycznych. Ustępstwa zostały mile przyjęte, ale ich efekt jest chwilowy. Nie zmieniają w niczym i nie mogą w niczym zmienić sytuacji.

Na wspaniałych przyjęciach, urządzonych na cześć pary cesarskiej — ani w Wenecji, a tym mniej w Mediolanie, nie zjawia się nikt z arystokracji, ani z wyższych sfer mieszczaństwa. Zdawało się już, że na galowym przedstawieniu w me-

diolańskiej „La Scali” olbrzymia sala będzie w trzech czwartych pusta, również abonenci łóż zapowiedzieli, że nie przybędą. Trzeba było pośpiesznie zapłacić salę statystami, niższymi urzędnikami, oficerami, a nawet policjantami.

Z prawej i lewej strony sceny ustawiono żołnierzy z najęzonymi bagnetami, jak zwykle, wybrano ich z pośród Kroatów, którzy nienawidzili Włochów. Była to stara tradycja, pochodząca z czasów Radetzky'ego. Obecność pary monarszej nie zmieniała tu niczego. Rzucała na to galowe przedstawienie jakiś złowrogi i ponury cień.

Policja, ażeby zapłacić ulice miasta, najęła wieśniaków „contadini”, którym płaciła podróż i koszty pobytu. Gdyby nie ta przezorność, cesarz i jego żona defilowałiby przez zupełnie puste ulice, gdyż wszyscy obywatele ze względów patriotycznych pozostali w domu.

Elżbieta, której uwagi nie uszedł żaden z tych szczegółów, odkrywa z prawdziwym przerażeniem — albowiem jej nawet nie podejrzewała — głęboko zakorzenioną nienawiść Włochów do Austrii.

Podróż ta pociąga za sobą pewne następstwa polityczne. Franciszek Józef, zdając sobie sprawę z niezadowolenia Włochów, pojmuje konieczność znalezienia innego namiestnika. Przenosi w stan spoczynku starego Radetzky'ego, który ukończył właśnie dziewięćdziesiąt lat, i na jego miejsce mianuje członka swej rodziny, swego młodszego brata, arcyksięcia Maksymiliana, przyszłego cesarza Meksyku.

Nowy namiestnik, w czasie swego krótkiego urzędowania — bo trwającego tylko do wojny włoskiej, w której Lombardia uzyskuje niepodległość, — nie ma właściwie żadnej władzy, żadnego wpływu na administrację, ani na armię. Nigdy nie słucha się jego zdania. Wszystko robi się bez niego, często

nawet wbrew jego woli. Franciszek Józef zaczyna wtedy prowadzić w stosunku do niego ową politykę nieufności i zazdrości w obec najbliższych mu krewnych, którą prowadził przez całe swe życie. Obawiał się tylko i zawsze ustąpić im bodaj cząsteczki swych prerogatyw i swego autorytetu.

Wysiłki Austrii są jednak spóźnione. Nie ratuje podległych jej władzy prowincyj włoskich od nieprzepartej siły przyciągającej Piemontu. Państwo to jest w oczach Włochów ucieleśnieniem jedności, niepodległości i swobód narodowych. Ponadto reprezentuje zwycięstwo nowych idei, ponieważ jego władca był na tyle mądry, iż nadał narodowi swemu konstytucję.

W chwili gdy Franciszek Józef z własnej winy nie ma u swego boku żadnego godnego tego miana męża stanu, który by mógł być jego doradcą, napotyka na swej drodze największych w XIX stuleciu polityków europejskich: Cavoura i Bismarcka. I nic dziwnego, że został kolejno pokonany przez obu. Byli to przeciwnicy zbyt groźni, ażeby mógł skutecznie z nimi walczyć.

Podróż do Węgier.

Po wizycie we Włoszech, następuje podróż do Węgier, podyktowana tymi samymi niemal względami. Tam również panuje zupełnie zresztą zrozumiałe i słuszne rozgoryczenie na Austrię.

Cesarzowa uczestniczy w tych odwiedzinach.

Włosi uzyskali pewne ustępstwa; Węgrzy, z którymi się znacznie gorzej obchodzono, nie uzyskują nic. A przecież ża-

danja ich są bardzo umiarkowane. Węgrzy domagają się jedynie, aby dopuszczony był w administracji język węgierski i aby przywrócono dawny podział administracyjny na komitaty, w miejsce pięciu prowincyj, na jakie Austria sztucznie i samowolnie pokrajała, poćwiartowała ich kraj.

Cesarzowa Elżbieta, zobaczywszy po raz pierwszy Węgry, pokochała ten kraj odrazu. Wszystko jej się w tym narodzie i kraju podobało: malownicza oryginalność krajobrazów i mieszkańców, piękność strojów i typów, odrębność obyczajów i wreszcie język, który nie jest podobny do żadnego innego.

Coraz bardziej była oczarowana i aż do końca swego życia pozostawała pod tym urokiem.

Węgry, dla których arcyksiężna Zofia, która ich nienawidziła, usiłowała wzbudzić w niej wstręt, wydawały jej się jednym z najbardziej interesujących i ujmujących krajów.

Ponadto umiała ona ocenić rycerskość i bohaterstwo tego narodu. Jego rozmach, duma narodowa, zamiłowanie do koni, do muzyki cygańskiej, pięknych strojów i biżuterii wzbudzały żywą sympatię Elżbiety.

Dla Węgrów, którzy są zawsze wielkimi panami, nawet gdy nie mają grosza przy duszy, rzeczy niezbędne są mniej ważne, niż zbytek.

Tak samo czuje cesarzowa; w jej oczach jedynie niematerialne zajęcia mogą nadać życiu pełną wartość i urok.

Węgrzy, z ich instynktowną potrzebą i chęcią podobania się, bezwiednie może znajdują w cesarzowej najbardziej czynnego i wpływowego obrońcę, jakiego mogli się spodziewać. Zjednali ją sobie, oczarowali ją. Zasiali w jej sercu ziarno, które po tym kiełkowało i rozwijało się.

Cały wpływ, jaki cesarzowa potrafi wywierać na swego

męża, wyzyskuje ona odtąd na rzecz Węgier. W dziesięć lat później przyczynia się w miarę możliwości do „kompromisu”, który uwolnił Węgry od kurateli austriackiej.

Ten fakt jest tym bardziej znamieny, że cesarzowa pierwszy raz wtedy — i ostatni — wkroczyła w dziedzinę polityki. Przez resztę życia nigdy się nią nie interesowała.

Niestety, w czasie tej podróży na Węgry zaszedł smutny wypadek. Obie księżniczki, które cesarzowa zabrała z sobą wbrew przestrogom swej teściowej, zachorowały ciężko.

Gdy wydawało się, że są już zdrowe, para cesarska pozostawiła je pod opieką starego budapeszteńskiego lekarza i wyruszyła w dalszą drogę.

Wkrótce zawezwano ich do stolicy. Starsza córeczka, Zofia, na skutek nawrotu choroby, zmarła w kilka godzin po przybyciu rodziców.

Elżbieta rozpaczała tak, że otoczenie było przerażone. Będąc egzaltowaną z natury, czyniła sobie okropne wyrzuty; obwiniała się, iż zabiła swą córkę, zabierając ją ze sobą. Zdawało się, że nic nie zdoła jej pocieszyć. Wróciwszy do Schoenbrunn, zamykała się całymi miesiącami i nie chciała widywać nikogo.

Nie mogła jednak uniknąć spotykania teściowej, której milczenie zdawało się być niemym wyrzutem. Arcyksiężna starała się jednak obchodzić się z nią delikatnie i oszczędzać jej przykrości, Elżbieta bowiem spodziewała się znów dziecka.

Cała monarchia pragnęła gorąco, aby tym razem urodził się chłopiec. I życzenia te i modły zostały wreszcie wysłuchane. Dziecko, które przyszło na świat w sierpniu 1858 r., było płci męskiej. Na cześć założyciela dynastii, ochrzczono je imieniem Rudolf.

Radość rodziny, dworu i całego narodu była olbrzymia.

Cesarz nie wiedział jak ma dziękować żonie, która wydawała się obecnie bardzo szczęśliwa. Mając świadomość, że spełniła to, co uważała za swój obowiązek wobec dynastii, sądziła, iż odtąd jest niejako wolną. Przypuszczała, że będzie mogła żyć według swego upodobania, zdala od dusznej atmosfery Hofburgu. W stolicy, gdzie nie miała ani jednej duszy przyjaznej, doznawała wrażeń, że każdy zazdrości jej i ją szpieguje.

Jej rola jako matki jest niemal bez znaczenia. Arcyksiężna dowodzi armią mamek i guwernantek.

Zwłaszcza, gdy chodzi o księcia, o następcę tronu, Franciszek Józef zdaje się w zupełności na matkę, która przecież tak świetnie go wychowała, że nadaje się lepiej niż ktokolwiek inny do wychowania jego syna.

Jedynym węzłem, który łączy jeszcze cesarzową z Wiedniem jest jej mąż, Franciszek Józef.

Nie dotykajmy jednak tego drażliwego i tajemniczego punktu. Nikt nie wie, co właściwie zaszło pomiędzy nimi. Co do przypominającego ucieczkę wyjazdu cesarzowej, jej długich podróży i pobyków zagranicą, istnieją jedynie przypuszczenia.

Franciszek Józef, jakkolwiek był żonie bardzo oddany i podziwiał jej urodę, nie dochowywał jej wierności. Gdy cesarzowa to zauważyła, poczuła się głęboko urażona w swej dumie. Wielka, nie dająca się usunąć różnica usposobienia, wy daje jej się teraz nie do zniesienia. Oschłość Franciszka Józefa i jego prozaiczny sposób patrzenia na życie zbyt są dalekie od jej romantyzmu i egzaltacji.

Gdy pierwsze zapęły miłosne minęły, przepaść między tymi dwoma ludźmi zwiększa się coraz bardziej. Elżbieta dochodzi wkrótce do przekonania, że jej „królewicz z bajki” jest

przyziemnym człowiekiem, nie mającym najmniejszego zrozumienia dla jej aspiracji i pragnień.

W 1860 r. przedsięwzięła Elżbieta swą pierwszą podróż na wyspę Maderę.

Jest to początek jej tułaczego życia, jak je nazywała, jej żywotu ptaka wędrownego.

ROZDZIAŁ III.

Błędy i klęski. — Waśń z Rosją.

W dwa lata po ślubie, Franciszek Józef musi powziąć **waż-** ną decyzję w dziedzinie polityki zewnętrznej, a mianowicie — jak się zachować podczas wojny krymskiej.

Postanowił o tym sam, nie radząc się z nikim. I ponosi całą odpowiedzialność za wielkie błędy, które popełnił, a których następstwa miały się okazać zgubne dla monarchii.

Gdy Rosja podjęła znów swą tradycyjną wojnę krzyżową przeciw Turkom, Anglia wmieszała się, aby ocalić Turcję, i usunąć Moskała z nad Bosforu, przedmiotu jej pożądań.

Pociągnęła też za sobą Francję. Przeciwno Rosji przedsięwzięto francusko-angielską wyprawę, w której jak barka pływająca za wielkim okrętem brał udział mały, słaby Piemont. Armie państw zachodnich obleżyły Sebastopol.

Wojna ta zmusiła nagle Austrię do powzięcia jakiejś decyzji w jej sprawach na Wschodzie, gdzie napotykała Rosję, mocarstwo zaprzyjaźnione; między Mikołajem a Franciszkiem

Józefem panowały zażyłe stosunki, osobiste, nieomal sentymentalne.

Rozwiązanie tego delikatnego zagadnienia wymagało dużej inteligencji, zręczności, taktu, wielkiego doświadczenia życiowego i politycznego, głębokiej znajomości zagadnień dyplomatycznych i umiejętności szukania i zawierania kompromisów.

Zawód dyplomaty, tak samo zresztą jak męża stanu, polega przede wszystkim nie na dokonywaniu wyboru między korzyścią a niedogodnością, co byłoby całkiem łatwe i przystępne dla wszystkich, lecz na wybieraniu między dwiema niedogodnościami i na utrafieniu mniejszej.

Franciszek-Józef zaś nie umie i nie potrafi wybrać, a wskutek czego wszystkich sobie w końcu zniechęca.

Z braku inteligencji, decyzja jego powinna była być dyktowana wdzięcznością, pamięcią o dobrodziejstwach Mikołaja I. Ale cesarz jest równie nie czuły jak niemądry.

Jakie były w cztery czy pięć lat po rewolucji roku 1848 najbardziej żywotne interesy Austrii w polityce zagranicznej?

Z pośród wielkich państw europejskich, Austria bardziej jeszcze aniżeli Francja czy Prusy nie może obejść się bez sojuszków.

Rosja, Anglia, to państwa, których właściwie nie można zranić; Anglia ma wyjątkowe położenie geograficzne, a Rosja obszar ogromny, niemożliwy do zajęcia, jak tego boleśnie doświadczył Napoleon.

Austria jest najbardziej narażona ze wszystkich państw europejskich, przede wszystkim z powodu swego położenia, a następnie dla tego, że imperium jej obejmuje kraje, zamieszkałe przez ludność różnych ras i języków, — które mogą bądź

wzbudzić apetyty sąsiadów, bądź same dążyć do niepodległości.

Gdyby nie pomoc Rosjan w r. 1848, Węgry były by wydobyły się z pod władzy Habsburgów.

Ażeby więc poszczególne części tego zlepionego niejako imperium mogły się utrzymać razem, trzeba było nie tylko silnego rządu wewnątrz, ale i poparcia od zewnątrz.

W 1853 r., w chwili gdy kwestia ta jest roztrząsana, najpewniejszym punktem oparcia dla Austrii jest bezsprzecznie Rosja.

Oba państwa mają jednakowy ustrój absolutystyczny — a władców ich łączą serdeczne stosunki, czego najlepszym dowodem była interwencja wojsk rosyjskich na Węgrzech w r. 1849.

W porównaniu z pomocą, jakiej może jej udzielić Rosja, pomoc Prus, czy Francji ma dla Austrii o wiele mniejsze znaczenie.

Między Prusami a Austrią istnieje odwieczna przepaść: kwestia hegemonii w Niemczech.

Francja, od czasu gdy władzę zagarnął Napoleon III, prowadzi skutek wielkich swych aspiracji, a bardziej jeszcze ze względu na temperament i charakter swego cesarza — politykę, wrogą w stosunku do Austrii.

Jej nowy wódz to Napoleon, a to imię obowiązuje. Gdyby nawet chciał — ale nie chce — nie mógłby, jeśli idzie o rewindykacje włoskie, nie przyjąć tej głównej części spadku napoleońskiego.

Jest to dlań konieczność niemal fatalna, która nie mogła przecież ujść uwagi czynników kierowniczych Austrii.

Proste te rozważania powinny były wpłynąć na Franciszka-Józefa i zadecydować o jego wyborze. Gdyby poróżnił się

ostatecznie z Rosją, to z braku poparcia przez wojska rosyjskie naraziłby się na utratę posiadłości włoskich, które mógł zagarnąć Piemont przy bezpośredniej lub pośredniej pomocy Francji.

Tak samo groziło mu, że wcześniej, czy później Austria utraci na rzecz Prus swą hegemonię w Niemczech.

W obec tych najważniejszych, zasadniczych interesów państwa, korzyści na Wschodzie mogły i powinny były zejść na plan drugi.

Wschód jest zresztą dość obszerny, aby umożliwić podział wpływów pomiędzy Austrią a Rosję.

Jeśli więc Austria poróżniła się z Rosją, to stało się to wyłącznie na skutek braku inteligencji i doświadczenia młodego Franciszka Józefa. Nie pojmuje on i nie domyśla się nawet, jak doniosłe jest to zagadnienie. Nie widzi do czego to wszystko prowadzi. Nie potrafi pokierować trudnymi rokowaniami.

Polityka jego ma ponadto tę wielką wadę, że jest zygzykowata, kręta, dwuznaczna, że nigdy nie wypowiada się ani za, ani przeciw, nie zajmuje wyraźnego, otwartego stanowiska. Cesarz nie oświadcza się ani za Rosjanami, ani za ich wrogami, Anglikami i Francuzami. Nie umie nawet pozyskać sobie Turków. Przez swą niepewność, chytrość i wybiegi zraził sobie wszystkich.

Skąd powstały te jego omyłki? Czemu prowadził tak obłudną politykę, która doprowadziła do zerwania niemal ze wszystkimi?

Winne temu jest jego usposobienie, jego charakter, i pojęcie, jakie sobie wyrobił o swoim wszechwładztwie. Franciszek Józef wierzył święcie, że może i powinien być swym własnym ministrem spraw zagranicznych, że nie potrzebuje żadnego przewodnika, żadnego doradcy.

Zachowanie jego tłumaczy się też w pewnej mierze jego nieczułością, oschłością, której dał tak liczne dowody w ciągu swego długiego żywota.

Urzeczywistnił w pełni cyniczne nieco proroctwo Schwarzenberga, który powiedział: „Austria wprawi w zdumienie świat swoją niewdzięcznością!” Ale Schwarzenberg nie przeczuwał na pewno, w jakim stopniu to się sprawdzi. Uczeń jego zbyt dobrze zapamiętał sobie lekcję; przekonany był, że „racja stanu” tłumaczy i usprawiedliwia wszystko, i że egoizm jest nie tylko prawem, ale obowiązkiem.

Ta polityka, uważana za bardzo zręczną, była w rzeczywistości zgubna.

Skłoniła ona Franciszka Józefa do tego, iż w czasie owej wojny Rosji z zachodnimi mocarstwami nie wypowiadał się wcale i zachowywał się dwuznacznie. Zaczął od tego, że pozostawił cara w nieświadomości co do swoich zamiarów, co oczywiście miało ten skutek, że wzmogło rozczarowanie i gniew Mikołaja. Gdyby car był odrazu powiadomiony o prawdziwych intencjach Franciszka Józefa, byłby może nie angażował się tak bardzo w tej wojnie.

Na samym początku walki dyplomatycznej, która mogła przeobrazić się w konflikt zbrojny, Rosja silnie odczuwała potrzebę poparcia, a przynajmniej życzliwej neutralności Austrii.

Co uczyni Franciszek-Józef?

We wrześniu 1853 r. spotyka się z carem w Ołomuńcu. Mikołaj zobowiązuje się formalnie w obec Franciszka Józefa, że w projektowanej akcji przeciw Turcji nie będzie dążył do naruszenia całości państwa ottomańskiego, nie każe przepierać się swym wojskom przez Dunaj i ograniczy działania wojskowe do Turcji azjatyckiej. Prawdopodobnym, a nawet

pewnym jest, że jego obietnice nie były szczere i że zamierzał jedynie uśpić nieufność Austriaka.

Franciszek Józef jednak popełnił wielki błąd, iż nie uprzedził go wyraźnie, że interwencja wojsk rosyjskich w Turcji europejskiej wywoła automatycznie sprzeciw Austrii.

Zadowolił się wyrażeniem mu swych obaw, dotyczących słowiańskich ludności monarchii, które mogły by dać się porwać wojnie niepodległościowej, gdy Rosja zbrojnie wystąpi przeciw Turcji.

Ta rozmowa obu władców toczyła się i zakończyła w sposób dwuznaczny, obaj bowiem usiłowali oszukać się wzajemnie.

Rząd austriacki zajmuje w tym czasie stanowisko mogące w zupełności uspokoić Rosję. Kierując się względami finansowymi, potrzebą oszczędności, zmniejsza stan liczebny armii.

Car, będąc pewnym, że ani Prusy ani Austria nie wystąpią przeciw niemu, postanowił śmiało iść naprzód, nawet gdyby to miało doprowadzić do wojny.

Król pruski Fryderyk Wilhelm IV przyrzekł mu zachować neutralność i dotrzymał swego słowa. Przyczyniło się to do zacieśnienia węzłów między Petersburgiem a Berlinem, co dzięki geniuszowi Bismarck'a miało doniosłe następstwa w ciągu drugiej połowy XIX w., w historii Europy.

Rząd rosyjski więc jest przekonany, że Austria pójdzie za przykładem Prus; niebawem jednak przekonał się, ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, że bynajmniej tak nie jest.

Franciszek Józef postąpił bardzo niezręcznie, pisząc prywatnie do cara długi list, który wprawił Mikołaja w gniew, graniczący z wściekłością. Austriak domagał się, aby car powtórzył „na piśmie”, jak to mówią „czarno na białym”, ustne zobowiązania, poczynione przezeń w czasie spotkania w Oł-

muńcu. Przypominał te zobowiązania, wyliczał je: zapewne nie, że car nie przekroczy Dunaju, nie będzie usiłował kosztem sułtana rozszerzyć terytorium ani wpłynąć na stosunki sułtana z bałkańskimi chrześcijanami, podlegającymi jego władzy. Co do tych wszystkich punktów więc domagał się Franciszek Józef formalnego potwierdzenia, w przeciwnym bowiem wypadku — pisał — nie mógłby oprzeć się naciskowi, jaki nań wywierają Anglia i Francja.

Najbardziej rozdrażniło w tym liście cara, że Franciszek Józef, śmiać wątpić o jego słowie, pozwala sobie żądać zobowiązań pisemnych. Car poczuł się osobiście dotknięty. Stąd w jego odpowiedzi gwałtowny, oburzony ton, cierpkość i rozdrażnienie. Odmawiał gwarancyj, których Franciszek Józef ma odwagę, aby nie powiedzieć czelność, żądać. Przypominał o religijnym, świętym charakterze walki, przedsięwziętej przeciwko państwu tureckiemu. Sama myśl, że Austria w tej krucjacie nie będzie po jego stronie, lecz przeciwko niemu, wydaje mu się gorszącą, świętokradczą.

I oto dwaj, doniedawna tak zaprzyjaźnieni władcy, występują przeciw sobie.

Nawet jeśli Franciszek Józef miał słuszność, jeśli mógł odnosić się z nieufnością do Rosjan i nie chciał poświęcić im swych interesów na Bałkanach, to forma, jaką nadał swej interwencji, jest niewybaczalnie niezręczna i głupia. Jakby umyślnie używa słów, najbardziej dla cara obraźliwych. Gdyby chciał go sobie ostatecznie zrazić, nie mógłby skuteczniej postąpić.

Jego zarzuty przeciwko rosyjskiej polityce na Wschodzie mogły i powinny były być przedstawione w sposób bardziej zręczny.

Brak kurtuazji był tak rażący, że nie wiedziało się, czy w

głębi duszy Franciszek Józef nie jest zadowolony, iż może dać carowi do zrozumienia, że nie uważa się już za zobowiązanego, za protegowanego.

Są ludzie, u których świadomość doznanego dobrodziejstwa stwarza uczucie zakłopotania, zażenowania, niemal upokorzenia, — tym większe, im większe było to dobrodziejstwo. Uczucie takie przeobraża się też niekiedy w pewnego rodzaju nienawiść.

Poróżniwszy się w ten sposób z Mikołajem I, Franciszek Józef, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, robi jeden z tych kroków decydujących, których następstwa miały zaciążyć na całym jego panowaniu.

Austria i Rosja, oddawna związane i solidarne, idą odtąd rozbieżnymi drogami. Sprawy wschodnie coraz bardziej wzmagają ich antagonizm. W sześćdziesiąt lat później stanie się to jednym z powodów, a nawet głównym powodem wojny europejskiej.

Po tym pierwszym swym błędzie, Franciszek Józef brnie dalej. Było ich coraz więcej; nie uniknął ani jednego.

Z chwilą odsunięcia się od Rosjan, powinien był przynajmniej wyciągnąć z tego kroku korzyści, zbliżyć się do ich przeciwników, do Francuzów i Anglików. Pojmował tę konieczność, zamierzał nawiązać rokowania z Napoleonem III — w nadziei, próżnej zresztą, iż ten przestanie popierać aspiracje włoskie. Widocznie nie znał cesarza francuskiego. Gdyby nawet Napoleon, co było mało prawdopodobne, dał się odwieść od swej polityki wobec Włoch, to w żadnym razie nie uczyniłby tego darmo; trzeba było zaofiarować mu wzamian inne jakieś korzyści. Ale Franciszek Józef nie myślał nic dać!

Zresztą, tak samo postępuje on przez cały czas swego pa-

nowania. Jego zasadą polityczną było: wszystko brać, nic nie dawać.

Naskutek nalegań mocarstw zachodnich, Franciszek Józef godzi się w r. 1854 podpisać wspólną odezwę do cara w sprawie ewakuacji księstw naddunajskich.

Mikołaj, zmuszony do wycofania swych wojsk, przypisuje tę porażkę Franciszkowi Józefowi, czyniąc go za nią bezpośrednio i osobiście odpowiedzialnym.

W grudniu 1854 r. Austria, zbliżając się pozornie do mocarstw zachodnich, zdaje się być gotową do przyłączenia się do sojuszu przeciwko Rosji. Ale stanowisko jej jest dwuznaczne, pełne niedomówień i luk — tak, że pozwala jej zachować neutralność i tylko część wojsk mobilizować na wschodnich granicach.

Słowem, Franciszek Józef nadal nie chce się angażować — ani z jednej strony, ani z drugiej.

Dzięki podwójnej tej grze spodziewa się on zadowolić Napoleona III, a równocześnie przekonać cara o swojej życzliwości.

Nie jasna ta polityka, polegająca na nie mówieniu ani tak, ani nie, jest najmniej korzystną, a nawet najbardziej niebezpieczną ze wszystkich. Zraziła ona Rosję, a nie zjednała cesarzowi przyjaźni i wdzięczności Anglii ani Francji.

Po traktacie z grudnia r. 1854 zarówno węzły łączące Rosję z Austrią, jak stosunki osobiste pomiędzy obydwoma władcami zostają zerwane. Car, uważając odtąd Franciszka Józefa za wroga zdejmuje z biurka jego fotografię, i lokajowi daruje jego popiersie.

Tymczasem nieufność i niezadowolenie rządu francuskiego i angielskiego wzrastają z każdym dniem, a gdy Franciszek Józef nie przyjmuje ofiarowanego mu przez Francję sojuszu,

Napoleon III obdarza go takimi mniej więcej uczuciami, jak car.

Mimo popełnienia szeregu nieprawdopodobnych wprost błędów dyplomatycznych, Austria ustala warunki pokoju, przyjęte w marcu 1856 r. przez nowego cara Aleksandra I. Mogła przy tej okazji znaleźć sposób udobruchania Rosji, polepszyć swe stosunki z carem. Pokierowała jednak sprawami tak, że Rosja jest bardziej niezadowolona niż kiedykolwiek. Franciszek Józef, zamiast łagodzić warunki pokojowe, obostrzył je z krzywdą dla Rosji. Brzydkie to postępowanie nie przyniosło mu żadnej korzyści, nie udało mu się bowiem rozszerzyć swej granicy za po naddunajskie prowincje, stanowiące ukryty cel jego marzeń. Cała polityka austriacka pozostała niepewna, mglista i dziwaczna. Prowincje naddunajskie, po odzyskaniu niepodległości, stały się królestwem rumuńskim.

Pomijając już chaos, w jakim znalazły się finanse z powodu długiej i zupełnie zresztą niepotrzebnej mobilizacji — ten sam błąd miał się powtórzyć w latach, poprzedzających rok 1914 — wojna krymska miała jeszcze inne bardzo poważne dla Austrii następstwa.

Piemont, który uczestniczył w wojnie i wysłał wraz z wojskami francuskimi i angielskimi oddział ekspedycyjny, zyskuje dla swej sprawy bardzo życzliwe poparcie.

Równie doniosłą konsekwencją jest wpływ, jaki polityka austriacka wywarła na kwestię niemiecką.

Partia rusofilska pod przewodnictwem Prus, — to znaczy Bismarcka, stała się znacznie silniejsza. W miarę jak Niemcy zbliżały się do Rosji, oddalały się w tym samym stosunku od Austrii. To, co Austria w ciągu tych kilku lat straciła, zyskały Prusy.

Począwszy od tej wojny, Austria zaczyna upadać, a Prusy stają się potęgą.

Utrata Włoch.

Teraz dają się odczuć następstwa doniosłych błędów, popełnionych przez Franciszka Józefa, któremu brak było doświadczenia i zmysłu politycznego. Rozpoczęła się seria klęsk. Austria traci najpierw Włochy, a następnie Niemcy.

Pełną odpowiedzialność za to wszystko ponosi Franciszek Józef.

Jego inteligencja, która nigdy nie była wielka, została przedwcześnie wstrzymana w swym rozwoju. Cesarz nie zna zagranicy, albo źle ją zna; nie zna nawet dobrze krajów sąsiednich — Rosji, Niemiec i Włoch. Ciągłe ma co do nich złudzenia i widzi je takimi, jakimi wcale nie są. Franciszek Józef jest, jak to mówią Anglicy, człowiekiem „*living under a cloud of misrepresentations*” (żyjącym w obłoku fałszywych wyobrażeń).

Piemont, którego polityką kieruje wielce utalentowany mąż stanu, Cavour, zajął w czasie wojny krymskiej wyraźne stanowisko, zaangażował się na rzecz Anglii i Francji i teraz ciągnie korzyści, jakie zawdzięcza swojej zręczności.

Czuając się coraz pewniejszym poparcia Napoleona, zaczyna prowadzić w Lombardii prowokacyjną politykę wobec Wiednia.

Napoleon III, który napróżno proponował Franciszkowi Józefowi sojusz, decyduje się po zamachu Orsini'ego, który wywarł na nim wielkie wrażenie, dopomóc Piemontowi w jego rewindykacjach, nawet gdyby to miało doprowadzić do wojny z Austrią. Porozumienie z Cavour'em zostaje formalnie przypieczętowane w Plombières.

Jakkolwiek to spotkanie zachowane jest w tajemnicy,

Franciszek Józef zdaje sobie sprawę, że lada chwila będzie zmuszony stoczyć wojnę z Piemontem i Francją.

Gdzie znaleźć poparcie?

W r. 1854, w czasie wojny krymskiej, Franciszek Józef spowodował wielkie niezadowolenie Rosji. Neutralność Austrii była dla cara tym większym zawodem, że gdyby nie pomoc Rosjan w r. 1848, Węgry byłyby się wymknęły z pod władzy Habsburgów. To też Rosja jest zdecydowana nie uczynić najmniejszego wysiłku celem wydobycia ich z obecnych trudności.

Franciszek Józef wyobrażał sobie, że dopomoże mu Anglia. Widocznie nie znał Anglików. Pomijając już, że opinia angielska sympatyzowała z Włochami, zasadą dyplomacji angielskiej jest nie mieszać się do spraw europejskich, o ile ważne jakieś interesy Anglii tego nie wymagają.

Austria mogła zatem jedynie ze strony Niemiec i Prus otrzymać pomoc — może skuteczną, ale z pewnością nie darmową. W ten czy inny sposób trzeba było za nią zapłacić.

Franciszek Józef nie chce tego zrozumieć; na tym polega największy jego błąd.

Przypuszcza on, że narodowe poczucie germańskie wystarczy samo przez się do spowodowania interwencji Niemiec przeciw Francji.

We Wiedniu ciągle słyszy się zdanie: „Lombardia będzie broniona nad Renem”. Mogłoby tak być, lecz pod jednym warunkiem: gdyby Franciszek Józef zdecydował się na duże ustępstwa na rzecz Prus. Ale, naskutek swego zaślepienia i egoizmu cesarz nie chce o tym słyszeć.

Księżę regent pruski, Wilhelm, jest zdecydowany na interwencję. Domaga się jednak kategorycznie, ażeby oddano mu dowództwo nad niemieckimi wojskami. Trzeba pamiętać, w

jakim to działa się czasie. Austria dzierżyła przewodnictwo w Konfederacji germańskiej; cesarz przy swym charakterze i temperamencie musiał uważać za bardzo przykrą, niemal upokarzającą rzecz dozwolić Prusakowi, aby zamiast niego objął komendę; był to pierwszy bardzo ważny krok ku pruskiej hegemonii w Niemczech.

Ta sprawa niemieckiej interwencji jest niezwykle delikatna. Należy zwiększyć środki ostrożności, aby nie dać Prusom pretekstu do uchylecia się. Prusacy bowiem myślą wyłącznie o swych własnych korzyściach.

Jedna z reguł konstytucyjnych Konfederacji opiewała, iż na wypadek wojny zaczepnej rozpoczętej przez jednego z jej członków, Konfederacja nie jest zobowiązana do zmobilizowania swych sił. Tylko w razie zaatakowania jednego z członków, lub gdyby wojna toczyła się na jego własnym terytorium, Konfederacja powinna wystąpić zbrojnie w obronie napadniętego.

Franciszek Józef, popełniając jedną niezręczność za drugą, sam wypowiada wojnę Piemontowi. Było to tak jakby Francja w 1914 rozpoczęła działania nieprzyjacielskie zamiast czekać aż Niemcy je zaczną.

Gorzej! Austria rozpoczyna wojnę, nie ułożywszy się uprzednio z Prusami, ani z innymi członkami Konfederacji.

Najdziwniejsze i wprost niesłychane jest to, że mimo wszystko cesarz jest przekonany, iż całe Niemcy zerwą się, aby stanąć w jego obronie. W historii nie wiele jest przykładów tak źle prowadzonych rokowań.

Błędy w dziedzinie wojskowej są równie wielkie jak w dziedzinie dyplomatycznej.

Rząd austriacki, jak zawsze bez pieniędzy, podobnie jak marnotrawny, potrzebowski syn, zastawiający klejnoty ro-

dzinne, sprzedaje francuskiemu towarzystwu koleje żelazne, kursujące w jego włoskich prowincjach. W ten sposób administracja i eksploatacja tych linii, których rola na wypadek wojny jest niezmiernie doniosła, przechodzi w ręce wrogów!

Franciszek Józef zlecił dowództwo bardzo przeciętnemu generałowi, Gyulay'owi, który, będąc przekonany, iż nie da sobie rady, przyjął nominację jedynie pod przymusem. Trzeba było aż kategorycznego rozkazu cesarza, ażeby Gyulay się zgodził.

Historyk Redlich przytacza zabawną anegdotę, często opowiadaną w czasach jego młodości.

Kiedy Gyulay żalił się, że musi dowodzić armią, pewien austriacki mąż stanu, przyjaciel cesarza, znany z tępoty umysłu, odpowiedział mu: „Was fällt dir denn ein?” (Co też ty wygadujesz?). Dlaczego miałbyś nie potrafić tego, co potrafił ten stary osioł Radetzky, mimo, że miał osiemdziesiąt kilka lat?”

Widać więc, z jaką niedbałością i lekkomyślnością sprawy traktowano.

Franciszek Józef, jakby się uparł, że nie uniknie żadnego błędu, zdobywa się na szaleńczy krok: opuszcza stolicę, aby we własnej osobie stanąć na czele swych wojsk. Uważał, że jest to jego obowiązkiem. Skłoniło go do tego jego namiętne zainteresowanie wojskiem. Nie zdawał sobie sprawy z rozmaitych niedogodności, jakie pociągnie za sobą jego obecność na froncie. Napoleon III zresztą popełnił ten sam błąd.

Car Mikołaj II w czasie wojny europejskiej dopuścił się tej samej nieostrożności. Pozostając pod zgubnym wpływem carowej, jego złego ducha, sam objął naczelne dowództwo; opuściwszy stolicę, zamieszkiwał w głównej kwaterze, co niebawem pociągnęło za sobą jaknajgorsze następstwa.

Pierwsza wielka bitwa, pod Magentą, pozostała nierozstrzygnięta. Armia austriacka wycofała się poza Mincio.

Druga, która była decydująca, Solferino, została przegrana głównie z winy naczelnego wodza Austrii, samego cesarza. Widok poległych i rannych na polu bitwy wywarł na nim takie wrażenie, iż nakazał odwrót — w chwili, gdy sytuację można było uratować rezerwami austriackimi.

W ten sposób bitwa została nie tyle wygrana przez Francuzów, ile przegrana przez naczelne dowództwo austriackie. Franciszek Józef więc zadecydował sam o wszystkim, i to bardzo niezręcznie, nie zasięgając niczyjej rady w kwestii dyplomatycznego przygotowania, wypowiedzenia i prowadzenia wojny z Piemontem.

Tak samo postąpił po swojej porażce. Zarówno inicjatywa, jak decyzja zawarcia pokoju wyszła od niego samego. Nigdy jeszcze nie zawarto pokoju tak łatwo i szybko.

Napoleon III i Franciszek Józef, zwycięzca i zwyciężony, pragnęli jaknajprędzej z tym skończyć. Napoleon III obawiał się (zresztą dość słusznie), że w razie przedłużania się wojny Prusy mogłyby zaatakować go nad Renem, naskutek czego Francja znalazłaby się w bardzo niebezpiecznym położeniu. Gdyby Franciszek Józef chciał tego naprawdę, mógł jeszcze prowadzić wojnę, gdyż wojska jego, pomimo klęsk, były jeszcze silne. Co więcej, mógł liczyć na interwencję Prus i Niemiec, co zmusiłoby Francuzów do wycofania się z Włoch.

Ale zamiast uprzeć się, ustąpił odrazu. Bez wahania zgodził się poświęcić Lombardię. Był to człowiek ponoszący z łatwością największe straty i ofiary. Zachowywał się tak, jakby mu to było zupełnie obojętne.

Nie przysięgała go, ani nie powaliła utrata prowincyj, rozstrzelanie brata, samobójstwo syna, zamordowanie żony i

następcy tronu. Po doznanej stracie odzyskiwał natychmiast równowagę i stawał się znowu niewzruszony. Zdaje się, że zawdzięczał to niezwykle mu darowi zapominania. Przeszłość, z jej radościami i smutkami, przestawały istnieć automatycznie.

Wszystkie nadzieje, jakie pokładał w tej wojnie, zawiodły. Nie znalazł ze strony Rosji, Anglii ani Niemiec żadnego poparcia, na jakie nierozważnie liczył. Jego zdaniem nie pozostało mu nic innego jak zawrzeć pokój. Im prędzej, tym lepiej!

Oddał Lombardię Napoleonowi III, który z kolei odstąpił ją Piemontowi.

Wyjednał u Francji, iż nie będzie się sprzeciwiała przywróceniu, we Włoszech środkowych, dynastii parmeńskiej, modeńskiej i tokańskiej, zdetronizowanych przez ludność z rozpoczęciem wojny. Obietnica ta nie wiele kosztowała Francję. Tylko siła obca mogłaby narzucić Włochom powrót tych dynastii. Siła ta, z chwilą gdy Austria zrezygnowała, przestała istnieć.

Wszystko, co Austria zdołała uratować, to Wenecja, jakkolwiek Napoleon przyrzekł ją Cavourowi. Ale jak długo miała ją Austria utrzymać?

Wewnętrzne następstwa porażki.

Niefortunna wojna włoska i utrata jednej z prowincyj — najpiękniejszej i najbardziej cenionej — zmniejszyły znacznie prestiż, a więc i autorytet cesarza.

Od dziesięciu lat rządzi sam bez żadnej przeciwwagi, kontroli czy współpracy jakiegokolwiek męża stanu godnego tej

nazwy. Doświadczenie to zakończyło się klęską, co każdy musiał przyznać, poczynawszy od samego cesarza. System nie jest zatem dobry, jak to zresztą wykazały wypadki.

Trzeba poszukać i znaleźć coś innego,

Ale co?

Zanim jeszcze Franciszek Józef opuścił teren działań wojennych, otoczyli go różni doradcy, wykazujący mu konieczność „radikalnych zmian”.

Utrzymują oni, że w kraju wzrasta niezadowolenie i gniew, i że może się to stać przyczyną nowej rewolucji.

Cesarz bynajmniej nie podziela tych obaw. Uważa sytuację za znacznie mniej groźną i w gruncie rzeczy nie bez racji. Pewien jest, że może liczyć na poparcie armii, co pozwoli pokrozić wrogów, jeśli już nie zewnętrznych, to w każdym razie wewnętrznych.

Przejmując się jednak widoczną zmianą, jaka dokonała się w jego otoczeniu, wśród ministrów i członków rodziny cesarskiej. Obojętni dotąd na uczucia i manifestacje ludności, z którą się absolutnie nie liczyli, poraz pierwszy od czasu rewolucji roku 1848 zaczynają zwracać uwagę na jej reakcje.

Cesarz, ulegając ich wpływowi, czując, że może jednak byłoby dobrze posłuchać ich rad, decyduje się na pewne zmiany, czyni to bez przekonania, niechętnie i prawie wbrew woli.

W ten sposób rozpoczyna się era półśrodków, połowicznych ulepszeń, które najczęściej są złudą. Cesarz zadowala się pozorami; panuje „ersatz”.

Byłoby trudnym i, zresztą, bezcelowym wyjaśniać szczegółowo szereg zmian konstytucyjnych, wprowadzonych w rozmaitych częściach państwa. Były one też w większej mierze dziełem ministrów, aniżeli cesarza.

Trzebaby było zstąpić w królestwo ciemności.
„Nebel! Nebel!”
(Mgła! Mgła!)

Pierwsze zwycięstwo Bismarcka.

Po utracie najlepszej części posiadłości włoskich, Austria traci raz na zawsze hegemonię w Niemczech.

Coprawda, klęska roku 1866 nie przyniosła jej strat terytorialnych; ale zmniejszenie prestiżu i władzy, jakiego Austria doznała, było dla niej bardzo dotkliwe.

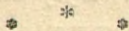
W okresie napoleońskim, cesarz Austrii musiał zrzec się swego tytułu „cesarza świętego imperium rzymsko-germańskiego”, który od wieków mu przysługiwał.

Mimo to jednak ma on jeszcze w Niemczech znaczny wpływ materialny i moralny. Jest nadal przedstawicielem największego mocarstwa germańskiego, w porównaniu z którym Prusy to jakby parwenjusz. Większość książąt niemieckich uważa się za lenników cesarza austriackiego.

Gdy w r. 1851 w stosunkach pomiędzy Wiedniem a Berlinem nastąpiło poważne przesilenie, Prusy, którym energiczny Schwarzenberg zagroził wojną, musiały ustąpić.

Ale od owego czasu zaszła duża zmiana. Potęga Prus wzmożła się w tej samej mierze, w jakiej potęga Austrii zmalała. Nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Ale niebawem wykażą to wypadki.

Gdy między dwoma tymi państwami następuje nieuniknione starcie, Austria zostaje ostatecznie zwyciężona przez Prusy i pozbawiona wszelkiego wpływu na Niemcy.



Przyczyną zatargu austro-niemieckiego, który rozpoczął się w r. 1864 a skończył się po dwóch latach wojną, była sprawa sukcesji księstw Szlezwik i Holsztyn.

Zagadnienie to było tak skomplikowane i nie jasne pod względem prawnym, że zdaniem Bismarcka mógłby je wythumaczyć chyba tylko stary profesor historii.

W księstwach tych panował stary król duński, nie mający potomka. Holsztyn zamieszkiwała ludność wyłącznie niemiecka, a Szlezwik niemiecka i duńska.

W r. 1864 król ten umiera i wyłoniła się kwestia, kto będzie jego następcą.

Wielkie mocarstwa postanawiają na konferencji londyńskiej w r. 1852, że nadal będzie tam rządził książę duński.

Ale Prusy, a zwłaszcza Bismarck, który z zadziwiającą zręcznością kieruje ich sprawami, ma wielką ochotę te księstwa zaanektować.

Zaokrągliłyby one państwo, czyniąc je bardziej zwartym, jednolitym; tworzyłyby niejako łącznik między prowincjami wschodnimi a środkowymi. Pozatem ułatwiłyby państwu pruskiemu dostęp do morza, zarówno Północnego jak i Bałtyckiego, z zatoką Kielu, który miał stać się największym portem wojennym.

Bismarck, będąc bardzo zainteresowanym w tej sprawie, postanawia wyszukać sobie powody, a przynajmniej preteksty, umożliwiające wykonanie tego zamiaru.

Z całego jego dzieła politycznego, sprawa tej aneksji była najzręczniejsz prowadzona, prawdziwie po mistrzowsku.

Nie popełnia on ani jednego błędu. Urządza się natomiast tak, aby wyzyskać błędy swych przeciwników, Franciszka Józefa i Napoleona III, którzy — co zmniejsza nieco jego zasługę — wykazują niezwykle niezaradność.

Franciszek Józef, najbardziej w tej sprawie zainteresowany, jest jak zwykle niezdecydowany i nie umie się postawić. Przy tej sposobności wychodzi na jaw jego nieznajomość polityki, zaślepienie, i ciasnota umysłu

Jego walka z genialnym przeciwnikiem przedstawia ciekawą, ale przvkry widok. Bismarck igrał z nim jak kot z myszką!



A przecież cesarz Austrii ma w swym ręku atuty. Gdyby umiał jako tako grać, mógłby z pewnością wygrać tę partię. Niestety, nie potrafi wyzyskać swych atutów.

Jego sąd i politykę psuje to, że uparcie ujmuje sprawę jako kwestię dynastyczną, podczas gdy dla większości Niemców jest ona kwestią narodową. Dążąc do jedności, chcą włączyć do Konfederacji te ziemie niemieckie pod berłem księcia niemieckiego, a mianowicie, księcia Augustenburga, który rości sobie prawo do księstw.

Na czym oparte są te roszczenia? Następca tego księcia powiada cynicznie: „Najlepszym dowodem, że prawa nasze są słuszne, jest to, żeśmy je trzy razy sprzedali!”

Franciszek Józef mógł by, gdyby chciał, oprzeć się na kielbującej w całych Niemczech tendencji, załatwić sprawę sukcesji po swojej myśli a wbrew woli Prus.

Ale na to trzeba było, aby przestał być Franciszkiem Józefem! Obarcza go mnóstwo tradycji, przesądów, od których nie może się uwolnić.

Sama myśl wmieszania do polityki aspiracji narodowych wydaje mu się ohydna. Widzi w tym zasadę rewolucyjną. Wszystko, co ma jakąkolwiek styczność z rewolucją, wzbudza w nim odrazę.

W obec przeciwnika tak skrępowanego swymi skrupułami, baczącego aby nie poprzeć ludów przeciw królom, Bismarck wydaje się bezstronnym, pozbawionym wszelkich uprzedzeń. Nigdy jeszcze tak silnie nie objawiło się jego poczucie rzeczywistości, jak w walce o księstwa Szlezwik i Holsztyn.

Wiedząc dokładnie do czego dąży, a mianowicie do przyłączenia księstw do królestwa Prus, obojętne mu jest, jaką drogą osiągnie swój cel. Posługuje się bez różnicy każdym porparciem, jakie znajduje, o ile tylko może mu się ono przydać w urzeczywistnieniu tego planu.

Udaje mu się wziąć udział w austriackiej ekspedycji wojkowej, przedsięwziętej przeciwko Danii.

Ze strony Franciszka Józefa jest to wielki błąd, istne szaleństwo. Wojskowy współudział w tej ekspedycji, Prus, może go tylko wpłatać w trudności.

„Po co idziemy razem z Prusami? — woła pewien austriacki polityk. — Zaledwie wyciągnęły swe szpony ku księstwom, towarzyszymy im z naszą dobrą muzyką wojskową... Jaką piosenkę im zagramy, gdy zmuszą nas do wyniesienia się?”

Słuszna ta uwaga świetnie uwydatnia błąd popełniony przez Franciszka Józefa.

Nie skończyła się jeszcze ekspedycja przeciw Danii, a między zwycięzcami już powstają trudności. Przy podziale łupów Prusak chce więcej. Co począć z tymi tak łatwo zdobytymi prowincjami?

Król pruski, oczywiście razem z Bismarckiem, udaje się z oficjalną wizytą do cesarza do Schoenbrunnu.

Spotkanie to, jak je opisuje Bismarck w swych „Pamiętnikach”, jest niezwykle ciekawe pod względem psychologicznym.

Bismarck chętnie zdradza po latach tajniki swej polityki, aby dać do zrozumienia, na czym polegało jej powodzenie. Ujawnia się przy tej sposobności jego zręczność i machiawelizm. Franciszek Józef i jego minister Rechberg chcą pozostawić księstwa Prusom wzamian za ustępstwa terytorialne na Śląsku. Jest to dla nich najlepsze wyjście. Ale Bismarck chce wszystko wziąć, a nic nie dać. I odpowiada następująco: „Nasza wspólnota nie jest spółką handlową, gdzie rozdziela się zyski według ustalonych udziałów, ale przypomina raczej towarzystwo myśliwskie, którego każdy członek zabiera swą zdobycz do domu.”

Pomysłowe to, acz zupełnie fałszywe porównanie musiało spodobać się cesarzowi, który był zawołanym myśliwym.

Mógł on jednak i powinien był zapytać, jaka właściwie będzie jego zdobycz. Nie zapytał o nic. Bez słowa sprzeciwu, dał się okpić w ten sposób.

Mógł przynajmniej wzamian za księstwa uzyskać od Bismarcka gwarancję granic włoskich, Wenecji. Lecz i tego nie zażądał.

Austria i Prusy podejmują wspólnie administrację obu księstw. Teraz Bismarck, mając wolną rękę, bardziej niż kiedykolwiek jest zdecydowany wypędzić Austriaków z Niemiec — i szuka i znajduje poparcie na wypadek wojny, która jego zdaniem jest nieunikniona i bliska. Poparcia tego udzielają mu Włochy i Napoleon III. Pomoc Włoch została mu przyrzeczona wzamian za Wenecję, a Napoleon III zgodził się na tę transakcję, mimo, że była sprzeczna z interesami Francji.

Po tak świetnym załatwieniu spraw dyplomatycznych, pozostaje już tylko Bismarckowi znaleźć pretekst do wojny. Franciszek Józef, którym się tak zręcznie posługiwał od początku swej akcji, wyświadcza mu jeszcze raz przysługę.

Zamiast urządzić się w ten sposób, aby odpowiedzialność za napaść spadła na Prusy, Franciszek-Józef zachowuje się tak, że Austria wygląda na napastnika.

Bismarckowi powiodło się pociągnięcie, które z takim samym powodzeniem zastosował w cztery lata później w stosunku do Francji.

Wybucha wojna. Kończy się szybko druzgocącym zwycięstwem Prusaków pod Sadową.

Kłeska Austrii jest w znacznej mierze skutkiem błędu Franciszka Józefa.

Dowództwo armii w Czechach zleca cesarz Benedekowi. Naprawdę generał się opiera, błaga cesarza, aby go pozostawił we Włoszech, gdzie dzięki znajomości terenu wyświadczy wielkie usługi. Benedek musi w końcu usłuchać rozkazu. Na domiar, narzuca mu się doradcę starego, nieruchawego „mamuta” ze sztabu, którego cała umiejętność strategiczna polega na „koncentracjach wstecz”, tak dowcipnie wyśmianych przez Tołstoja w jego arcydziele „Wojna i Pokój”.

Franciszek-Józef, ze względów wyłącznie dynastycznych i rodzinnych, na miejsce Benedeka mianuje arcyksięcia Albrechta, który odnosi nad Włochami łatwe, zgóry dyskontowane zwycięstwa, zupełnie zresztą niepotrzebne.

Po kłesce, za którą cesarz czynił Benedeka osobiście odpowiedzialnym, obszedł on się z nim haniebnie.

Generał, pokonany pod Sadową, odrazu popada w niełaskę. Staje przed sądem wojennym, który jednak nie chce go skazać za nieistniejące przewinienia.

Zniechęcony, złamany, pragnąc zrehabilitować się przed cesarzem, Benedek błaga go o posłuchanie. Cesarz nie chce go przyjąć. Co więcej, żąda od Benedeka słowa honoru, że

nigdy, pod żadnym pozorem, nie będzie odtąd próbował się usprawiedliwiać.

Zaledwie jednak Benedek, żołnierz przywykły do dyscypliny, zobowiązuje się do tego, gdy w dzienniku urzędowym (Wiener Zeitung) ukazuje się długi artykuł, w którym Benedeka miesza się z błotem, zwała się na niego wszelkie błędy, wszystkie zbrodnie.

To postępowanie Franciszka-Józefa wobec generała Benedeka jest plamą na jego charakterze. Nigdy też jego brak serca nie ujawnia się tak ostro.

Cesarz, po klęsce, oczekuje ciężkich warunków pokojowych. Ku wielkiemu jego zdziwieniu są one względnie łagodne.

Prusy wypędzają Austrię z Niemiec, gdzie odtąd jest niczem. Poza tym jednak nie żądają niczego. Nie domagają się ani jednego z jej poddanych, ani jednej piędzi ziemi.

Austria musi tylko zrezygnować z Wenecji na rzecz Włoch.

Obiawia się tu zręczność i wrodzony talent Bismarcka. Wbrew królowi i całemu sztabowi głównemu, przeprowadził te warunki, nacechowane łagodnością i mądrością. Musiał w tym celu stoczyć bardzo ciężką walkę. Trzeba czytać w jego „Pamiętnikach” o tej opozycji, która przybierała niekiedy charakter gwałtowny.

Największym pragnieniem Bismarcka jest pobicie Francji. Tylko pod tym warunkiem Prusy, jednocząc i organizując pod swą władzą Niemcy, mogą stać się największym mocarstwem w Europie. Francja jest głównym przeciwnikiem, Austria zaś — drugorzędnym, z którym zresztą trzeba i można będzie później się ułożyć.

Ażeby w chwili decydującej walki z Francją nie mieć

Austrii przeciw sobie, należy się z nią obejść niezbyt surowo, nie zabierać jej żadnego terytorium, nie wytwarzać pomiędzy nią a Prusami, przepaści nie do przebycia.

Te rozumowania Bismarcka były najzupełniej trafne. Ale król pruski i sfery wojskowe, odurzeni swym triumfem, wszystko widzą w innym świetle. Uważają, że byłoby głupotą nie wyciągnąć ze zwycięstwa jaknajwiększych korzyści. Marzą o triumfalnym wjeździe do Wiednia, podobnie jak, przed pięćdziesięciu laty, wkroczył tam Napoleon.

Bismarck, chcąc uchronić Prusy od popełnienia tego błędu kardynalnego, któryby zniszczył jego plany, wkłada całą siłę i wybujałość swego temperamentu w walkę z generałami. Rzuca się w ten wir z prawdziwą pasją. W pewnej chwili, zwątpiwszy o zwycięstwie, chciał — jak sam opowiada — wyskoczyć oknem. Namiętność jego, i gwałtowność, zazwyczaj opanowywane, wybuchały niekiedy w sposób tak niespodziany, iż wywoływały ogólne zdumienie.



W toku rokowań Austrii ze zwycięskimi Prusami, ujawnia się pewien rys charakteru Franciszka-Józefa, który tłumaczy większość popełnionych przez niego błędów.

Cesarz wiecznie się waha, lubi kompromisy, połowiczne załatwienie spraw, mylnie je uważając za istotne rozwiązanie. Odwleka tylko trudności, nie usuwając ich, i odkłada o ile możliwości powzięcie decyzji. Nadchodzi jednak chwila, gdy trzeba tak czy owak uregulować odkładane trudności, zbliża się rozwiązanie i zakończenie sprawy.

Wówczas jest cesarz zdenerwowany, pragnie jaknajszybciej pozbyć się kłopotu — byle jak i za każdą cenę. Nie zadając sobie trudu dalszego zastanowienia się, wzięcia pod uwagę

możliwości za i przeciw, lekkomyślnie obiera pierwszą lepszą drogę, jaka się akurat otwiera. Zrzuca z siebie odpowiedzialność. To jego posuwanie się naprzód wygląda na ucieczkę!

Wada ta zaczęła występować bardzo wcześnie. Im dłużej Franciszek-Józef panuje, tym bardziej jest widoczna. Nie jest władcą, mogącym samodzielnie kierować wewnętrzną i zagraniczną polityką państwa, zwłaszcza, że jest tak skomplikowana.

Potrzeba by doskonałych ministrów. Prawdopodobnie nie byłby ich tolerował, gdyby nawet się znaleźli, i tak jednak ich niema.

Ludzie, którzy kolejno mu służą, znają ten rys jego natury. Zamiast od początku zwracać jego uwagę na przeszkody, — jak to jest ich obowiązkiem, — ukrywają je przed nim coraz bardziej. Ale udaje im się to tylko przez dość krótki czas, po czym ukrywana rzeczywistość odzyskuje swe prawa i wymagania.

Gdy spotyka go nieszczęście, klęska, cesarz zamiast szukać przyczyny w błędach, popełnianych przez niego, czy jego ministrów, — mówi o swym pechu, o ciężącym na nim fatalizmie. Ma wrażenie, że od urodzenia jest nieszczęśliwy, i że z woli Opatrzności czeka go długi szereg tragedii. Żali się, że nie ma „szczęśliwej ręki” (keine glückliche Hand), co zresztą było prawdą, jeśli idzie o nieszczęścia, które dotknęły go osobiście. Albowiem na pewno nie z jego winy są tragedie, które kolejno zatruwały mu życie, — gdy w bolesny, okrutny sposób stracił syna, żonę, brata i bratanka, arcyksięcia następcę tronu.

Inaczej ma się rzecz z jego „pechem” politycznym. Tutaj, przeciwnie, mógł uniknąć wielu niepowodzeń, gdyby jego rządy i dyplomacja były bardziej przewidyujące i roztropne.

Kompromis z Węgrami.

Austria straciła swe posiadłości we Włoszech i została porzabawiona wszelkiego wpływu w Niemczech. Odtąd rozpoczyna się nowy okres jej istnienia, nowy rozdział jej historii.

Teraz musi tak się urządzić, aby sama sobie mogła dawać radę, co z konieczności pociągało za sobą reorganizację jej rządu — i w zasadzie i w praktyce.

Gdy państwo rozciągało się na znaczną część Europy, materialnie i moralnie obejmując Włochy i Niemcy, zagadnienia polityki wewnętrznej inaczej się przedstawiały i inne miały znaczenie; schodziły wówczas na drugi plan. Obecnie przeszły na plan pierwszy.

Franciszek Józef, zwyciężony przez Prusy, których sił nie doceniał, nie może zrazu się pogodzić z klęską, tak dla niego poniżającą. Myśli o odwecie.

Na szefa rządu mianuje jednego z głównych przeciwników Bismarcka, Beusta, który stale bronił przeciwko Prusom interesów Austrii. Jest to główny powód, dla którego Franciszek Józef wybiera tego męża stanu, spodziewając się znaleźć w nim najbardziej pożytecznego współpracownika w swej antypruskiej polityce.

Pierwsza misja, jaką mu powierza — co jest nad wyraz znamienne — to porozumienie się z Napoleonem III co do wspólnej akcji przeciwko Prusom.

Ale, zaczynając się przygotowywać, zbierać siły do ewentualnej nowej wojny, nasuwa się dla Austrii konieczność porozumienia się przede wszystkim z tym z pośród należących doń krajów, który pod względem militarnym reprezentuje czynnik najbardziej wartościowy, a mianowicie z Węgrami.

Już przed wojną z Prusami nawiązano te rokowania. Ce

sarz zawezwał do Wiednia najbardziej zasłużonego przedstawiciela Węgier, Deaka, aby ustalić możliwą platformę. Węgry, od czasu gdy je upokorzono, ujarzmiono, trwają w biernym oporze. Nie chcą brać najmniejszego bodaj udziału w życiu politycznym monarchii.

Pertraktacje z Deakem nie doprowadziły, i nie mogły doprowadzić do żadnego skutku. Cesarz w owym czasie jest w nastroju uniemożliwiającym przyznanie Węgom ustępstw, uważanych przez Deaka za nieodzowne i minimalne.

Trzeba było aż zwycięstwa Prus i konieczności pogodzenia się z wrogami wewnętrznymi, aby Franciszek Józef zmienił zdanie i powoli oswoił się z myślą o ofiarach, jakie będzie musiał ponieść. Nie poszło to zresztą łatwo. Cesarz decyduje się z wielkim trudem. Walczy, opiera się, zanim w końcu ustępuje, po wielu wahaniach.

Wpływa na niego Beust, a może w większej mierze cesarzowa, która po wielu latach tułaczego życia zapagnęła wrócić do stolicy, zbliżyć się do męża w chwili gdy tyle spotkało go nieszczęść.

Cesarzowa dosłownie zawróciła sobie głowę Węgrami. Nalega ze wszystkich sił na cesarza, aby się zdecydował na porozumienie, choćby za cenę znacznych ustępstw.

Co do Beusta, to chęć znalezienia sojusznika i broni przeciwko Bismarckowi górowała u niego nad wszystkim. Spodziewał się, że Węgrzy dopomogą mu w urzeczywistnieniu jego planów.

Było to z jego strony złudzenie. Brak mu było przenikliwości i orientacji. Gdy tylko Węgrzy odzyskają w monarchii wpływ, do jakiego roszczą sobie prawo, doradzą, a raczej narzucą politykę nie antypruską, lecz przeciwnie, zbliżenie z Niemcami.



Arcyksiążę Franciszek — Ferdynand, następca tronu

Trzeba zaślepienia, aby nie zdawać sobie z tego sprawy.

Węgrzy dobrze wiedzą, że swe oswobodzenie i odrodzenie zawdzięczają wyłącznie zwycięstwu Prus nad Austrią. Są zatem gotowi uczynić wszystko, aby zwycięstwo to się utrzymało.

Beust zresztą mógł być tylko miernym współpracownikiem w trudnych tych rokowaniach z Węgrami. Jako obcy (był saksończykiem) nie znał skomplikowanego mechanizmu rządu austriackiego, tysięcy kółek administracji, wśród których nie umiał się połączyć. Nie potrafił ocenić należyście, jakich to ustępstw żądają Węgrzy. Gorzej! Bo nie przewidywał następstw, jakie wynikną dla monarchii z nowej tej orientacji.

Czego właściwie żądali Węgrzy, których przywódcy okazali dużą zręczność w toku długich tych rokowań?

Deak jest o tyle mądry, że nie zmienia stanowiska. Po klęsce Austrii, stawia te same żądania, które wysuwał przed Sadową. Na Franciszku-Józefie, spodziewającym się najgorszego, wywarło to bardzo dobre wrażenie.

Węgrzy chcą — powstając pod berłem tego samego monarchy Franciszka Józefa — zerwać wszystkie niemal węzły, łączące je z Austrią, z wyjątkiem spraw zagranicznych, granic obcych i naczelnego dowództwa armii.

Nieliczna partia skrajna poszła jeszcze dalej, domagając się czysto personalnej unii z Austrią, czyli jednego monarchy dla obu krajów, przy całkowitej niepodległości Węgier.

Wspaniale prowadzić tę grę, Węgrzy zaczynają od przyznania, w kwestiach drugorzędnych (używanie języka ojczystego w szkołach i t. p.), pewnych drobnych ustępstw Rumu-

nom, Słowakom, Niemcom, Kroatom i Serbom, stanowiącym razem nieco więcej, aniżeli połowę ludności na Węgrzech.

Nie trzeba więcej, aby w oczach Niemców austriackich uchodzić za liberałów.

Ale idą dalej: jako warunek porozumienia z cesarzem wysuwają żądanie konstytucji dla wszystkich ludów austriackich. W całej monarchii chcą wprowadzić parlamentaryzm. Czy to umiłowanie do rządu konstytucyjnego było z ich strony bezinteresowne? Czy szczerze wierzyli w jego zalety, czy też w ich pragnieniu kryło się wyrachowanie? Ponieważ parlamentaryzm musiał osłabić w Austrii władzę centralistyczną, łatwiej im będzie bronić swych interesów.

Niemcy austriaccy dają się złapać na tę przynętę. Wielu z nich byłoby wystąpiło przeciwko żądaniom węgierskim, ponieważ stanowiły one niebezpieczeństwo dla monarchii, w tych jednak warunkach popierają Węgrów. W ten sposób zyskują sobie Węgrzy licznych i możnych obrońców, którzy dopomogą im do zwycięstwa.

Cesarz, stopniowo wchodząc na drogę ustępstw, przyznaje im na początek dawną konstytucję z przed r. 1848. Jednym pociągnięciem pióra uchyla następstwa rewolucji, która zakończyła się klęską Węgrów. W ten sposób wykreślił szesnaście lat rządów absolutystycznych i zrezygnował ostatecznie z idei i zasad, jakimi się kierował w rządzeniu monarchią.

Węgrzy tworzą rząd pod przewodnictwem Andrassy'ego zwanego „pięknym wisielcem”. Już sam ten wybór jest znamienny. Andrassy był w czasie rewolucji jednym z głównych zastępców Kossutha i jego ambasadorem w Konstantynopolu. Oskarżony o zdradę stanu i powieszony „in effigie”, schronił się do Paryża, gdzie mniej zajmował się polityką, niż zabawą i życiem towarzyskim.

Dzięki wybitnej urodzie, cieszył się wielkim powodzeniem. Był jednym z „lwów” emigracji węgierskiej.

Niebawem jednak dokonywa się w nim przemiana. Zaczyna zdawać sobie sprawę z konieczności zawarcia z Austrią układu. Jego małżeństwo z pewną młodą Węgierką, której rodzina zachowywała się zawsze bardzo lojalnie wobec dynastii, przyspiesza jedynie tę ewolucję. W r. 1857 uzyskuje Andrassy prawo powrotu do ojczyzny.

Dzięki jego zabiegom Węgierka, Ida Ferenczi, zostaje damą dworu cesarzowej. Osiąga ona coraz większy wpływ na Elżbietę. Donosi Andrassy'emu o wszystkim, co czyni i myśli cesarzowa, która Węgry darzy coraz żywszą sympatią.

Wreszcie Andrassy, na balu dworskim w Wiedniu, spotyka się z cesarzową, która już wiele o nim słyszała.

Oboje są jakby stworzeni dla siebie; wzajemnie się rozumieją i podobają. Niebawem przyjaźnią się serdecznie. Andrassy towarzyszy cesarzowej w wielu podróżach, wyjeżdżają razem do Anglii na polowania z chartami. Zażyłość ich staje się coraz większa. Czy był jej kochankiem, jak to utrzymywano? Nie jest to niemożliwe, chociaż mało prawdopodobne. Nie ma żadnych dowodów tego rzekomego stosunku.

Możliwe jest, że cesarzowa, pomimo swych dalekich podróży i przedłużających się nieobecności, nigdy w pełni nie wyzyskała żadnego ze swych sentymentalnych stosunków. Była kapryśna, dziwaczna, dotknięta po części dziedzicznym obłędem Wittelsbachów i nastawiona bardziej na sporty, jazdę konną i szermierkę, niż na miłość. To też nie jest wykluczone, iż żaden z mężczyzn, z którymi była blisko związana, nie był dla niej niczym więcej, jak towarzyszem i przyjacielem.

Andrassy, jako premier węgierski, ma dostęp do dworu.

Często widuje cesarza, w obec którego jest wymownym, nie-strudżonym obrońcą sprawy swego narodu.

Jest dobrym mówcą, jak większość jego rodaków, którzy przepadają za krasomówstwem i całymi godzinami, a nawet dniami mogą słuchać swych mówców. Franciszek Józef uważa niekiedy, że Andrassy mówi za wiele. Cesarz jest zmęczony, znudzony tym niewyczerpanym potokiem słów. Ażeby się od tego uchronić, nie widzi innego sposobu, jak zamknąć się przed Andrassym. Ale Węgier, nie zrażając się łatwo, dzięki wpływowi Elżbiety umie dostać się do cesarza. I Franciszek Józef, jak zawsze, w końcu godzi się z tym. Ustępuje.

Z wiosną r. 1867 zostaje podpisany słynny układ wprowadzający nowy porządek w stosunkach między Austrią a Węgrami. Układ ten, który miał wyrzucić tak wielki wpływ na losy monarchii, zwie się po niemiecku „Ausgleich” (ugoda). Po francusku nazywa się to „Kompromisem”; jest to określenie w pełni uzasadnione. Było to rozwiązanie nie wyraźne, zawikłane, skomplikowane, trudne do zrozumienia dla kogoś, kto lubuje się w sytuacjach jasnych i prostych; „Ausgleich” nie jest ani rozłączeniem ani zjednoczeniem Austrii i Węgier, ale jest to coś pośredniego, jakaś mieszanina zdradzająca rozmaite pierwiastki i wpływy, które jako tako zdołały się zneutralizować.

Układ ten rozdziela monarchię na dwa państwa suwerenne, z których każde ma te same prawa i podlega temu samemu monarsze, mającemu dwa tytuły: cesarz Austrii i apostolski król Węgier. Całość nosi oficjalną nazwę „Austro-Węgry”.

Królestwo węgierskie obejmuje wszystkie dawne kraje korony św. Stefana: właściwe Węgry, Kroację, Sławonię, Siedmiogród i Serbię.

Cesarstwo austriackie obejmuje pozostałą część monarchii, czyli siedemnaście prowincyj.

Pierwszą z tych grup oznacza się nazwą Translitawii, drugą — Cislitawii. W obu rządach panuje rasa, uważająca się za wyższą od innych za „naród panów” (Herrenvolk). Na Węgrzech — Madziarowie, w Austrii — Niemcy.

Opowiadano, że premier austriacki rzekł swemu węgierskiemu koledze: „Pilnujcie swoich hord! My będziemy pilnowali swoich!”

Wspólnymi sprawami obu suwerennych państw są: polityka zagraniczna, armia i marynarka, z wyjątkiem bardzo ważnych, zasadniczych niemal kwestii w wojsku: poboru, prawodawstw, czasu trwania służby wojskowej, oraz aprowizacji.

Wydatki, związane ze wspólnotą służby państwowej, reguluje układ tymczasowy, ważny dziesięć lat, analogiczny do układu handlowego, zawartego pomiędzy dwoma krajami. Po upływie owego dziesięciolecia może on być zmieniony. Nie jest to umowa ostateczna, lecz zwyczajny kontrakt najmu, który każda ze stron ma prawo wypowiedzieć („Monarchie auf Kündigung” — „Monarchia z wypowiedzeniem”).

Budżet tych rocznych wydatków uchwalają — według bardzo skomplikowanego klucza, wymyślonego przez Andrassy’ego — delegacje obu parlamentów.

Delegacje te, mając równe prawa i jednakową liczbę członków, zbierają się jednego roku w Wiedniu, drugiego — w Budapeszcie. Obradowują oddzielnie, komunikując się tylko pośrednio, na piśmie.

* * *

Oto w ogólnych zarysach ten system, niezbyt prosty, jak widzimy. Aby mógł działać, trzeba będzie dużo dobrej woli, jak i dużo szczęścia.

Czynnik rozdzielający jest w tym dziwnym układzie nie-
skończenie większy, niż czynnik jednoczący.

W rzeczywistości jest jedność monarchii, poza osobą monarchy, zagwarantowana jedynie wspólną armią. W dodatku, armia ta podlega siłom rozbieżnym, usiłującym zerwać jedność i mogącym być przyczyną poważnego osłabienia.

Dzięki ostrożnościom, przedsięwziętym przez Madziarów, którzy zastrzegli sobie pewne prawa, udaje im się stworzyć, poza tą wspólną armią, wojsko czysto madziarskie, t. zw. Honwed, które w zasadzie ma służyć wyłącznie obronie terytorialnej, lecz powoli przekształca się w armię prawdziwą.

Austria, dla równowagi, tworzy ze swej strony analogiczną siłę, „Landwehr”, tak, że zamiast jednej armii po pewnym czasie są trzy.

Te same starania i wyniki Węgrów powtarzają się odnośnie innych spraw wspólnych. Udaje im się osiągnąć w rządzeniu monarchią stanowisko niewspółmierne z ich siłą istotną. Dzięki swej wytrwałości narzucają w końcu swą wolę w większości spraw państwowych.

Ten rzekomo dualistyczny system działa w ten sposób co raz bardziej na rzecz Węgier.

Rząd centralistyczny, rozrywany na dwie strony, między różne, często sprzeczne siły, przestaje właściwie istnieć.

System ten — co ważniejsze — uniemożliwia próbę utworzenia reżymu federacyjnego, który stanowiłby dla tej złożonej z różnych ludów monarchii najlepsze, a w każdym razie najmniej szkodliwe wyjście.

Węgrzy, uzyskawszy całkowite zadośćuczynienie, nie chcą obecnie dopuścić, aby analogiczne ustępstwa przyznano innym narodowościom, szczególnie Czechom, którzy są równie licznie reprezentowani i mają także niezaprzeczalne prawa

historyczne. Czechy bowiem, tak samo jak Węgry, były niedyś suwerennym, niepodległym państwem.

Dlaczego mianoby uparcie odmawiać Czechom tego, co przyznano Madziarom?

Ale rozbrojenie monarchii na dwa oddzielne państwa ustala raz na zawsze, stereotypuje niejako, jej statut polityczny. reguluje nie tylko teraźniejszość, ale również przyszłość. Cesarz pozbawia się wszelkiej możliwości przeprowadzenia później reform. Jego monarchia, niezależnie od jego woli, jest na długo, jeśli nie na zawsze, skazana na niesprawiedliwość tego dualistycznego ustroju, zmuszającego znaczną część jego ludów, Czechów, Słowian południowych, Rumunów i Włochów do coraz gwałtowniejszego i bardziej wrogiego występowania przeciwko państwu. Przeobraził on ich automatycznie w buntowników, mających jedno tylko pragnienie: rozbiór, zniszczenie państwa, które obchodzi się z nimi tak niesprawiedliwie, uważa ich za obywateli drugiej klasy, pozbawionych wszelkich praw politycznych.

Działalność tych sił rozbieżnych musiała prędzej czy później doprowadzić monarchię do upadku.

Zdawał sobie z tego sprawę, w ciągu ostatnich lat długiego panowania Franciszka-Józefa, jego następca arcyksiążę Franciszek Ferdynand, inteligentniejszy od swego stryja i, pomimo wszystkich swych wad, mający dużo więcej przenikliwości i sprytu politycznego. Jego znana nienawiść do Węgrów nie miała, w gruncie rzeczy, innego podłoża.

ROZDZIAŁ IV.

Tragedie domowe. — Przygoda meksykańska.

Poza dramatami politycznymi, oto bardzo długi szereg dramatów osobistych. Na Franciszka Józefa zaczął spadać okresowo ciosy zsyłane przez los. Traci on nie tylko obszary ziemi, prowincje, lecz również — w najbardziej bolesnych okolicznościach — swego młodszego brata, Maksymiliana, swego jedyne go syna Rudolfa, żonę i wreszcie bratanka, następcę tronu, którego śmierć jest przyczyną jednej z najokropniejszych wojen, jakie kiedykolwiek zboczyły krwią Europę, doprowadzając w końcu do zupełnego upadku monarchii austro-węgierskiej.

Ten ciąg nieszczęść tworzy to, co możnaby nazwać „tragedią Habsburgów”.

Cesarz, pod ciężarem wszystkich tych nieszczęść, pozostaje sobą, nie zmienia się z usposobienia, ani pod względem swego biurokratycznego formalizmu. Wydaje się niewzruszony. Przeżywa wszystkich swoich. Możnaby niemal powiedzieć, że przeżywa sam siebie.

Dramat meksykański, który stał się przyczyną śmierci jego brata, arcyksięcia Maksymiliana, jest wynikiem długich ro-

kowań i intryg, mających na celu znalezienie jakiegoś księcia europejskiego, cieszącego się poparciem jednego lub kilku wielkich mocarstw, któryby zechciał panować w dzikim, niespokojnym i nawpół anarchistycznym kraju — w Meksyku.

Starania te podjęła dzielna, ruchliwa grupa meksykańskich emigrantów, którzy po wybuchu rewolucji schronili się do Europy i pragnęli oczywiście odwetu i odzyskania wpływów i majątków przy pomocy zagranicy. W tej sprawie oni najwięcej, a właściwie tylko i wyłącznie oni byli zainteresowani, co tłumaczy zapał i upór, z jakim się do niej zabrali. Szukali wszędzie pomocy. Wreszcie ją znaleźli, i to bardzo skuteczną, w osobie Napoleona III, a jeszcze większą — w osobie cesarzowej Eugenii.

W tej przygodzie meksykańskiej główną sprężyną jest Napoleon III.

Sentyment, jaki cesarzowa, jego żona zdawna żywi dla Hiszpanii, skłonił ją do popierania sprawy emigrantów meksykańskich, których uważa za swych rodaków.

Napoleonowi wydaje się ta ekspedycja początkowo środkiem, służącym do odwrócenia uwagi od trudności wewnętrznych. Ale na jego politykę meksykańską zaczynają wpływać także inne uczucia i powody, mianowicie wspomnienia lektur z lat niewoli (gdyż już wcześniej zwrócił uwagę na tę część Norwega Świata); pragnienie założenia po tamtej stronie oceanu cesarstwa, które wszystko zawdzięczając Francji, krążyłoby w jej orbicie; tajemna nadzieja, że może Austria, gdy jeden z jej książąt włoży koronę cesarską, skłonniejsza będzie do odstąpienia Wenecji, umożliwiając mu ukończenie wielkiego dzieła oswobodzenia Włoch. Różnorodne te uczucia wpływają na jego postanowienie.

Są one jednak nie jasne, dziwaczne. Rzeczywistość ciągle

jest poświęcana marzeniom. Cesarz widzi sytuację nie taką, jaką ona jest, lecz jaką chciałby ją widzieć. Wszystko, co w jakikolwiek sposób może wpłynąć na jego, z góry powzięte i ustalone raz na zawsze — zdanie, lub je osłabić, jest odsuwane, lekceważone, w ogóle nie brane w rachubę.

Zaczyna od osobistego angażowania się, po tym wciąga Francję, nie zastanawiając się wcale nad trudnościami tego przedsięwzięcia ani następstwami swej inicjatywy.

A potem, spaliwszy mosty za sobą, uważa, że honor narodu wchodzi w grę, i decyduje się na stanowcze działanie.

Przygoda zaczyna się od wyprawy, przedsięwziętej przez Anglię, Francję i Hiszpanię, celem ochrony ich wierzytelności w Meksyku, tym chaotycznym państwie. Anglicy ani Hiszpanie nie mają zamiaru dalszego angażowania się. Zamierzają przezornie ograniczyć swą akcję do zbombardowania wybrzeży i wzięcia jakichś zastawów.

Napoleon III natomiast ma szersze, jakkolwiek bliżej nieokreślone, plany. Wysła do Meksyku silny oddział ekspedycyjny, który ma być zawiązkiem przyszłej armii, na jakiej pretendent do meksykańskiej korony, gdy się go znajdzie, będzie mógł się oprzeć.

Ale gdzie znaleźć kandydata na władcę? Szukają go uciekinierzy meksykańscy. Jeżdżą po różnych stolicach. Przeglądają — jakby tu szło o małżeństwo — almanach gotajski. Za sprawą cesarzowej Eugonii, namiętnie zajmującej się tym polowaniem, wybór ich pada na arcyksięcia Maksymiliana. Cesarzowa знаła go, przyjmowała go u siebie w Paryżu; Maksymilian podoba jej się ze względu na swą okazałą postawę i rycerskie zachowanie.

Emisariusze ofiarowują mu koronę meksykańską.

Arcyksiążę, przestawszy pełnić funkcje namiestnika pro-

wincyj włoskich, pędzi w swym pałacu w Miramarze koło Triestu wystawny i beczynny tryb życia. Zarówno on, jak jego żona, córka króla belgijskiego, nie mogą pogodzić się ze swą beczynnością. Propozycja Meksykańczyków natrafia zatem na doskonale przygotowany grunt.

Widoki Maksymiliana.

Arcyksiążę, główna osoba w tym przedsięwzięciu, powinien był, przed wyrażeniem zgody zastanowić się i rozważyć szczegółowo swe szanse.

Dla każdego człowieka roztropnego, któryby zadał sobie trud dokładnego poinformowania się, nie tylko w kołach uciekinierów, — którzy niechący mogli go wprowadzić w błąd, tak, jak sami siebie, — ale u ludzi bezstronnych — Anglików, Amerykanów Północy — widoki wydawały się minimalne. Najlepszym dowodem, że uciekinierzy rozporządzają bardzo słabymi wpływami, jest to, że wygnano ich z kraju. Są oni jedynie przedstawicielami znikomej, w obec niezliczonego mnóstwa Indian i mieszanców, mniejszości wielkich właścicieli ziemskich.

Cała ekspedycja zależna była od pomocy mocarstw europejskich, a w gruncie rzeczy od jednego — Francji. Anglia bowiem i Hiszpania wyraźnie dały do zrozumienia, że chcą się jaknajrychlej wycofać.

Czy pomoc więc będzie dość silna, a przede wszystkim — trwała? Było to bardzo nie pewne.

Maksymilian zwierza się oczywiście ze swych planów głowie rodziny, Franciszkowi Józefowi. Uczucia cesarza są za-

wie. Jest zazdrosny o Maksymiliana tak, jak kolejno o wszystkich swych następców; pilnie baczy, aby się tylko nie wyrzec żadnych z przysługujących mu przywilejów. Była to jedna z najbardziej przykrych jego cech. Troska ta każe zapomnieć mu o wszystkim innym. W tym zaś wypadku jest ona tym większa, iż wiadomo ogólnie, że Maksymilian jest bardziej liberalnych przekonań, niż cesarz. Na ulicach Wiednia w czasie przejazdu Franciszka Józefa często rozbrzmiewają okrzyki: „Niech żyje Maksymilian!”, co dla cesarza nie jest zbyt miłe. Jakkolwiek bowiem cesarz ma dla ludu obojętność, połączoną z pogardą, to jest niezwykle wzruszony okrzykami i oklaskami tłumu, ilekroć ukazuje się publicznie. Nikt tak jak on nie zwraca uwagi na serdeczność takiego przyjęcia. Gdy tylko okrzyki tłumu wydają się mniej żywe i szczerze, daje wyraz swemu zdziwieniu i niezadowoleniu. Pod tym względem jest równie próżny i wrażliwy jak aktor na scenie.

Myśl pozbycia się Maksymiliana, którego uważa niejako za swego rywala, — a to przez zezwolenie na wyjazd do Meksyku, uśmiecha się cesarzowi.

Franciszek Józef jednak, choć mało inteligentny, nie jest pozbawiony zdrowego rozsądku.

Ta przygoda meksykańska wydaje mu się podejrzana. Reakcja jego jest taka, jak każdego „ziemianina”, dla którego wyprawy zamorskie są czymś dziwnym i niebezpiecznym.

Ten mieszkaniec Europy środkowej, który zna jedynie swe góry Tyrolu i Semmeringu i równiny naddunajskie, nie ma zaufania do krain Nowego Świata; wydają mu się one bardziej odległe i nierealne, niż gdyby były na księżycu.

Gdyby to szło o niego, nie chciałby nawet słyszeć o koronie meksykańskiej. Ale egoizm jego sprawia, iż nie zraża do niej brata, nie przestrzega go przed niebezpieczeństwami;

nie odmawia zgody. Uważa, że jeśli Maksymilian chce za wszelką cenę jechać do Meksyku, to jest to wyłącznie jego sprawa. Postanawia bądź co bądź, że prócz zwykłej małej pożyczki, nie udzieli mu żadnej pomocy, czy to politycznej, czy to finansowej.

I daje bratu do zrozumienia, że całe to przedsięwzięcie nie obchodzi Austrii.

W ten sposób cesarz ani nie zachęca Maksymiliana, ani go też nie zniechęca. Powzięcie tej tak ważnej decyzji pozostawia samemu arcyksięciu.

Tymczasem toczą się rokowania. Pod wpływem żony, ambitnej Szarlotty, szczęśliwej na myśl, że będzie cesarzową, Maksymilian, po wielu trudnościach i wahaniach, wyraża wreszcie zgodę.

W ostatniej chwili, gdy Maksymilian już nie może się cofnąć, ponieważ dał słowo i formalnie się zobowiązał, Franciszek Józef w sposób kategoryczny żąda od swego brata, przysięgo cesarza aby przed wyjazdem zrzekł się wszelkich swoich praw, nie tylko jako następcy tronu austriackiego, lecz także jako arcyksiążę.

Syn Franciszka Józefa, Rudolf, ma w tym czasie zaledwie sześć lat. Na wypadek jego śmierci, następcą tronu byłby Maksymilian, w razie zaś zgonu Franciszka Józefa, arcyksiążę stał by się regentem aż do pełnoletności Rudolfa.

Cesarz wzywa go więc do oświadczenia aktem oficjalnym, iż zrzeka się ostatecznie wszelkich praw dla siebie i swego potomstwa, że traci nawet swój tytuł arcyksięcia. W ten sposób stałby się Maksymilian nie jako „żywym trupem” w Austrii.

Jeśli sprawa meksykańska źle się skończy nie pozostanie mu nic, — chyba to, co cesarz zechce łaskawie mu przyznać.

Maksymilian buntuje się początkowo przeciwko temu ża-

daniu, które wydaje mu się czymś potwornym. Przez chwilę nawet ma ochotę cofnąć dane słowo, odmówić przyjęcia meksykańskiej korony, która zmuszała go do tak strasznych poświęceń.

Ale wszyscy, którzy go prosili i błagali, a więc przede wszystkim Napoleon III, cesarzowa Eugenia i emigranci namawiają go znowu zwiększając swe wysiłki. Przypominają mu jego zobowiązania, przedstawiają mu jego odmowę jako — prawie — krzywoprzysięstwo. Argument ten najbardziej wzruszył rycerskiego księcia.

Ażeby wpłynąć na jego decyzję, cesarzowa Eugenia przysłała mu z Paryża wspaniały mundur marszałka meksykańskiego.

A gdy książę, bezradny, zapowiada w końcu swój wyjazd, Franciszek Józef ucieka się do ostatniego argumentu: racji stanu. Przekonywa go, że nie może być równocześnie cesarzem Meksyku i arcyksięciem w Austrii, że trzeba wybrać między jednym a drugim; a skoro wybrał Meksyk, Austria nie jest dla niego już ważna.

Franciszek Józef przypomina mu sprawę wnuka Ludwika XIV, który został królem hiszpańskim.

Zapewne, nie można zarzucać tu cesarzowi, że domaga się od swego brata zrzeczenia, które ma swój precedens w historii. Ale można mieć mu za złe, że sprawę tę stawia w ostatniej chwili dopiero.

Nieszczęsny Maksymilian, ulegając wszystkim tym wpływom, musi w końcu się poddać.

Cesarz umyślnie przyjeżdża do Miramar, gdzie odbywa się niezwykle przykra scena zrzeczenia się praw przez Maksymiliana.

Ale, natychmiast po podpisaniu aktu, arcyksiążę czuje,

że musi wyzwolić swe sumienie, mimo wszystko zachować swe prawa. Píše więc list z formalnym protestem, w trzech egzemplarzach, aby wykazać, że zrzeczenie się praw było mu siłą wydarte, a tym samym jest prawnie nie ważne, podobnie jak czek, na którym podpis byłby wymuszony pod groźbą rewolweru.

Maksymilian nie waha się też wysunąć innej przyczyny nieważności, mianowicie, że sejm nie aprobował jego zrzeczenia się.

Jeden egzemplarz tego aktu zachowuje arcyksiążę w swych archiwach, dwa pozostałe składa w ambasadzie meksykańskiej w Wiedniu.

Dzięki niedyskrecji dwór cesarski, nie znając wprawdzie dokładnej treści dokumentu, domyśla się jednak jego istnienia, co przyczynia się do oziębienia i tak już niezbyt serdecznych stosunków między braćmi.

Maksymilian, jak świadczy o tym, od początku do końca, jego przedsięwzięcie, był człowiekiem niezdecydowanym, słabym. Dał się wciągnąć nie po należytych przemyśleniu sprawy, ale przez zbieg okoliczności i wskutek presji, jaką na niego wywierano. Jeśli uważał, że abdykacja, narzucona mu przez brata, jest niesprawiedliwa, mógł się od niej uchronić, odmawiając przyjęcia korony meksykańskiej. Ale nie miał odwagi cofnąć przyrzeczenia. Ustąpił. A po tym napróżno usiłował wybrnąć z przykrych następstw swej słabości, swojej kapitulacji.

Marzenia a rzeczywistość meksykańska.

Po takim załatwieniu spraw, Maksymilian i jego małżonka wsiadają w kwietniu r. 1864 na austriacki statek wojenny w Trieście. Zatrzymują się w Gibraltarze. Po długiej i uciążliwej podróży przybijają do lądu, — do tej nowej ziemi.

Rozczarowanie zaczyna się od chwili wylądowania. Zamiast wspaniałości tropikalnej przyrody, jaką sobie wyobrażali, oczom ich ukazały się niezdrowe, pustoszone przez gorączkę niziny.

Zaledwie przybyli do stolicy i przebrzmiały echa przyjęć, wydanych na ich cześć, nasuwają się ustawicznie trudności. Biedny cesarz ma wrażenie, że znajduje się w dzikim, nieprzyjacielskim kraju, w którym większa część ludności jest przeciwko niemu. Nie jest nawet pewny poparcia duchowieństwa i ziemiaństwa, na które liczył.

Katolicy uważają go za narzędzie w swym ręku. Chcą mu narzucić swą wolę, zmusić go do podpisania z papieżem konkordatu, przywracającego duchowieństwu wszystkie przywileje materialne i polityczne.

Maksymilian, który ma dużo zdrowego rozsądku, szybko zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie narażałaby go ta skrajnie katolicka polityka. Usiłuje sprzeciwić się woli duchowieństwa, które nawpół go opuszcza, podobnie jak ziemiaństwo, złożone wyłącznie z Hiszpanów, ulegające wpływom kościoła.

Czy będzie mógł liczyć przynajmniej na trwałą pomoc Napoleona i na obecność oddziału ekspedycyjnego, owego najpewniejszego a nawet jedyne oparcia? Niestety, i Napoleon musi go opuścić. Wyprawa meksykańska staje się coraz bardziej niepopularną we Francji. Napoleon musi się liczyć z

uczuciami ludności. Ciało prawodawcze coraz zwiększa trudności w przyznawaniu potrzebnych kredytów.

Stany Zjednoczone Północy odnoszą zupełne zwycięstwo nad Południem. Rząd zaś francuski, poza innymi błędami, liczył na zwycięstwo Stanów Południowych. Rząd amerykański, mając już wolną rękę i licząc się z panującą doktryną Monroe'go, coraz niechętniej toleruje obecność wojsk europejskich w sąsiadującym ze Stanami Meksyku—zawiadamia o tym Napoleona, który z tych wszystkich względów postanawia jaknajprędzej zlikwidować całą imprezę i sprowadzić swych żołnierzy z powrotem do Francji.

Od tej chwili jest dla Maksymiliana wszystko stracone.

Gdyby był usłuchał głosu rozsądku, wycofałby się razem z Francuzami. Oddziały wojsk, na które mógł liczyć, były bardzo nie liczne i nie miał już pieniędzy na wypłatę żołdu. Zaraz po przyjeździe przekonał się Maksymilian, że finanse meksykańskie są w opłakanym stanie. Emigranci meksykańscy, rozmyślnie to zataili. Po wojnie secesyjnej przybywa do Meksyku mnóstwo awanturników amerykańskich, którzy, nie mogąc już bić się we własnym kraju, zachwyceni są tym, że mogą walczyć gdzieindziej.

Zasilają armię Juarez'a, byłego prezydenta Meksyku, współzawodnika Maksymiliana, energicznego, chytrego, okrutnego Indianina, który przeciwko nowemu cesarzowi, będącemu w jego pojęciu uzurpatorem, prowadzi nieustanną, nieubłaganą walkę i zdecydowany jest na wszystko, byle tylko go pokonać. Była to walka na noże Indianina przeciw Europejczykom, którzy tak długo trzymali jego kraj w niewoli, nowa „reconquista”, wojna z najeźdźcą, wojna czerwonoskórych przeciwko białym!

Walka staje się dzika i okrutna i tym tłumaczy się jej finał: stracenie Maksymiliana.

Napoleon III, dręczony wyrzutami, chce uspokoić swe sumienie. W chwili wydania swym wojskom rozkazu powrotu, radził Maksymilianowi, aby zwrócił się do swego brata, Franciszka Józefa, i poprosił go o przysłanie oddziałów austriackich. Była to bardzo tania rada, pozbawiona wszelkiej praktycznej wartości.

Franciszek Józef zastrzegł się od początku, że Austria nie jest zainteresowana w sprawie meksykańskiej. W dodatku, lada dzień mogła wybuchnąć wojna Austrii z Prusami i Włochami. Więc nawet gdyby chciał — a nie chciał — pomóc Maksymilianowi, nie miał wojska, aby je wysłać do Meksyku, ani okrętów, któreby je tam zawiozły.

Krzyżowa droga cesarzowej.

Sytuacja w Meksyku staje się coraz bardziej krytyczna, niemal rozpaczliwa. Maksymilian wysyła błagalne listy do Napoleona III, lecz pozostają one bez odpowiedzi.

Cesarzowa Szarlotta postanawia udać się w podróż po Europie, na dwory królewskie, aby błagać o pomoc i opiekę. Jej mąż, czując, że niebezpieczeństwo się zwiększa, tym chętniej godzi się na jej propozycję, iż sam myślał już o wysłaniu pod jakimś pretekstem cesarzowej, celem uchronienia jej przed niebezpieczeństwem. Powinien był wyjechać również, — tak, jak opuszcza się okręt, na który ze wszystkich stron wlewa się woda. Wstrzymały go jednak różne powody; niektóre — piękne i szlachetne: beztroska połączona z brawurą, chęć wy-

trwania na posterunku, stawienia czoła, — a również pewnego rodzaju rezygnacja, fatalizm, nakazujący mu iść do końca bolesną tą drogą.

Przez chwilę myśli o abdykacji. Cesarzowa jednak, bardziej ambitna, energicznie mu odradza; nie zdaje ona sobie sprawy z wzrastającego niebezpieczeństwa.

Biedny cesarz pozostaje więc w Meksyku; cesarzowa wyjeżdża do Europy.

Od chwili jej przyjazdu rozpoczyna się jednak istna droga krzyżowa Szarlotty.

Odwiedziny u władców, których usiłuje ubłagać, są nieprzerwanym szeregiem cierpień i upokorzeń. A ponieważ Szarlotta jest pobudliwa, nerwowa, osłabiona i zniszczona klimatem, umysł jej, wśród wszystkich tych nieszczęść, doznaje zaciemnienia.

W Paryżu cesarz i cesarzowa zaledwie zgodzili się ją przyjąć. Napoleonowi III, walczącemu z coraz większymi trudnościami, choremu i zniechęconemu, Szarlotta wydaje się niejako żywym wyrzutem sumienia. Pragnie jedynie pozbyć się jaknajprędzej tego niepożądanego gościa, którego obecności nie może znieść.

Z Paryża jedzie Szarlotta do Miramar, do pałacu, w którym niegdyś mieszkała ze swym mężem.

Następnie postanawia uczynić ostatnią próbę: zobaczyć się z papieżem, ażeby poprosić go o poparcie.

W Rzymie zostaje przyjęta z honorami, oddawanymi panującym. Sekretarz stanu, kardynał Antonelli, odwiedza ją w hotelu, ale stanowczo uchyla się — z czego cesarzowa musiała sobie zdać sprawę — od wszelkich zobowiązań, jakie usiłowała od niego wydobyć. Radzi jej, aby zwróciła się bezpośrednio

do papieża. Nazajutrz wyznaczono dla niej uroczyste przyjęcie.

Papież, przyjąwszy Szarlottę w sali tronowej, w otoczeniu wszystkich swoich dostojników, wprowadza ją następnie do przyległego pokoju, aby porozmawiać z nią sam na sam.

Cesarzowa wyczuwa odrazu, że również papież zamierza ich opuścić i, że zamiast stanowczych przyrzeczeń, ogranicza się do wypowiedziania niejasnych nadziei. Wówczas objawia się nagle jej choroba umysłowa, której zarodki nosiła w sobie od pewnego czasu. Jej wstrząśnięte nerwy nie mogą oprzeć się temu szeregowi nieszczęść. Ogarnia ją mania prześladowcza. Szarlotta jest przekonana i zwierza się z tego papieżowi, że pewne osoby z jej otoczenia usiłują ją otruć. Gdy wychodziła z Watykanu, wszyscy kardynałowie zauważyli jej błędny wzrok.

Papież rewizytuje ją tego samego dnia, wieczorem. Na obiad nie chciała nic jeść prócz orzechów i pomarańczy.

Nazajutrz, wczesnie zrana, udaje się zwyczajną dorożką do fontanny Trevi, aby ugasić pragnienie, obawiając się, że podawane jej napoje mogą być zatrute. Stamtąd nagle, nie uprzedziwszy nikogo, każe się zawieźć do Watykanu, gdzie żąda tonem rozkazującym, aby natychmiast zaprowadzono ją do papieża. Siłą niemal wdziera się do niego i żali się gwałtownie na spiski knute przeciwko niej i na morderców, przekupionych — jak twierdzi — przez Napoleona, którego obecnie najbardziej nienawidzi.

Papieżowi, który właśnie odprawił był mszę, przynoszą na śniadanie filiżankę czekolady. Szarlotta, którą poczęstowano, zanurzwszy w filiżance palce odsuwa ją gwałtownie, twierdząc, że zawiera truciznę. Papież każe jej w obec tego podać inną filiżankę, a wówczas cesarzowa wychyla duszkiem pierw-

szą, jakby nic nie zaszło. Następnie zaczyna spokojnie mówić o sprawach meksykańskich. Rozmowa przeciąga się w nieskończoność. Papież, który tego dnia miał wiele audiencji, nie wie po prostu, jak jej się pozbyć. Prowadzi ją do biblioteki i, podczas gdy cesarzowa oglądała książki, wymknął się spiesznie.

Szarlotta, coraz bardziej przekonana, że ją chcą zgładzić, błaga pułkownika gwardii papieskiej, aby zaaresztował natchmianst osoby z jej świty. Nie chciała opuścić Watykanu, będąc pewną, że mordercy czekają na nią u bram pałacu.

Gdy nadeszła pora posiłku, podano jej jedzenie w bibliotece. Zaledwie skosztowała potraw i, przez ostrożność, jadła z tego samego talerza co jej dama do towarzystwa.

Otoczenie papieża było w coraz większym kłopotcie. Co począć z tą nawpół oszalałą cesarzową, która nie chce odejść? Nie można było gwałtem wypędzić jej z pałacu. Papież w końcu rozkazał, ażeby ustawiono w bibliotece dwa łóżka dla cesarzowej i jej towarzyszki.

Tak zdarzyło się po raz pierwszy, iż kobieta spędziła noc w Watykanie.

Chcąc się jej stamtąd pozbyć, musiano nazajutrz uciec się do podstępów: zaproponowano jej, aby zwiedziła pobliski klasztor.

Przełożona, pokazawszy jej kuchnię, poprosiła, ażeby cesarzowa skosztowała potrawę, którą miano podać zakonnicom. Ale Szarlotta, zauważywszy plamkę na łyżeczce, którą jej podano, zaczyna strasznie krzyczeć. Twierdzi, że ślady trucizny widocznie są na łyżce, pada na kolana, dziękując Bogu, że ponownie ocalił ją przed niebezpieczeństwem. Nagle pod wpływem głodu wkłada rękę do stojącego na piecu garnka, aby pochwycić kawałek mięsa — i parzy się okropnie.

Trzeba było wbrew jej woli zaprowadzić ją do hotelu. Gdy wyrywała się coraz bardziej, musiano nałożyć jej kaftan bezpieczeństwa.

Brat jej, hrabia Flandrii, przyjechawszy do niej, zdołał zabrać ją do pałacu w Miramar, skąd kilka lat przed tym wyjechała pełna nadziei, wiary i radości.

Hrabia ostrzega też jej bankierów, Rothschildów, ażeby nie wykonywali odtąd jej zleceń finansowych. Jest już teraz osobą chorą umysłowo, której trzeba pilnować dzień i noc. Chce jechać do Wiednia i Brukseli, chce protestować, poruszyć sumienie całej Europy przeciwko okropnej niesprawiedliwości, której ofiarami padli ona i jej mąż.

Oto iście szekspirowska tragedia! I jeśli idzie o tę rodzinę, nie miała to być ostatnia!

Krzyżowa droga cesarza.

Tymczasem Maksymilian trzyma się uparcie korony, którą już chciał mu wydrzeć.

Odjazd wojsk francuskich odbywa się w tempie przyspieszonym. Ich dowódca, Bazaine, otrzymał rozkaz, aby odpłynął dopiero z ostatnimi oddziałami.

Czy Maksymilian z nim pojedzie? Byłaby to dla niego jedyna możliwość ratunku. Co raz mniej mógł liczyć na siły meksykańskie; ilość jego żołnierzy nieustannie się zmniejszała i nie posiadał już pieniędzy. Nędza była tak wielka, że dyrektor „Gazety urzędowej” musiał codziennie zakupywać za własne pieniądze papier potrzebny do druku.

Maksymilian otrzymał od Napoleona bardzo oschły, nie-

mał brutalny list, donoszący mu, że nie może się już spodziewać od Francji ani jednego żołnierza i ani jednego talara. Radzono mu, aby abdykował, ale nie przed tym, zanim przy pomocy będących tam jeszcze żołnierzy francuskich zaprowadzi jaki taki porządek, przeprowadzi wybory i utworzy regularny rząd.

Cesarzowa, w której staraniach Maksymilian pokładał jeszcze pewne nadzieje, przesyłała mu początkowo listy tchnące ufnością. A po tym wszystko ucichło. Nie wiedział zupełnie o strasznym dramacie, naskutek którego jego żona postradała zmysły. Wreszcie otrzymał smutną wieść, że cesarzowa jest chora i że zawezwano do niej do Miramar słynnego specjalistę z Wiednia. Od swego lekarza, który przyjechał z nim do Meksyku, dowiedział się, że ów specjalista jest dyrektorem zakładu dla umysłowo chorych w stolicy. Zrodziło się w nim straszne podejrzenie i wkrótce nie ulegało już dłań wątpliwości, że cesarzowa jest obłąkana.

Ten nowy cios pogrążył go w strasznej rozpacz. Maksymilian chce natychmiast pojechać do żony.

Słaby i niezdecydowany, jak zawsze, zamiast powziąć postanowienie, zaczyna szukać rady u rozmaitych ludzi. Zdało się, że już się zdecydował, data jego wyjazdu była wyznaczona, — gdy jego spowiednik, pewien jezuita, źle widziany w Watykanie, ale na nieszczęście wywierający wielki wpływ na cesarza, dla jakichś osobistych korzyści zdołał odroczyć jego wyjazd. Konserwatyści, dbając o ocalenie własnych majątków, przyłączyli się do spowiednika, ażeby wstrzymać cesarza.

Po tym wydarzenia toczą się już z nieubłaganą logiką i szybkością; losy się spełniły.

Maksymilian, przebywający w jednej z przystani ze stanowczym zamiarem udania się na pokład okrętu, popełnia ten

błąd, — niemal szaleństwo, — iż wraca w głąb kraju. Pozostały mu jeszcze tylko dwa, czy trzy miasta. Schronił się do jednego z nich, do Queretaro, które niebawem osaczają wojska jego przeciwnika, Juarez'a.

Zdrada jednego z generałów cesarza, Lopez'a, do którego miał wielkie zaufanie, wydaje miasto w ręce wroga.

Maksymilian wyobrażał sobie, że Juarez będzie się z nim obchodził, jak z jeńcem wojennym. Nie znał jednak tego okrutnego, mściwego, zarozumiałego Indianina, który był zachwycony tym, iż rozporządza życiem potomka jednej z najznakomitszych dynastii europejskich. Nie bacząc na żadne prawa, postawił go przed sąd wojenny, który skazał go na śmierć, wraz z jego dwoma generałami.

Niemal wszystkie rządy europejskie nie szczędziły wysiłków i zabiegów, zmierzających do ułaskawienia więźnia. Ale im bardziej o to błagały, tym bardziej Juarez, uszczęśliwiony możliwością pokazania staremu światu swej wszechmocy, utwierdzał się w chęci nasycenia się zemstą. Był szczęśliwy i dumny, że wielkie państwa muszą pokornie błagać jego zmiłowania. Jedynym rządem, który byłby może zdołał go powstrzymać, zapobiec wykonaniu wyroku, był rząd Stanów Zjednoczonych. Ale nowy minister amerykański, uchylając się od swego obowiązku, opóźniał wyjazd do Meksyku. W ten sposób zerwała się ostatnia nić, na której wisiało życie nieszczęsnego Maksymiliana.

Skazany na śmierć 12 lipca 1867 r. został rozstrzelany w tydzień później, 19-go lipca. Ta długa przerwa pomiędzy zapadnięciem wyroku a śmiercią uczyniła jego agonię jeszcze bardziej okrutną. W ostatniej chwili zarządzono trzydniową zwłokę, gdyż czekano na poród żony jednego z generałów, którzy mieli umrzeć razem z nim.

W oznaczonym dniu, o wczesnej porze, — pogoda była słoneczna zawieziono cesarza na miejsce stracenia. W czasie jego przejazdu wszystkie okna były zamknięte.

Rozdawszy żołnierzom, mającym go rozstrzelać, wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, Maksymilian powiedział kilka słów pożegnania, krzyknął „Niech żyje Meksyk!” i umarł, dając dowody takiej odwagi, wielkości i szlachetności, iż trzeba schylić czoła.

Przez długi czas odmawiał Juarez wydania jego ciała. Dopiero po wielokrotnych zabiegach rządu austriackiego i wysłaniu okrętu wojennego do Vera Cruz zgodził się wydać zwłoki. W końcu zwrócono Austrii niedbale zabalsamowanego trupa arcyksięcia. Przywieziono go do Miramar, na tym samym statku wojennym, który kilka lat wcześniej zawiózł Maksymiliana i jego żonę do Meksyku.

W ten sposób zakończyła się ta żałosna przygoda.

Jakby dla powiększenia jej zgrozy, wieść o egzekucji nadeszła podczas wspaniałej uroczystości otwarcia Wystawy Powszechnej w Paryżu, na którą miało przybyć wielu władców.

Napoleon III i jego żona dowiedzieli się o egzekucji w przeddzień tej uroczystości, w której mieli wziąć udział. Cesarzowa zamierzała nawet odwołać ich przybycie. Ale cesarz był innego zdania. Zadowolono się wstrzymaniem ogłoszenia tej wiadomości.

Franciszek Józef był w Wiedniu gdy zawiadomiono go o tragicznej śmierci brata. W dwa tygodnie później miał wyjechać do Paryża, jako oficjalny gość Napoleona. Żałoba dworska zmusiła go do zrezygnowania z tej podróży Napoleon III i jego małżonka odwiedzili go w Salzburgu.

Napoleon obawiał się, że ten wypadek może wpłynąć na

jego stosunki z monarchą austriackim. Ale u Franciszka Józefa racja stanu przeważała zawsze nad osobistymi uczuciami. Przede wszystkim był cesarzem a po tym dopiero bratem, ojcem, czy mężem.

Względy polityczne skłoniły go do zacieśnienia stosunków z Francją zaraz po klęsce, zadanej mu przez Prusy. Obaj monarchowie zamienili bardzo serdeczne pisma, w których kondolencje były wyrażone w sposób zwięzły.

Wielką troską Franciszka Józefa, zawsze wielkiego formalisty było to, ażeby ciało jego brata spoczywało w krypcie Kapucynów, gdzie są pochowani wszyscy członkowie rodziny cesarskiej. Po dokonaniu tej ceremonii cesarz przestał cierpieć. Zapomniał rychło o Maksymilianie.

Mayerling.

Wiedeń zawdzięcza swój urok i piękno bezpośredniemu niemal sąsiedztwu gór.

Wyżyny, które okalają stolicę, nie mają nic z surowej trochę wyniosłości Alp tyrolskich. Charakterystyczną ich cechą jest spokojna łagodność, miła i radosna jasność.

W odległości niespełna ośmiu, czy dziesięciu mil, Baden stanowi dokładną granicę równiny naddunajskiej i ostatnich zbocz alpejskich. W prześlicznej dolinie Helenenthal, wzdłuż płynącej zygzakowato rzeczki, jest szereg krajobrazów, które są rozkoszą dla oka i duszy — działają one odprężająco i kojąco.

Są tam wielkie łąki i lasy, a w głębi falista linia pagórków.

W pewnych odległościach od siebie znajdują się wioski, których białe domki nawpół przysłaniają drzewa.

Jedną z tych wiosek jest Mayerling. Nie daleko od drogi dość duży budynek, z bardzo skromnym frontem i lekko spadzistym dachem, zaledwie zasługujący na nazwę pałacu, wykazuje zadziwiającą nieprawidłowość architektury. W samym środku jednego skrzydła domu wtłoczono jakby siłą kaplicę o banalnej architekturze, pochodzącą najwidoczniej z końca ubiegłego stulecia, która psuje jednolitość i symetrię.

Skąd bierze się tam ta nieoczekiwana narośl? Czemu wyrosła w tak dziwnym miejscu nie na jednym z krańców, lecz akuratnie w środku budynku? Przypomina się mimowoli katedra, którą fanatyczni zdobywcy Kordoby zbudowali w samym środku wspaniałego meczetu, jakby dla oczyszczenia go.

Ta kaplica również została wzniesiona, celem oczyszczenia. Znajduje się dokładnie tam gdzie był pokój, w którym rankiem 30 stycznia 1889 znaleziono jeszcze ciepłe ciało arcyksięcia następcy tronu Rudolfa i jego kochanki, baronówny Marii Veczery, młodziutkiej dziewczyny, dziecka niemal.

Czy zamordowano ich, czy sami się zabili? On był przyszłym władcą jednego z najpotężniejszych mocarstw świata, a ona młoda, piękna, zamożna, wychuchana, mająca najpiękniejsze widoki na przyszłość...

Dziwny komunikat.

Dramat w Mayerlingu bardzo długo otoczony był tajemnicą, która zdaniem pewnych ludzi jeszcze do dziś dnia nie została w zupełności wyświetlona. A jednak nie pierwszy to raz

para kochanków ginie wspólnie „on przez nią, a ona przez niego”, jak jest powiedziane w „Tristanie i Izoldzie”.

Niezawodnym sposobem wzbudzenia ciekawości ogółu, skłonienia go do doszukiwania się nieznanych przyczyn, rozsiewania mniej lub więcej dziwnych wieści jest uparcie ukrywać przed nim prawdę przy pomocy kłamstw, zamiast wyjawiać mu ją odrazu.

W Petersburgu, w czasie wojny, pod koniec r. 1917 pewien dziennik wieczorny ogłosił wielkimi literami następujący, zwięzły i wywierający ogromne wrażenie, komunikat:

„Wczoraj zmarł nagle na raucie Grzegorz Rasputin”.

Jak się to stało, że wszechmożny Rasputin, najbardziej wpływowy doradca carowej, zmarł na „raucie”? Wszyscy pragnęli się dowiedzieć co właściwie zaszło. I wszyscy wkrótce się dowiedzieli. Byłoby znacznie prościej i zręczniej odrazu to wyjawiać.

30 stycznia 1889 r. gazeta urzędowa „Wiener Zeitung” podała w nadzwyczajnym wydaniu tych kilka wierszy:

„Jego Wysokość następca tronu postanowił przedwczoraj wyjechać na polowanie do Mayerlingu i zaprosił tam kilku myśliwych, a mianowicie księcia Filipa koburskiego i hrabiego Hoyos’a. Już wczoraj książę czuł się lekko niedysponowany i zmuszony był się usprawiedliwić, iż nie będzie mógł wziąć udziału w rodzinnym obiedzie w Hofburgu. Dziś rano goście, zebrawszy się, stwierdził nieobecność swego gospodarza, po czym przejęci bólem otrzymali okropną wiadomość, że następca tronu zmarł na udar serca.”

Wiadomość ta była podana w sposób tak dziwny, że oczywiście nikt w nią nie uwierzył. W stolicy, a niebawem w całym państwie i w całej Europie zapanowało poruszenie. Każdy wietrzył dramat, usiłował odgadnąć tajemnicę. Jaką była

prawda, którą czynniki kierownicze tak niezręcznie usiłowały ukryć? Wszelkie informacje, jakie dzienniki podawały o śmierci księcia, poddawane były jaknajbardziej surowej cenzurze. Ale jeśli rząd był dość silny, ażeby zabronić dziennikarzom pisać, to nie mógł zabronić ludziom mówić.

Kilka dni przed tym tysiące ludzi widziało arcyksięcia zupełnie zdrowego w Operze, a następnie na wielkim przyjęciu w ambasadzie niemieckiej.

„Neue Freie Presse” skonfiskowano natychmiast gdy ośmieliła się napisać, że Rudolfa zastrzelono w czasie polowania.

Ciekawość i podniecenie wzrastały nieustannie.

Następnej nocy, nie uprzedzając nikogo, przewieziono zwłoki arcyksięcia z Mayerlingu do Wiednia, dokąd przybyły wcześniej zrana. Miasto już nie spało i przechodnie mogli na własne oczy widzieć karawan żałobny z herbami cesarskimi, eskortowany przez oficerów gwardii.

Trzeba było wreszcie się zdecydować na wyjaśnienie publiczności, nie tylko w Austrii lecz również w Europie, tego, co zaszło.

W dwa dni później, 1 lutego, ukazał się znów komunikat w „Wiener Zeitung”:

„Według protokołu lekarzy — pisano — następca tronu popełnił samobójstwo. Osoby z jego otoczenia zauważyły u niego w zeszłym tygodniu liczne oznaki chorobliwego zdenerwowania. Należy zatem przypuszczać, że ta straszna śmierć jest następstwem chwilowego zamroczenia umysłu.”

To wszystko i to bardzo niewiele! Ani słowa o Marii Veczera, która zginęła razem z nim. W tym względzie nowe niedomówienia, nowe kłamstwa.

Niektóre austriackie i zagraniczne dzienniki zostały rów-

nież natychmiast skonfiskowane, ponieważ pisały, że młoda baronówna też nagle umarła. Cenzura była na tyle niezręczna czy głupia, że do serii kłamstw i tak już dość długiej, dorzuciła jeszcze jedno. Kazała ogłosić, że baronówna zmarła nagle w Wenecji i że ciało jej przewieziono do grobowca rodzinnego.

Nikt nie wierzył w te nedorzeczne historie. Wszystkie te nieudomówienia i kłamstwa doprowadziły do tego, że nikt nie miałby najmniejszego zaufania do informacji rządu i policji, nawet gdyby zdecydowali się wyjawić prawdę, czego zresztą odnośnie do Marii Veczery nie uczynili.

Dlatego właśnie tajemnica przetrwała tak długo, dziś jeszcze wydaje się nie wyjaśniona, i stąd tyle rozmaitych, często sprzecznych wersji.

Czy arcyksiążę po zabiciu swej kochanki odebrał sobie życie strzałem w skroń, jak to się zdawało prawdopodobnem? A może, jak to niektórzy opowiadają, zabił go pewien zazdrosny łowczy, do którego żony się zalecał, lub któryś z biesiadników w czasie bijatyki, jaka nastąpiła po zbyt obfitym uraczeniu się trunkami?

Jeszcze dziś, mimo że od czasu tego dramatu upłynęło blisko pięćdziesiąt lat, można znaleźć we Wiedniu, nawet w kołach dawnego dworu, ludzi twierdzących, że nie było to samobójstwo. Kilka miesięcy temu oświadczył to właśnie autorowi niniejszego opowiadania pewien były adiutant cesarza Franciszka Józefa.

Krążyły różne opowiadania, niektóre nieprawdopodobne, a nawet nedorzeczne. Śmierć następcy tronu stała się tematem niezliczonych książek, sztuk teatralnych i scenariuszów filmowych. Wszystko zdaje się wskazywać, że jeszcze długo tak będzie.

Nie zrównoważony.

Ażeby się dowiedzieć, jakim człowiekiem był Rudolf, w czym tkwi tajemnica tej skomplikowanej, niezrównoważonej natury, łączącej w sobie dobre i złe strony, trudnej do zgłębienia, ponieważ była obciążona dziedzicznymi wadami, wystarczą trzy dokumenty:

- 1) Jego podobizna.
- 2) Jego rodowód
- 3) Sposób, w jaki spędzał czas, i podział jego prac w okresie odbywania studiów.

Te trzy dokumenty pozwalają poznać charakter i temperament Rudolfa, są wytłumaczeniem jego słabości i śmierci.

Na Wystawie Franciszka Józefa, zorganizowanej z olbrzymim powodzeniem w Wiedniu wiosną i latem r. 1935 znajdował się portret arcyksięcia Rudolfa, malowany na rok przed jego śmiercią. Jest on niezwykle ciekawy pod względem psychologicznym.

Ten trzydziestoletni mężczyzna wygląda na przeszło czterdziestkę. Jego twarz wydaje się zmęczona, zniechęcona i co więcej odzwierciedla się w niej brak równowagi. Oczy są jakieś nieszczerze, zamglone; uszy niezwykle duże i w dodatku odstające, co jest wyraźną oznaką zwyrodnienia. Wdał się o wiele bardziej w Wittelsbachów, niż w Habsburgów. Jest przede wszystkim synem swej matki.

Wystarczy przyjrzeć się jego drzewu genealogicznemu, ażeby zrozumieć, czemu taki jest.

Pomiędzy sąsiadującymi z sobą dynastiami, z których jedna mieszkała w Monachium, a druga w Wiedniu, było mnóstwo krzyżowań; krew obu tych dynastii zupełnie się pomieszała.

Matka i ojciec Rudolfa byli rodzeństwem ciotecznym: matka Franciszka Józefa, arcyksiężna Zofia, była zarazona teściową i rodzoną ciotką cesarzowej Elżbiety. I tak szło ciągle przez szereg pokoleń.

Rudolf, raczej Bawarczyk, aniżeli Austriak, był bliskim krewnym dwu książąt bawarskich, którzy obaj zwariowali. Jeden z nich, Ludwik II, pomimo umysłowej choroby wstąpił na tron i utopił się w jeziorze w jednej ze swych posiadłości, ginąc podobną śmiercią jak Ofelia, nieszczęśliwa kochanka Hamleta.



Gdy cesarzowa Elżbieta, obdarzywszy wpierrw cesarza dwiema córeczkami, wydała wreszcie na świat chłopca, wszystkie nadzieje monarchii zaczęto pokładać w tym dziecku. Niezwykle przykra teściowa, arcyksiężna Zofia, usiłowała oczywiście wywrzeć przemożny wpływ na jego wychowanie.

Wybór nauczyciela następcy tronu, którym zamianowano hrabiego de Latour, potomka starej rodziny francuskiej, był doskonały. Gdyby dano mu wolną rękę i gdyby mógł kierować wszystkim według własnego uznania, wyniki byłyby prawdopodobnie znacznie lepsze. Niestety, nie uczyniono tego. Wielu ludzi mieszało się do wychowania Rudolfa.

Jeden z biografów Rudolfa, Mitis, zapewnia, że było ich z pięćdziesięciu, co doprawdy jest przesadą.

W Austrii wykształcenie następcy tronu powinno było się odbywać według surowej metody, ustanowionej raz na zawsze według reguł niezmiennych, tych samych, jakie stosowano wobec jego ojca.

Ujemną stroną i największą wadą tego wychowania było straszne, nielitościwe przepracowanie, na jakie narażano dziecko. Musiało ono odbyć praktykę żołnierską, obejmującą niezwykle męczące ćwiczenia, takie same, jakim poddaje się zwykłych, dorosłych poborowych w koszarach, a prócz tego właściwe nauki były przeładowane i skomplikowane.

Rudolf musiał uczyć się pięciu czy sześciu obcych języków: francuskiego, węgierskiego, czeskiego, a wkrótce potem kroackiego i serbskiego.

Jest to program przerażający. Cały jego czas był zgóry zajęty, każde pół godziny wypełnione bez chwili wypoczynku, bez możliwości wytchnienia. Ćwiczenia fizyczne, do których go zmuszano, były zbyt ciężkie i wyczerpujące dla dziecka w jego wieku, zwłaszcza, że nie był on zbyt silny z natury.

Pewnego ranka o wczesnej porze, gdy Franciszek-Józef, który wstawał zawsze przed świtem, wyrzął na jeden z dworskich dziedzińców, zobaczył biedną istotkę o nieszczęśliwym, cierpiącym, zmęczonym wyglądem, która na mrozie odbywała ćwiczenia wojskowe. Jakkolwiek cesarz nie był uczuciowy, zrodziła się w nim litość. Wydał rozkaz, ażeby przerwano ćwiczenia.

Księżę nie posiadał dość siły moralnej i nerwów do znoszenia tego podwójnego trudu, fizycznego i intelektualnego, pod którym się ugiął.

Rudolf od urodzenia prawdopodobnie miał odziedziczoną po matce inteligencję, znacznie żywszą aniżeli inteligencja innych członków rodziny cesarskiej, z wyjątkiem może arcyksięcia Jana Salvatora, słynnego Jana Orthę, który miał również zginąć w sposób tragiczny, zatonąwszy wraz

z całą swą załogą na dalekich morzach, po zrezygnowaniu ze wszystkich swoich tytułów, a nawet z nazwiska.

Rudolf pojmował wszystko i orientował się bardzo szybko. Był dzieckiem przedwcześnie dojrzałym. Jego szkolne wypracowania wykazują prawdziwy talent pisarski i żywy, impulsywny styl. Gdy jako piętnastoletni chłopiec wygłosił mowę podczas jakiejś uroczystości, zadziwił słuchaczy swym darem improwizacyjnym. Mówił i pisał z niezwykłą łatwością. Jakkolwiek bardzo młody wypowiadał swe zdanie o wszystkim jak dorosły mężczyzna. Zamiłowanie jego do pisania było tak wielkie, że w przyszłości nie miał się oprzeć pragnieniu i przyjemności redagowania licznych artykułów. Przesyłał je przy każdej sposobności swemu najlepszemu przyjacielowi, Maurycemu Szepsowi, redaktorowi „Neues Wiener Tageblatt”, pozwalając mu je zamieszczać bez podpisu.

Przedwcześnie dojrzały umysł i żywa inteligencja wywołały gwałtowną z jego strony opozycję przeciwko pojęciom i uczuciom środowiska, w jakim wzrósł. Przeciwiństwo było rażące. W dziedzinie polityki czy religii Rudolf miał wręcz odmienne zasady i pojęcia, aniżeli cała jego rodzina i otoczenie — tak, że musiał ciągle staczać otwartą walkę i od początku wydawał się buntownikiem.

Bardzo szybko utracił wiarę i stał się wolnomyślicielem. Twierdzono nawet, jakkolwiek nie było na to dowodów, iż był wolnomularzem. Jeśli się zważy, jaki wpływ na dwór i na rząd wywierało duchowieństwo i stronnictwo katolickie, ten ateizm następcy tronu wydaje się niemal niepojęty. Jak się to stało, iż zdołał on się w nim rozwinąć w takim stopniu i tak szybko?

To samo możnaby powiedzieć o jego zasadach politycznych i doktrynach społecznych. Zajmował we wszystkim

stanowisko wręcz sprzeczne z ogólnie uznawanymi i przyjętymi przez jego otoczenie zasadami.

Co do polityki wewnętrznej, marzył o radykalnym przeobrażeniu będącego w mocy systemu. Uważał, że o ile monarchia byłaby jeszcze w przyszłości możliwa (ów przyszły cesarz był w gruncie rzeczy republikaninem), musiałyby mieć innych kierowników, wybieranych już nie z pośród ograniczonej, chylącej się ku upadkowi, głupiej arystokracji, lecz z pośród inteligentnego, światłego mieszczaństwa, a może nawet z pośród ludu, który miałby również udział w rządach.

Prasa, której dość duży wpływ nieustannie się zwiększał, miała odegrać w tej ewolucji, a raczej rewolucji, rolę wybitną. Rudolf był wielkim zwolennikiem dziennikarzy i sam niejako był dziennikarzem. Nigdzie nie czuł się tak dobrze jak w ich towarzystwie. Szeps był jego najbardziej zaufanym powiernikiem. Listy, które do niego pisywał (tworzą one cały tom), pisane są na różne tematy, traktowane z zupełną szczerością. Rudolf udziela mu przy każdej sposobności informacji, nie wahając się donosić redaktorowi o najbardziej poufnych sprawach — i tylko prosząc go, aby nie zdradził źródła, co naraziłoby arcyksięcia na poważne nieprzyjemności.

Nazywa go: „Mój kochany Szeps” i podpisuje się Rudolf, co w owym czasie było czemś niesłychanem u arcyksięcia, piszącego do żydowskiego dziennikarza. Nie należy zapominać, że Franciszek Józef w czasie sześćdziesięcioośmioletniego panowania, które trwało aż do 1916 roku, nie przyjął ani jednego dziennikarza. Ludzie, pracujący w tym zawodzie, nie istnieli dla niego. Gdy później zmuszony był uznać ich wielki wpływ, uparcie nie chciał mieć z nimi żad-

nej styczności. Uważał ich za zło, być może konieczne, ale niemniej za zło i wstrętny wytwór czasów nowych.

* * *

Zdaniem Rudolfa należało zmienić nie tylko personel polityczny, ale zasady, jakimi on się kierował. Dualizm był systemem zgubnym i nie dającym się obronić. niesprawiedliwym i niebezpiecznym było, ażeby jedyny z nie niemieckich ludów monarchii, Węgry, miał taką władzę, że nie tylko rościł sobie prawo rządzenia według swego uznania w swoim własnym kraju, ale chciał kierować całą Austrią. Czesi, równie liczni jak Madziarzy, powinni byli mieć takie same prawa, a południowi Słowianie, Kroaci i Serbowie również.

Sposób, w jaki Węgrzy obchodzili się ze swemi narodowościami, szczególnie z Kroatami, wydawał mu się pełnym niebezpieczeństw. Osobiście darzył Węgrów sympatią, którą odziedziczył po matce; podziwiał ten naród, jego piękność rasy i ducha rycerskiego. Ale Rudolf nie pochwalał jego polityki i działalności w monarchii, czem różnił się od przyszłego następcy tronu Franciszka Ferdynanda, który, kierując się rozsądkiem i uczuciem, wprost chorobliwie lękał się Węgrów. Rudolf widział przyszłość Austro-Węgier w ustroju federalnym i liberalnym, w którym wszystkie klasy społeczne, wszystkie narodowości byłyby traktowane na zasadzie absolutnej równości.

* * *

Odnosnie do spraw zagranicznych, jego poglądy są bardziej jeszcze oryginalne i sprzeczne z polityką czynników kierowniczych.

Rudolf z całego serca nienawidzi Prus, jakkolwiek stały się one sojusznikiem Austrii. O Prusakach wyraża się bardzo ostro.

Jakkolwiek nie żywił osobistej antypatii do cesarza Wilhelma II, krytykuje go bardzo dotkliwie z przyczyn politycznych:

„Patrzcie, patrzcie — pisał w 1888 — Wilhelm II zaczyna się ruszać. Być może, iż wkrótce zacznie niszczyć naszą starą Europę ogniem i mieczem. Jest to człowiek zaprawdę do tego zdolny. Będąc energicznym i upartym i uważając się za geniusza, za parę lat uczyni z Niemiec Hohenzollernów to, na co zasługują.”

Natomiast Francja, odwieczna nieprzyjaciółka Prus, pociągała go nieprzepartym urokiem jako kraj wolności i nowych pojęć:

„My wszyscy mamy olbrzymi dług wobec Francji, rodzinnego kraju wszystkich idei i wszystkich liberalnych instytucyj na kontynencie — pisał do swego przyjaciela Szepsa. W każdej chwili, w której wielkie myśli torują sobie drogę na świat, powinniśmy pamiętać o Francji, biorąc ją sobie za przykład.

„Czem są Niemcy wobec Francji? Państwem czysto militarnym, polem na którem wprawia się dyktatura i żołdactwo pruskie.”

„Jaką korzyść wyciągnęły Niemcy z roku 1870? Do królików i książąt niemieckich przybył cesarz. Ludność zmuszona jest opłacać koszt znacznie większej armii, a idea jedności cesarstwa germańskiego, utrzymywana i narzucana przez żołnierzy, policję i zastęp szorstkich funkcjonariuszów, z trudem utrzymuje równowagę na ostrzu bagnetów.”

Nie można sobie wyobrazić surowszej i pod wieloma względami sprawiedliwszej krytyki!

Mówiąc przy innej sposobności o Alzacji i Lotaryngii, której zdobycie i zajęcie przez Prusy wydaje mu się szczytem niesprawiedliwości, Rudolf oświadcza, że ziemie te nie przedstawiają żadnego zainteresowania dla Austrii i że nie poświęci ona ani jednego żołnierza dla obrony tego łupiestwa.

Podziwiając geniusz Bismarcka, nienawidzi jego polityki, ponieważ jest sprzeczna z wszelkimi zasadami wolności.

Lecz krajem, do którego pała największą nienawiścią, jest Rosja! Czuje wstręt i pogardę do władców tego państwa, najbardziej zacofanego i barbarzyńskiego, jakie wogóle na świecie istnieje.

Jakkolwiek z ducha i temperamentu jest zdeklarowanym przeciwnikiem wojny, nie wahałby się podjąć walki zapobiegawczej przeciwko temu narodowi, który w jego oczach okrywał hańbą Europę: Byłoby to najpewniejszym środkiem usunięcia na Wschodzie bardzo niebezpiecznego dla Austrii rywala i mogłoby utorować drogę do pokojowego nawiązania stosunków z półwyspem bałkańskim.

Tego rodzaju poglądy, którym można odmówić słuszności lecz nie oryginalności i szczerości, oddzielają następcę tronu od całego jego środowiska, nie tylko od kół arystokratycznych, ale od przywódców politycznych, wojskowych, duchowieństwa i t. d.

Znalazł się zatem sam, lub niemal sam przeciwko licznym i potężnym stronnictwom. Jak mógł w tych warunkach podjąć walkę i wygrać ją? W jakim położeniu i wśród jakich trudności znalazłby się ten odcosobniony człowiek w chwili obejmowania władzy? Czy jego energia, o ile by się na-

tychmiast nie załamała, byłaby wystarczająca do pokonania tych przeszkód?

Rola Alcesta, prowadzącego jawną walkę z rodzajem ludzkim, jest ciężka.



W dniu, w którym Rudolf wstąpiłby na tron, byłoby mu bardzo trudno, jeśli nie niemożliwością, pozostać wiernym swym zasadom. Jego świetnym zaletom umysłowym, które są wyjątkiem w tej naogół skąpo uposażonej rodzinie, — istną anomalią, — przeciwstawia się brak równowagi duchowej. Jego charakter nie znajduje się na tak wysokim poziomie, co jego inteligencja, a zdolność pojmowania jest większa, aniżeli siła woli.

Już za najmłodszych lat okazuje się Rudolf bardzo nerwowo i pobudliwy. Nie jest dzielny, a co gorsza — nie zawsze zupełnie szczerzy.

W czasie podróży na statku wojennym w towarzystwie żony, arcyksięcia Ottona i licznej świty, zmusił — jak opowiadała arcyksiężna Stefania — komendanta, ażeby w ciemną noc skierował statek na główny nurt rzeki, co było niebezpieczne.

Po obiedzie i obfitym uraczeniu się trunkami, zwłaszcza szampanem, którego Rudolf wypił kilka butelek, dał się nagle odczuć gwałtowny wstrząs. Statek najechał na skałę podwodną. Rudolf, przejęty strachem, którego nie był w stanie opanować, zażądał, ażeby go natychmiast wysadzono na ląd.

Trzeba było lądować przy pomocy łódek na wzburzonym morzu, a arcyksięstwo byli poprzywiązywani jak paki.

Rudolf wcześniej już zaczął zdradzać namiętne zamiłowa-

nie do myślistwa, co było częstym objawem w tej rodzinie. Namietność ta przybrała takie rozmiary, że nie potrafił jej się oprzeć.

Polował na grubą zwierzynę, nawet w porze wzbronionej, co prawdziwi myśliwi uważają za niewybaczalne.

Pewnego dnia, gdy z ojcem czatował na giemzę, zeszedł ze swego stanowiska, nie uprzedziwszy o tym nikogo i udał się szybko na ścieżkę, zarezerwowaną dla cesarza, skąd strzelił do przebiegającego zwierzęcia i zranił jednego z naganiaczy. Cesarz, dowiedziawszy się o tym, rozgniewał się na syna i czynił mu gwałtowne wyrzuty. Za karę zabronił mu brać udział w polowaniu w ciągu dni następnych.

Wszystko to wskazuje, że arcyksiążę był człowiekiem o słabej woli i że nie umiał się opanowywać.

W czasie polowania na niedźwiedzie w Karpatach, arcyksiążę, nie mając cierpliwości pozostać w ukryciu, wstał o wiele za wcześnie. Zwierzę, ścigane przez naganiaczy, skierowało się na niego, gdy tylko go ujrzało. Rudolf strzelił za szybko i nie celnie. Cztery kule oddane raz po raz zdołały jedynie zranić lekko zwierzę, które rzuciło się z wściekłością w jego stronę. Podniecony, zdenerwowany arcyksiążę nie zdołał ponownie naładować strzelby. Na szczęście łowczy, stojący opodal, zabił niedźwiedzia, znajdującego się zaledwie w odległości kilku kroków od następcy tronu.

W całej środkowej Europie rozpowszechniona jest legenda, że myśliwy, który zabije białego jelenia z dziesięcioma rogami, ginie nagłą śmiercią.

W czasie jakiegoś polowania w Niemczech Rudolf zabił białego jelenia o dziesięciu rogach. Znał tę legendę i to wspomnienie nie dawało mu spokoju. Przez całe życie nie mógł się uwolnić od tej ciężącej nad nim groźby.

Nieszczęśliwe małżeństwo.

Jego pragnienia i upodobania przyczyniły się do tego, że zaczął się bawić z kobietami, pić, a nawet, jak mówiono, używać środków odurzających, co osłabiło znacznie jego wolę, i tak już niezbyt silną.

Nieszczęśliwe małżeństwo, które w wielkiej mierze z jego własnej winy nie dało mu tego, czego mógł się spodziewać, dokonało reszty.

Gdy trzeba było znaleźć dla niego żonę i to jaknajprędzej, gdyż miano nadzieję, że ożenek wpłynie na jego ustakowanie się, cesarz i cesarzowa uczynili to, co monarchowie zawsze w takich wypadkach czynią. Zaczęli szukać narzeczonej na dworach zaprzyjaźnionych. Niestety, nie mieli wielkiego wyboru. Dynastii katolickich, z których przyszła cesarzowa musiała pochodzić, było niewiele.

Nie mogło być mowy o Bawarii, gdyż pomiędzy nią a Austrią było już dość, a nawet za dużo krzyżowań.

Pozostała zatem Saksonia, Belgia i Hiszpania.

Rudolf, odwiedzwszy pewnego razu Drezno, przekonał się, że księżniczki saskie nie podobają mu się. W Hiszpanii nie było księżniczki, mającej odpowiednie dane. Wobec tego ograniczono się do Belgii. Leopold II miał szesnastoletnią córkę. Cesarzowa nie była zbyt zachwycona małżeństwem z panną z domu Koburgów, przypominając sobie zapewne swego szwagra, nieszczęsnego Maksymiliana, którego żona, księżniczka belgijska, postradała zmysły.

Z braku czegoś lepszego trzeba jednak było się tym zadowolić.

Ambitny i skąpy król belgijski był oczywiście zachwy-

cony, że zdobędzie zięcia, który w przyszłości będzie cesarzem.

Zaręczyny zostały ogłoszone, zanim Rudolf wogóle zobaczył swoją przyszłą żonę, która, jak sama wspomina w swych „Pamiętnikach”, w owym czasie nie była jeszcze płciowo dojrzała.

Tymczasem dwór wiedeński przyspieszał zawarcie małżeństwa w nadziei, że Rudolf, ożeniwszy się, będzie prowadził życie bardziej stateczne i uregulowane.

Z tej okazji odbywały się wspaniałe uroczystości. Młodzi małżonkowie — Rudolf miał dwadzieścia trzy lata, a Stefania siedemnaście — mieli spędzić miodowe miesiące w pałacu Laxenburg, w pobliżu stolicy.

Pałac ten, zniszczony w swoim czasie przez Turków, został odbudowany za panowania Marii Teresy. Najpiękniejszy był otaczający go bardzo duży park z zielonymi trawnikami, stawami i wspaniałymi drzewami. Sam budynek miał szereg dość okazałych, lecz pozbawionych komfortu pokoi (ani jednej łazienki), a wielkie porcelanowe piece, jakie się widuje w całej Europie środkowej, ogrzewały jako tako pokoje i salony, natomiast na korytarzach temperatura była niska.

Wielce niewygodne mieszkanie, a być może także nieco brutalna niezręczność męża sprawiły, iż miodowe miesiące wywarły przykre wrażenie na arcyksiężnej Stefanii, — jak o tem pisze w swych wspomnieniach. Nie należy jednak przywiązywać do wspomnień tych zbyt wielkiej wartości historycznej, gdyż własna córka tej, która je napisała, arcyksiężna Elżbieta, późniejsza księżna Windischgraetz, sprzeciwiała się formalnie rozpowszechnianiu tej książki, która w Austrii została zakazana.

Gdy Stefania zaszła w ciążę, w r. 1883, nastał dla niej — jak pisze — najszcześniejszy okres pożycia małżeńskiego. Mąż był dla niej wówczas dobry i miły. Pragnął gorąco syna, lecz żona urodziła córkę, co dla Rudolfa było pierwszym i wielkim rozczarowaniem. Ponieważ poród był bardzo ciężki, lekarze oświadczyli, że arcyksiężna prawdopodobnie nie będzie już mogła mieć dzieci.

Stefania zaczęła przeprowadzać kuracje w wielu uzdrowiskach. Mąż odsuwał się od niej coraz bardziej. Listy Rudolfa, które Stefania przytacza w swej książce, nie są zbyt cenne, jakkolwiek podpisywał je stale: „Dein dich liebender Coco” (Twój kochający się Koko).

Niestety Koko był zakochany tylko na papierze i przestał zupełnie okazywać swą miłość w inny sposób.

Małżeństwo trzymało się jako tako dopóki następca tronu przebywał w Pradze, gdzie zatrzymywały go zajęcia służbowe. Zawód wojskowy zajmował go i pełnił służbę z przyjemnością. Był bardzo lubiany przez swych oficerów i żołnierzy. Miał uczucie, iż spełnia pożyteczne zadanie.

Po powrocie z Czech doznaje wielu rozczarowań: Spodziewał się, że cesarz powierzy mu ważną placówkę; tymczasem nie pozwalano mu nic robić.

Zaczął rozpaczać i nudzić się. Żona, o której wiedział, że jest bezpłodna, stawiała mu się coraz bardziej antypatyczna. Oddawał się bez pamięci hulankom i pijatykom. Przebierając się w cywilne ubranie, ażeby nie być poznany, uczęszczał do podejrzanych lokali, gdzie chętnie przebywał w towarzystwie ludzi, nie cieszących się dobrą opinią.

Do innych kłopotów przyłączyły się poważne troski materialne. Tryb życia, jaki prowadził, był bardzo kosztowny i przewyższał znacznie jego dochody.

Nie mógł zupełnie liczyć na cesarza, który w stosunku do siebie, a więc tymbardziej do innych, z wyjątkiem cesarzowej, był drobiazgowo oszczędny. Lokaj cesarza Ketterl, którego wspomnienia zawierają ciekawe szczegóły, dostarcza pod tym względem bardzo pikantnych informacji.

Rudolf miał tylko jedno wyjście: zaciągać długi. Brnął w nie coraz bardziej. Nawiązał stosunki z wielkim finansistą baronem Hirschem, który zarobił olbrzymi majątek na przeprowadzeniu różnych interesów, zwłaszcza na budowaniu kolei żelaznej na Wschodzie. Hirsch zdobył się na gest, jakiego w tego rodzaju okolicznościach można się było spodziewać po obdarzonym szlachectwem izraelicie, pożyczył następcy tronu pieniędzy.

To samo zdarzało się wiele razy księciu Walii, którego Rudolf, bardzo z nim zaprzyjaźniony, zaprosił pewnego dnia w Wiedniu na śniadanie (w gabinecie pewnej znanej restauracji), na którym był również baron Hirsch.

Poufne to spotkanie finansisty z następcami tronów Anglii i Austro-Węgier jest znakiem czasu. Gdy się mówi o „królach finansowych” można się przekonać, że to tak często używane wyrażenie jest w pełni uzasadnione.

Polityka namiętnie zajmuje Rudolfa, lecz nie może on odgrywać w niej żadnej roli i zdaje sobie z tego sprawę. Jest on ofiarą niedorzecznego systemu, który nie uwzględnia zupełnie jego żywotności i ogranicza go do podrzędnych zajęć.

Rudolf, porównując swój tryb życia z życiem księcia Walii, dla którego żywił wielką sympatię i z którym się zaprzyjaźnił, wpadał w złość i doznawał uczucia odrazy. Nie można sobie było wyobrazić nic bardziej miłego i interesującego od życia brytyjskiego następcy tronu. Jego matka, królowa, powierzała mu ciągle jakieś misje, wysyłając go do

różnych stolic Europy i kolonij swego olbrzymiego państwa. W Londynie ksiązę Walii wiódł życie takie, jakie mu się podobало. Przyjmował swobodnie swych przyjaciół, których dobierał sobie z pośród wszystkich warstw towarzystwa: bankierów chrześcijańskich lub żydowskich, zwłaszcza tych ostatnich, gdyż są bogatsi, przemysłowców, artystów i t. d. Tak samo postępował bawiąc zagranicą. Nie miano nic przeciw temu, iż przyjaźnił się z izraelickimi finansistami niemieckiego pochodzenia, jak na przykład sir Ernest Cassel, mimo że hojnie pożyczali mu pieniędzy na zapłacenie jego licznych długów. Nie narażając się na najmniejszą krytykę mógł mieć kochanki z pośród dam dworu i słynnych angielskich, czy francuskich aktorek. Zawezwano go nawet jako świadka w procesie o cudzołóstwo, w którym była w dodatku mowa o bakaracie. Nikt nie brał mu tego wszystkiego za złe.

Cóż za przeciwieństwo z życiem Rudolfa! Gdyby był popełnił chociażby dziesiątą część tego, co żaden z jego rodaków nie miał za złe księciu Edwardowi, wzniesionoby ze wszystkich stron okrzyki wściekłości i potępienia przeciwko niemu! Wszystkie jego czyny, każdy gest był podpatrywany.

Jego ojciec, cesarz, który powinien był dać mu jakieś odpowiednie zajęcie, pozwalał mu próżnować. Rudolf nie wiedział czem wypełnić bezczynne życie. To główny powód jego wybryków i rozpustnego życia. Wynikające z tego zmęczenie, padając na przygotowany grunt, zniszczyło szybko jego zdrowie i pozbawiło go równowagi duchowej. Tracił coraz bardziej zaufanie do siebie i do swej przyszłości. W jego korespondencji przejawia się jego zniechęcenie i depresja. Świetne zdrowie jego ojca, któremu wróżono bardzo długie życie, wzbudzało w nim przekonanie, że nie będzie nigdy

panował, a jeśli nawet kiedyś wstąpi na tron, to dopiero wówczas, gdy utraci wszelką siłę i twórczą aktywność.

W ten sposób coraz bardziej zmniejszało się jego zainteresowanie dla życia, które nic mu już nie dawało. Jego wielkim pragnieniem było mieć syna, któryby kontynuował dynastję. Te nadzieje zawiodły i nie było widoków, ażeby mogły się kiedykolwiek spełnić.

Gdy się śledzi przebieg jego kariery, czuje się ogarniające go stopniowo znużenie, które w końcu bierze górę nad wszystkim. Jego dewizą mogłoby być: „Poco?” Zaczyna myśleć o śmierci. Początkowo odsuwa tę myśl jak niepożądanego gościa. Ale wraca ona uparcie i w końcu wkrada się do jego duszy.

* * *

Czy z powodu beczynności i braku równowagi dał się wciągnąć wraz z arcyksięciem Janem Salvatorem, również buntownikiem, w pokątną działalność polityczną, która chwilami przybierała charakter spisku przeciwko rządowi? Zapewniano o tym często, lecz nie było na to dostatecznych dowodów.

Mówiono, że Rudolf skomunikował się z madziarskimi politykami, którzy pragnęli aby za życia swego ojca wstąpił na tron węgierski. Przy tej sposobności wymieniano nawet nazwisko Kolomana Tiszy.

Gdyby najmniejsza wieść o tych intrygach — o ile one wogóle istniały — była doszła do wiadomości cesarza, nie-
zwykle zazdrosnego o swój autorytet, to niewątpliwie byłby się strasznie rozgniewał na następcę tronu. Byłby go uważał za zdrajcę, przestępcę, pragnącego ograbić go za życia.

Ale pocóż doszukiwać się w tragicznej śmierci Rudolfa

przyczyn natury politycznej? Jego samobójstwo dostatecznie tłumaczy się zniszczonymi nerwami i istniejącymi w nim zarodkami choroby umysłowej.

Był on niewątpliwie od pewnego już czasu kandydatem do samobójstwa.

Ukończywszy trzydzieści lat, napisał wkrótce przed śmiercią do jednego ze swych przyjaciół następujące słowa, tchnące rozczarowaniem, — słowa prorocze:

„Trzydzieści lat! To pokaźna część życia i jeśli idzie o mnie, niezbyt radosna. Dużo minionego czasu, wypełnionego mniej lub więcej pożytecznie, ale bardzo niewiele czynów i dobrych wyników. Żyjemy w niewyraźnych czasach. Kto wie jak długo to jeszcze potrwa? A teraz każdy rok postarza mnie, zmniejsza moje zdolności, gdyż moja codzienna praca, ciągła gotowość do ponoszenia wszelkiej odpowiedzialności, to wszystko wyczerpuje siły człowieka...”

Ten list brzmi bardzo smutnie. W ten sposób nie wyraża się człowiek ufający sobie i swemu przeznaczeniu.

Jeden z biografów Rudolfa zapewnia, że arcyksiążę już kilkakrotnie zamierzał się zabić.

Jak to często bywa u ludzi, którzy pragną położyć kres swemu życiu a nie mają odwagi działać sami, usiłował pociągnąć z sobą do grobu jeszcze kogoś.

Zwierzył się z tym jednej ze swych przelotnych kochanek, która przerażona spiesźnie zawiadomiła policję. Właśnie w owej chwili przypadkowo znalazła się na jego drodze piękna młoda dziewczyna, Maria Veczera.

Przygoda wiedeńska.

Chcąc zrozumieć prawdziwy charakter tej przygody miłosnej arcyksięcia z młodziutką panną z towarzystwa, trzeba przede wszystkim uzmysłwić sobie pełne lekkomyślności, uroku i nieco frywolne stosunki, jakie panowały w stolicy, gdy ta iście wiedeńska historia się zaczęła.

Rzucano sobie przelotne spojrzenia w Operze lub na przejażdżkach w Praterze, spotykano się na bocznych ścieżkach, jeżdżono dorożkami, przyczym woźnica, jeden z najpopularniejszych typów wiedeńskich, odgrywał rolę powiernika, bawił towarzystwo i w razie potrzeby pośredniczył. Do pałacu cesarskiego wchodziło się przez ukryte schody i tajemne drzwi, a w pawilonach myśliwskich odbywały się spotkania miłosne.

W powieściach niektórych wiedeńskich autorów i w sztukach Artura Schnitzlera roi się od typów i intryg, przypominających przygodę arcyksięcia i jego młodej ofiary.

Albowiem bohaterka dramatu od początku do końca była jedynie ofiarą.

Córka austriackiego dyplomaty i bogatej Turczynki była, jak to widać z jej portretów, bardzo ładna i pociągająca w chwili gdy Rudolf ją poznał.

Skrzyżowanie dwu ras wytworzyło, jak to często bywa, bardzo oryginalny i ponętny typ.

Veczerowie zajmowali pewne stanowisko w towarzystwie. Dwaj bracia baronowej, Baltazzi'owie, posiadali stajnie wyścigowe i uchodzili za dość zamożnych. Baronowa, ich siostra, miała znacznie mniejszy majątek niż przypuszczano i żyła raczej z kapitału, aniżeli z dochodów. Całe nadzieje pokładała w swej córce Marii, która jej zdaniem mogła i po-

winna była zrobić świetną partię, dzięki której rodzina znówby się wydzwignęła.

U młodej panny rozpoczęła się ta historia prawdziwą miłością pensjonarki. Zakochała się w następcy tronu, który był w jej oczach księciem z bajki. Podziwiała jego portrety w dziennikach, towarzyszyła mu w myślach dokądkolwiek się udawał, starała się zasięgnąć o nim wiadomości i wypytywała o każdy jego czyn i gest tych wszystkich, którzy mieli to wielkie szczęście, iż mogli się do niego zbliżyć. Stawała na jego drodze, aby móc go bodaj zobaczyć, ilekroć brał udział w jakichś uroczystościach. Na przejażdżkach w Praterze starała się, ażeby powóz, w którym jechała z matką i siostrą, mijał się z arcyksięciem, jadącym konno.

Przejażdżki w Praterze były punktem zbornym całego wytwornego towarzystwa. Pod koniec popołudnia po obu stronach szosy, której środek był zarezerwowany dla powozów cesarza i jego rodziny, ciągnął się podwójny szereg jadących tam i spowrotem pięknych powozów ze wspianiałymi węgierskimi końmi.

Na przedstawieniach w Operze, Maria, siedząc na widocznym miejscu w pierwszym rzędzie łoży, patrzyła ukradkiem na wielką łożę środkową, w której siadywał cesarz i arcyksiążęta.

Pewnego dnia zdarzyło się to, co zająć musiało.

Rudolf zauważył wreszcie tę bardzo ładną dziewczynę, która wydawała się nim bardzo zajęta. Zapytał o jej nazwisko. Zasięgnął o niej bliższych informacji. Wpatrywał się w nią również ilekroć ją spotykał. Poszukując przygód, gdyż z braku zajęć jedynie one mogły wypełnić pustkę jego życia, poszedł za tym nowym śladem w nadziei, że to go może zająć, czy rozerwie.

W ten sposób te dwie istoty zbliżały się do siebie coraz bardziej. W jaki sposób miało nastąpić spotkanie?

* * *

Jakkolwiek baronowa Veczera zajmowała w towarzystwie dość poczesne stanowisko, głównie dzięki pieniądзом i urządzanym przez nią przyjęciom, nie należała do kół arystokratycznych. Nie była przyjmowana na prywatnych balach dworskich, ani na przyjęciach w ścisłym gronie. Nie była pochodzenia szlacheckiego, a zatem nie była *hoffähig* (t. zn. nie godna przyjęcia na dworze. Przyp. tłum.).

Arcyksiążę nie miał wobec tego sposobności spotkania się z młodą dziewczyną, chyba żeby mu ktoś to zbliżenie ułatwił.

Roli tej podjęła się pewna młoda kobieta, przyjaciółka Marii Veczery, a jeszcze większa przyjaciółka Rudolfa, hrabina Larisch, córka księcia bawarskiego, rodzonego brata cesarzowej Elżbiety i aktorki, z którą on zawarł związek morganatyczny. W ten sposób hrabina trochę z lewej ręki była bratanicą monarchini i cioteczną siostrą Rudolfa. Jako bardzo młoda dziewczyna bywała u ciotki, która pieściła ją i będąc wolnomyślną, pozbawioną wszelkich przesądów osobą, zapraszała ją na dwór tak, jakby należała do rodziny.

To życie poza domem cesarskim stwarzało dziwną sytuację i czyniło z hrabiny osobę jakby zdeklasowaną.

Jakkolwiek cesarzowa, która nie robiła sobie nic z protokołu i etykiety, odnosiła się do niej jak do księżniczki, to w jej otoczeniu nie brakło ludzi, którzy dawali jej odczuć, że księżniczką nie była.

Bardzo przedsiębiorcza, żywa i samodzielna, wyszła

w końcu po kilku nieudanych zaręczynach za hrabiego Larischa, którego nie kochała wcale i z którym się rychło rozeszła. Małżeństwo to zawarła zresztą za radą cesarzowej, która uważała to za najlepszy sposób uporządkowania jej życia.

Mówiono, że była jedną z wielu przelotnych kochanek Rudolfa. Nie jest to nieprawdopodobnym. W każdym bądź razie żyła z nim na bardzo poufalej stopie.

Maria Veczera, którą doskonale знаła i z którą chętnie przebywała, mówiła jej ciągle o arcyksięciu i w końcu zwierzyła jej się z owej wielkiej miłości.

„Intryga i miłość”.

„Kabale und Liebe” (Intryga i miłość) jest to tytuł jednej z najbardziej znanych sztuk Schillera. Tutaj intryga nawiązuje się pomiędzy tymi trzema osobami, a hrabina, znająca się na tego rodzaju sprawach, skwapliwie wiąże nici.

Chcąc zabawić Rudolfa, opowiada mu, że pewna młoda panna z towarzystwa, bardzo ładna, jest w nim zakochana do szaleństwa. Gdy arcyksiążę chciał się koniecznie dowiedzieć nazwiska owej panny, początkowo nie chciała mu go wyjawić, poprostu dla nadania swemu opowiadaniu większej pikanterii.

Rudolf dowiedział się wkrótce, że idzie o młodą baronównę Veczerę, której zabiegi już zauważył. Zapragnął się z nią zobaczyć.

Poprosił hrabinę, aby przyprowadziła kiedyś Marię do jego prywatnych apartamentów w Hofburgu.

Hrabina dała się trochę prosić — nie długo — poczyniła podjęła się tej bardzo delikatnej i zasługującej na nagane misji. Przyłożyła rękę, a nawet możnaby powiedzieć dwie ręce do tego stosunku, z którego nie mogło wynikać nic dobrego, ani dla jednej, ani dla drugiej strony.

Ciesząc się zupełnym zaufaniem matki, zaczęła zabierać Marię na spacer. Obie kobiety pewnego dnia zjawiły się przed ukrytymi drzwiami pałacu. Loschek, pierwszy kamerdyner księcia, obznajomiony z szczegółami dotyczącymi jego życia, oczekiwał obu pań i potajemnymi schodami zaprowadził je do salonów arcyksięcia.

Kochankowie poznali się. Dlaczego nie mianoby następnie powtórzyć tego, co za pierwszym razem tak dobrze się powiodło?

W owym czasie młode panny nie mogły nigdy, pod żadnym pozorem, wychodzić z domu same. Była to reguła surowa, nieubłagana i nie dopuszczająca żadnych wyjątków. Hrabina musiała zatem matkować pannie, udającej się na potajemne spotkania. Tylko przy jej poparciu mógł się ten stosunek utrzymać. Jak długo miał on potrwać?

Jeśli można wierzyć matce, która o tej przygodzie napisała wspomnienia, mające być jej usprawiedliwieniem, ta miłość trwała bardzo krótko, zaledwie kilka tygodni. Tak samo twierdzi hrabina w swej książce, wydanej pod tytułem: „Moja przeszłość”. Istotnie, jest prawdopodobnem, że przygoda rozpoczęła się niezbyt długo przed tragicznym zakończeniem. Kochankowie mogli się widywać jedynie bardzo rzadko z powodu wielkich trudności z jakimi to było połączone.

Rzadko się zdarza, ażeby w miłosnych stosunkach obie strony wniosły jednakowe wkłady. Wszelkie nieporozumienia i rozczarowania stąd właśnie pochodzą. A jednak to, co

możnaby nazwać „różnicą temperatur”, nie było nigdy tak widoczne, jak w tym wypadku.

Dla Rudolfa była to tylko miłostka, jakich miał już wiele. Być może, iż włożył w nią więcej uczucia i serdeczności niż zazwyczaj, gdyż miał do czynienia z młodzieńką dziewczyną, która nie zaznała przedtem miłości.

Twierdzenie, że był w niej tak szalenie zakochany, iż chciał uzyskać od papieża zezwolenie na rozwód i ożenić się z nią morganatycznie, jest jedynie przypuszczeniem, nieopartym na żadnym dowodzie. Był zbyt mądry, ażeby nie wiedzieć, iż papież nie zgodzi się nigdy na rozwód, a w każdym bądź razie ojciec, niezwykle surowy pod tym względem, nigdyby na coś podobnego nie przystał.

Dla Marii natomiast była ta miłość wszystkim. Żyła tylko nią i łączyła z nią wszystkie pragnienia, złudzenia i marzenia.

Nic dla niej nie istniało prócz rzadkich chwil, w których za cenę wielkich trudności i wybiegów zdołała wymknąć się, ażeby zobaczyć ukochanego.

Namiętność nasuwała jej na myśl zręczne podstępny. Gdy miała wyjść z matką, udawała, że jest chora, lub rozmyślnie myślała sobie włosy na kilka minut przedtem, ażeby mieć wymówkę i nie pójść z nią do Opery. Najważniejszym było móc widywać się jaknajczęściej z kochankiem.

Maria była tak egzaltowana, tak opanowana swą namiętnością, że traciła poprostu głowę. Z jej winy zaszedł poważny incydent, niemal skandal na wielkim przyjęciu u ambasadora niemieckiego, księcia von Reuss.

Całe towarzystwo zebrało się w salonach ambasady. Rudolf, który reprezentował cesarza, i arcyksiężna Stefania byli na tym przyjęciu. Gdy Stefania przechodziła przez salo-

ny, wszystkie panie składały jej pokłon. Kiedy doszła do Marii Veczery, ta wlepiła w nią wzrok, nie kłaniając jej się wcale.

Czy chciała zadrwić z rywalki? A może była tak zmieszana i przerażona, że nie potrafiła zebrać myśli? Obecni byli zgorszeni; każdy zastanawiał się nad przyczynami tego niestosownego zachowania się. Podejrzenia, które już krążyły, sprecyzowały się.

Nieoczekiwana ta scena miała miejsce w niedzielę 27 stycznia 1889. Nazajutrz Rudolf i Maria wyjechali na polowanie do Mayerlingu.

Było to istne porwanie. Młoda, niepełnoletnia, bo zaledwie siedemnaście lat licząca dziewczyna wyjeżdża z domu rodzinnego, aby zamieszkać pod jednym dachem z następcą tronu. Sam ten fakt groził strasznymi konsekwencjami. Stało się coś, czego nie można było naprawić. Był to skandal, którego nie dałoby się już z pewnością zatuszować.

Arcyksiążę był zbyt mądry, ażeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Wiedział, że panna będzie skompromitowana, niemal pozbawiona czci i nie znajdzie nigdy męża.

Wiedział również, że odpowiedzialność za to spadnie na niego.

Jeśli odjeżdżali oboje w ten sposób, to chyba nie mieli zamiaru powrócić. Był to wyjazd nie na Cyterę, ale na tamten świat.

Porwanie to mogło dojść do skutku jedynie przy pomocy hrabiny Larisch.

Gdy hrabina, jak tyle razy poprzednio, przyprowadziła Marię do prywatnych apartamentów arcyksięcia w Hofburgu, Rudolf oświadczył jej stanowczo, że chce zatrzymać Marię u siebie przez dwa dni. Poleciał hrabinie Larisch, ażeby

udała się do baronowej Veczera i wytłumaczyła jej jakoś, że córka zginęła w tłumie gdy wychodziły z jakiegoś sklepu, lub coś w tym rodzaju.

Rola hrabiny Larisch, która po tym stała się awanturnicą, była bardzo podejrzana. Gdyby była miała jakąś moralność, godność osobistą, czy poczucie odpowiedzialności, powinna była uczynić wszystko, aby nie dopuścić do tego porwania i wyjazdu, oświadczyć Rudolfowi, że nie chce brać udziału w tej intrydze, a gdyby nalegał — zagrozić mu za wiadomieniem policji, lub w ostatecznym razie zwrócić się do cesarza. Nie uczyniła niczego. Pozwoliła, ażeby wypadki potoczyły się swym torem. Jej wina w całej tej sprawie nie ulega wątpliwości.

Krytyki i wyrzuty, jakie ją później spotkały, są w pełni uzasadnione. Atakowana, zniesławiona niemal przez ten dramat, wiodła nadal życie awanturnicze, porzuciła męża, wyszła jeszcze dwa razy za mąż, ostatnio za jakiegoś amerykańskiego farmera. Jej syn z powodu skandalu popełnił samobójstwo.

Mówiono, i jest to nawet prawdopodobne, że była dlatego taka słaba i uległa wobec Rudolfa, że — potrzebując bardzo pieniędzy — otrzymała od niego jakąś większą sumę.

Jeden dzień i jedna noc.

Arcyksiążę zaprosił na to polowanie dwóch towarzyszy, z którymi łączyły go zażyłe stosunki: księcia Filipa Koburskiego i hrabiego Hoyosa.

O tym, co zaszło w Meyerlingu, istnieje tylko jeden do-

kument, a to zeznanie — spisane pod przysięgą w kilka dni po tragedii — hrabiego Hoyosa.

Gdy czyta się uważnie to sprawozdanie, nie wydaje się ono zupełnie szczere. Być może, iż to, co mówi Hoyos, nie jest niedokładne, ale czuje się, że pewne rzeczy przemilcza.

Hoyos i księżę Koburski wyjechali z Wiednia wczesnym rankiem 29-go stycznia, koleją. Przybyli do Baden, skąd sanki — był mróz i na drogach leżał śnieg — zawiozły ich do pawilonu, akurat na pierwsze śniadanie, które spożyli razem z Rudolfem. Oświadczył im, że jest bardzo zakatarzony i nie będzie mógł pójść z nimi na polowanie.

Po zastrzeleniu kilku bażantów, Hoyos i księżę Koburski wrócili dość wcześnie, gdyż księżę musiał wracać do Wiednia, gdzie miał być tego dnia na obiedzie w Hofburgu. Rudolf, który był również zaproszony, polecił, ażeby księżę Filip usprawiedliwił go, iż nie przybędzie z powodu kataru.

Hoyos jadł obiad z arcyksięciem, który był w świetnym humorze i rozmawiał z nim swobodnie o różnych sprawach. Hoyos zapewnia, że nie miał w owej chwili najmniejszego pojęcia o obecności jakiejś kobiety w pałacu. Dopiero nazajutrz dowiedział się o tem.

Mówiono, że jego opowiadanie jest pod tym względem nieścisłe, gdyż baronówna była na tym obiedzie; podobno było bardzo wesoło i skończyło się na pijatyce. Dorożkarz Bratfisch, który przywiózł młodą parę do Mayerlingu, znany ze swych zdolności piosenkarza, a przy tym umiejący pięknie gwizdać, został zawezwany po obiedzie celem zabawienia biesiadników.

Rudolf, lekko niedysponowany, odszedł bardzo wcześnie. Hoyos udał się na spoczynek do pawiloniku, przylegającego do pałacu, umówiwszy się z arcyksięciem na następny dzień.

Gdy nazajutrz koło ósmej wszedł do pałacu, wybiegł ku niemu dozorca i powiedział, że kamerdyner Loschek mimo wielokrotnego stukania w drzwi nie może dobudzić się arcyksięcia. Hoyos, zdziwiony i niespokojny, poszedł do Loscheka i nakazał mu natychmiast wyłamać drzwi.

Loschek opowiedział mu wówczas, że arcyksiążę zbudził go tego ranka około szóstej, prosząc aby podał mu śniadanie o wpół do ósmej i zamówił powozy na ósmą. Hoyos twierdzi, że dopiero wtedy się dowiedział, że Rudolf nie był sam i że w jego sypialni przebywała młoda kobieta: Maria Veczera.

Hoyos wahał się i, będąc niezdecydowanym, czekał na powrót księcia Koburskiego, który miał przybyć wkrótce tym samym pociągami, którym przyjechali dnia poprzedniego. Zaledwie się zjawił, drzwi wyłamano.

Loschek wpadł pierwszy do pokoju.

— Nie żyją oboje! — krzyknął. — Otruli się!

Przypuszczał w pierwszej chwili, że zachodzi otrucie, ponieważ na stoliczku obok ciała Rudolfa stała szklanka — jak mniemał Loschek — z trucizną.

Ale wkrótce zobaczył nawpół rozbitą głowę arcyksięcia i ślady krwi na prześcieradłach i poduszkach.

Hoyos utrzymuje, że ani on ani książę Koburski nie weszli do pokoju. Kazali natychmiast zamknąć drzwi i zabronili komukolwiek tam wchodzić.

Ten brak ciekawości wydaje się nieprawdopodobny. Ale zanim przerażeni towarzysze Rudolfa wykryli tajemnicę śmierci tych dwojga, uświadomili sobie polityczne następstwa tego dramatu. Zrozumieli w pełni odpowiedzialność, jaka na nich ciążyła. Należało spiesźnie przedsięwziąć odpowiednie kroki, ażeby ta wieść nie rozniosła się, zanim cesarz nie zostanie powiadomiony. Hoyos podjął się tej przykrej misji.

Podczas gdy książę Koburski i Loschek pozostali w pałacu, Hoyos wyjechał spiesźnie powozem Bratfisch. Przybywszy do Badenu, zdołał nakłonić naczelnika stacji do zatrzymania ekspresu z Tryjestu, który miał nadjechać za kilka minut, ale nie zatrzymywał się w Badenie.

Przybywszy do Wiednia, Hoyos udał się do pałacu, — dokąd wszedł przez tylne schody, — pośpieszył do hrabiego de Bombelles, zawiadomił go o katastrofie i poszedł z nim razem do mistrza ceremonii cesarzowej. Następnie udali się obaj do hrabiego Paara, pierwszego adiutanta cesarza.

Sądźili, że najlepiej będzie zawiadomić wpierrw cesarzową.

Elżbieta czesała się właśnie, co było dla niej rzeczą bardzo ważną i skomplikowaną i zajmowało każdego ranka około dwóch godzin. Korzystała z tego czasu, biorąc lekcję greckiego; było wyraźnie zakazane wchodzić do niej podczas lekcji.

Gdy jej dama dworu, Ida von Ferenczi, otworzyła drzwi, cesarzowa zgromiła ją. Ale tamta nalegała — i Elżbieta, zważwszy jej zmieszanie, zgodziła się ją wysłuchać. W kilku słowach pani Ferenczi oznajmiła cesarzowej co zaszło. Cesarzowa złamana, niemal mdlejąca opanowała się wysiłkiem woli, ułyszawszy na korytarzu kroki cesarza, który szedł ją odwiedzić.

Para cesarska pozostała bez świadków.

W kwadrans później, Franciszek Józef ukazał się na progu zgarbiony, przybity, — zdaniem osób należących do jego świty — postarzały o dziesięć lat.

Cesarzowa poprosiła przyjaciółkę męża, panią Schratt,

ażeby udała się do niego. Była pewna, że jej obecność i wyrazy pociechy dobrze nań podziałają.

Okolo południa, do cesarza zawezwano Hoyos'a, który opowiedział szczegółowo wszystko, co było mu wiadome. Cesarz słuchał go z oznakami wielkiego wzruszenia.

Hoyos poszedł następnie do arcyksiężnej Stefanii, wdowy po następcy tronu. Była już poinformowana, lecz chciała dowiedzieć się wszystkich szczegółów z ust jednego ze świadków. Jak pisze w swych pamiętnikach, tego dnia popołudniu miała z cesarzem i cesarzową bardzo przykrą rozmowę.

Gdy Franciszek Józef i Elżbieta chcieli uczynić ją odpowiedzialną za samobójstwo, gwałtownie odparła to oskarżenie, twierdząc, że już od pewnego czasu przeczuwała zbliżającą się katastrofę. Zdrowie Rudolfa, który był co raz bardziej nerwowy i rozdrażniony, było podkopane. Kilkakrotnie w jej obecności bawił się rewolwerem. Jego stan tak ją niepokoił, że pewnego dnia udała się do cesarza, ażeby zwierzyć mu się ze swych obaw. Niestety, cesarz nie chciał słuchać jej żalów i przy pierwszych słowach przerwał jej, mówiąc ażeby się starała o ile możliwości nie drażnić męża.

Cesarz postanowił wysłać natychmiast do Mayerlingu komisję, złożoną z kilku lekarzy i mistrza ceremonii arcyksięcia.

Tejże nocy, nie uprzedzając nikogo, sprowadzono do Wiednia do pałacu cesarskiego ciało arcyksięcia.

Nazajutrz, 31-go stycznia, o szóstej rano cesarz nakazał w swej obecności odsłonić wieko trumny, aby po raz ostatni spojrzeć na syna. Smutny widok ukazał się jego oczom: ujrzał głowę zmarłego, owiniętą bandażami.

Po południu komisja, z najbardziej znanym lekarzem wiedeńskim na czele, miała dokonać oględzin zwłok i zredagować

protokół, który podano do wiadomości w dwa dni później, 2-go lutego.

Protokół stwierdzał, że pierwsza wersja o nagłej śmierci z powodu zatoru naczyń krwionośnych była nieprawdziwa. Ustalono, że jest to samobójstwo, czego niewątpliwym dowodem stan czaszki i znaleziony na łóżku, tuż koło prawej ręki Rudolfa rewolwer.

Komunikat kończył się tym, że rzeczoznawcy po zbadaniu czaszki oświadczają, iż arcyksiążę był w stanie rozstroju umysłowego, co tłumaczy jego samobójstwo. Osoby z jego świty zauważyły już ostatnio u niego objawy tego rozstroju.

Teraz cesarz troszczył się już tylko o to, ażeby sprawić synowi pogrzeb religijny, protokółarny, i pochować go w krypcie Kapucynów, w której od wieków chowano wszystkich członków rodziny cesarskiej.

Zażądał od lekarzy ażeby poświadczyli, że przyczyną zgonu był udar serca. Powołując się na swe sumienie, odmówili stanowczo. Grozili nawet podaniem się do dymisji, co zwiększyłoby jeszcze rozmiary skandalu. Jedynym ustępstwem, na jakie się zgodzili, było uznanie chwilowego rozstroju umysłowego, co zresztą podaje się często w wypadkach samobójstw, popełnionych przez katolików, ażeby pogrzeb mógł się odbyć według zasad religii.

W dniu śmierci Rudolfa, 30-go stycznia, cesarz zawiadomił telegraficznie dwory zagraniczne o wypadku, oświadczając, że arcyksiążę zmarł na zator naczyń krwionośnych.

Tego dnia nie zwracano się zupełnie do Watykanu. Cesarz, bardzo zakłopotany, czekał dwadzieścia cztery godziny, po czym wysłał do papieża krótki telegram w języku francuskim, w którym była jedynie mowa o „nagłej śmierci”. Podobno po tym krótkim oficjalnym telegramie wysłano drugi.

znacznie dłuższy, obejmujący około tysiąca słów, w którym przedstawiono papieżowi całą prawdę, błagając go, aby mimo wszystko zezwolił na pogrzeb religijny.

W każdym razie to jedno jest pewne, że Franciszek Józef wysłał natychmiast do Rzymu jednego ze swych zaufanych, hrabiego Küfsteina, który miał przekonać nie tylko papieża, lecz także kardynałów, że pogrzeb religijny jest koniecznością.

Pomiędzy papieżem, a kilkoma kardynałami wywiązała się dość żywa dyskusja na ten temat. Najbardziej zagorzałym i upartym przeciwnikiem okazał się sekretarz stanu, wszechmożny kardynał Rampolla.

Ale Leon XIII, ze względów politycznych, nie chcąc urazić Jego Królewskiej Apostolskiej Mości, przeszedł do porządku dziennego nad tą opozycją i spełnił prośbę cesarza.

Rampolla, nie dając za wygraną, nie wziął udziału w uroczystym nabożeństwie żałobnym, a wraz z nim świecili nieobecnością wszyscy kardynałowie, którzy nie zgadzali się z papieżem w tej sprawie.

Franciszek Józef, który oczywiście dowiedział się o wszystkim zapalał nienawiścią do kardynała Rampolli. W czternaście lat później zemścił się na nim.

Mianowicie, w czasie zebrania wyborczego kardynałów w r. 1903, po śmierci Leona XIII, postanowili założyć veto przeciw wyborowi kardynała Rampolli.

Zażądał od kardynała wiedeńskiego, ażeby się tego podjął. Ten jednak odmówił, co świadczy o jego odwadze i niezależności. Cesarz zwrócił się wówczas do kardynała prymasa Węgier, który również odmówił. Chwytając się ostatniego środka, odwołał się cesarz do kardynała księcia biskupa krakowskiego, Polaka, który zgodził się na to w tajemnicy, nie uawiadomiwszy swych obu kolegów.

Rampolla spodziewał się veta ze strony Austrii. Przed końcowym głosowaniem, na którym miał uzyskać większość, dyskretnie dał znak kardynałowi wiedeńskiemu i prymasowi węgierskiemu, chcąc się dowiedzieć, czy sprzeciwią się jego wyborowi. Potrząsając głową, dali mu do poznania, że nie.

Uspokojony, uważał się już za papieża, gdy Polak, podniósłszy się nagle z ławki, wypowiedział veto.



Pogrzeb Rudolfa odbył się 5-go lutego. Ciało pochowano w krypcie kościoła Kapucynów, położonym w środku stolicy, tam gdzie spoczywa przeszło stu Habsburgów: cesarzy, cesarzowych, arcyksiążąt i arcyksiężnych.

Gdy pogrzeb odbył się stosownie do tradycji i obrzędów religijnych, cesarzowi spadł z serca wielki ciężar. Wszystko odbyło się tak, jak było powinno. Nie pominięto niczego, najmniejszego szczegółu w regułach ustanowionych przez protokół.

Dla człowieka tak zrównoważonego, drobiazgowego i biurokratycznego jakim był cesarz, było to najważniejszą rzeczą. W czasie tych dramatycznych dni nie zmienił w niczym przyjętego raz na zawsze trybu życia, poświęconego wyłącznie pracy. Wstawał o tej samej porze, podpisywał z taką samą regularną punktualnością niezliczone akty, które mu przedkładano; udzielał posłuchań i wypełniał metodycznie swoje zadania monarchy.

Pogrzeb Marii Veczery.

Podczas gdy Rudolfa chowano z wszystkimi honorami, należnymi jego stanowisku, cóż działo się z nieszczęsną ofiarą tego dramatu, młodą i piękną Marią Veczerą?

Nikt nie chciał się zająć tą opuszczoną, zapomnianą istotą, nikt nie śmiał nawet wymówić jej nazwiska. W sferach rządowych każdy starał się zachować o niej milczenie, zatrzeć nawet wspomnienie o niej.

Matka jej, zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością młodej dziewczyny, udała się w swej rozpaczy, nazajutrz po ucieczce, wraz ze swym bratem Baltazim do komisarza policji. Urzędnik zapytał, czy nie podejrzewa jakiejś przygody miłosnej. Gdy matka odparła naiwnie, że słyszała o jakiejś intrydze z następcą tronu, komisarz przerwał jej natychmiast: „W takim razie — odrzekł oschle — nie możemy nic uczynić. Ta sprawa nie leży już w naszym zakresie. Podobno dał nawet: „Gdybyśmy się chcieli zajmować wszystkimi miłośkami arcyksiążąt, nie dalibyśmy sobie rady.”

Matka, coraz bardziej niespokojna, postanowiła po długim wahaniu i zastanawianiu się, udać się do cesarzowej. Następnego dnia poprosiła ją o audiencję. Cesarzowa przyjęła ją natychmiast. Powiedziała jej tylko: „Nasze dzieci nie żyją.”

Zwłoki Marii Veczery pozostały w Mayerlingu. Mimo wszystko trzeba było powziąć jakieś postanowienie co do pogrzebu. W jaki sposób ją pochować i gdzie?

Pragnąc możliwie ukryć jej pogrzeb, rząd za zgodą cesarza postanowił pochować ją w największej tajemnicy na cmentarzu klasztoru Heiligenkreutz, znajdującym się w pobliżu Mayerlingu.

Szczegółowy opis tej potajemnej uroczystości znajduje się



Arcyksiążę Rudolf, następca tronu

w sprawozdaniu, które komisarz policji Haberda przesłał na-
zajutrz cesarzowi.

Trudno o bardziej wzruszający i bardziej tragiczny doku-
ment.

Komisarz powiadomiony w ostatniej chwili wyjechał z
jednym z naczelników do Heiligenkreutz, ażeby porozumieć
się z przeorem klasztoru. Oznajmił przeorowi o najwyższych
rozkazach i zalecił mu niezwykle ostrożność ze względu na
dziennikarzy, którzy czatowali na drogach, krążąc niezmordo-
wanie po całym kraju.

Przeor przyrzekł, że trumna będzie wykonana w stolarni
w klasztorze, a grób wykopany tej nocy.

W międzyczasie naczelnik policji i jeden z wujów Marii,
Aleksander Baltazzi, wyjechali do Mayerlingu, by zabrać cia-
ło. Ażeby nie zwracać uwagi, zakazano im zamówić karawan.
Musieli zabrać nieboszczkę tak, jak była, do zwyczajnego po-
wozu, któryby pozostał niezauważony.

Przybywszy do Mayerlingu, musieli też sami zająć się
trupem, ubrać go, uczesać i zmyć ślady krwi.

Gdy nieśli zwłoki do powozu, bezwładna głowa opadała
ciężko na ramiona tych, którzy z trudem dźwigali trupa.
Wpadli więc na makabryczny pomysł: umieścili laskę na plec-
ach trupa, przywiązując ją do szyi, aby głowa się nie ruszała.

Następnie mieli trudności z umieszczeniem zwłok w po-
wozie. Dwaj mężczyźni wzięli je na plecy, przy czym ciało na-
chyłało się przy każdym wstrząsie.

Była straszna niepogoda; śnieg z deszczem i gołoledź u-
trudniały jazdę, która przeciągała się nieskończenie. Woźnica
musiał założyć koniom hacele.

Dochodziła północ, gdy ponury ten kondukt dotarł do
bram cmentarza.

Z trudem wydobyto z powozu ciało, zaniesiono je do pokoju i ułożono w trumnie, której pilnowali policjanci.

Niepogoda uniemożliwiła wykopanie grobu. Na nalegania komisarza, pragnącego skończyć z tym jaknajprędzej, grabarzabrał się znów do pracy, którą ukończył dopiero koło dziewiątej rano. Naczelnik policji, Aleksander Baltazzi i przeor, który miał pobłogosławić trumnę, udali się na cmentarz.

Zawierucha szalała. Żywioty rozpętały się. Tragarze, walcząc z wichrem, zdołali z wielkim trudem spuścić trumnę do grobu. Komisarz policji i wuj Marii przyszedli im z pomocą i chwycili za sznur, ażeby wreszcie trumna dostała się do ziemi.

Nie można sobie wyobrazić czegoś bardziej ponurego i okrutnego jak ten pogrzeb na odludziu, wśród zawieruchy, policjantów i żandarmów — tak, jakby szło o zbrodniarkę. Tylko jeden członek rodziny zmarłej otrzymał — z trudem — zezwolenie na wzięcie udziału w pogrzebie, a w pewnej chwili musiał jeszcze pomagać grabarzowi!

W ten sposób zniknęła bohaterka dramatu. Odtąd oficjalnie nigdy już nie było o niej mowy.

Duch Rudolfa.

Cesarzowa w czasie tych okropnych dni dała dowód niezwykłej odwagi. Ona to pocieszała cesarza, dodawała mu otuchy, podtrzymywała go.

Ale po pogrzebie syna, jej wola i energia, wyczerpały się; załamała się nagle.

Cios był tak silny, że Elżbieta nigdy już nie miała odzyskać całkowitej równowagi.

Śmierć Rudolfa złamała jej życie. Stała się zupełnie inną kobietą, dręczoną wyrzutami sumienia, gnębioną uporczywymi myślami, i bliską omdlenia ilekroć wspomniano w jej obecności o chorobie umysłowej. Była przekonana, że w wielkiej mierze ponosi odpowiedzialność za straszną śmierć swego dziecka. Wszak to po niej odziedziczył zakażoną krew Wittelsbachów i zarodki choroby umysłowej, na którą niema lekarstwa.

Pod wpływem tych myśli bolesnych, wzmagającej się egzaltacji i mistycyzmu, wyobraziła sobie w końcu, że z woli „wielkiego Jehowy” mogłaby się porozumieć ze zmarłym.

Zaledwie powzięła tę myśl, nie mogła się już od niej opędzić, chciała nawiązać kontakt z Rudolfem, jakkolwiek przebywał on w świecie umarłych. Gdy postanowienie to dojrzało, wykonała je w tajemnicy.

Biograf cesarzowej, Corti, opowiada w sposób dramatyczny tę wzruszającą scenę nocną.

9-go lutego wieczorem, cztery dni po pogrzebie, pod pretekstem, iż jest bardzo znużona i senna, cesarzowa oddaliła wcześniej swą świtę i zamknęła się w pokoju. Przebrawszy się w chwilę później i otuliwszy się długim, czarnym welonem, wyszła ukrytymi drzwiami, wzięła dorożkę i kazała się zawieźć do kościoła Kapucynów.

Krypta tego kościoła, którą wszyscy turyści zwiedzają, rozpoczyna się na końcu długiego korytarza. Schody, składające się z kilku stopni, prowadzą do piwnicy, która od wieków jest kostnicą Habsburgów. Niema nic smutniejszego i brzydszego, niż ta „gnilnia” — „pudridero”, jak Hiszpanie w swym energicznym i silnym języku mówią. Brak jej całkowicie dostojności czy szlachetności. Za dużo jest grobów a za mało miejsca; nagrobki, nie piękne naogół, umieszczone są tuż

obok siebie. Możliwym tego świata wymierzono przestrzeń oszczędnie, wprost skąpo.

Niski głos Kapucyna, który powtarza niewzruszenie, jak zawodowy przewodnik, imponujący szereg tytułów i nazwisk, rozbrzmiewa pod sklepieniem, łącząc się z odgłosem kroków zwiedzających.

Elżbieta, która miała wrażliwe, poetyczne usposobienie, miłowała piękno i życie, nie miała nigdy odrazy, jaką w niej wzbudzał ten smutny cmentarz podziemny.

A jednak przybyła tam sama wśród nastrojowej nocnej ciszy, wezwana, jak sądziła, przez niespokojną duszę syna, kierując się chorobliwym, złowrogim pragnieniem wywołania jego oblicza, zobaczenia go, lub przynajmniej usłyszenia raz jeszcze jego głosu.

Podniósłszy nagle welon, zażądała głosem, nie znoszącym sprzeciwu, aby natychmiast otworzono kraty, gdyż chce wejść do krypty i pozostać w niej sama. Struchlały kapucyn, poznawszy cesarzową, spieszenie usłuchał. Ciężkie klucze zgrzytnęły w zamkach. Cesarzowa, czarno ubrana, weszła pomiędzy groby słabo oświetlone dwiema, czy trzema pochodniami.

Gdy drzwi za nią się zamknęły, rzuciła się ku trumnie swego syna i zawołała kilka razy głośno i błagalnie: „Rudolfie! Rudolfie!...” Czekwała...

Żadnej odpowiedzi, żadnego szelestu, prócz żałosnego echa jej głosu.

Nie tracąc jednak nadziei, Elżbieta czekała wśród nocnego zimna i złowrogiej ciszy.

A po tym, zniechęcona i zrozpaczona, odeszła ukradkiem i wróciła do pałacu, gdzie nikt nie zauważył jej nieobecności.

„Tym razem — rzekła — wielki Jehowa nie pozwolił mi usłyszeć głosu mego syna!”

Odtąd przez długi czas pozostawała cesarzowa w stanie podniecenia, po którym następowały okresy głębokiej depresji, chwilami graniczące z obłędem.

Wola samobójstwa.

„Tajemnica Mayerlingu”, jak ją zwykle nazywają, tłumaczy się atmosferą przemilczeń, opisów nawpół zgodnych i niezgodnych z prawdą, jakimi kierownicze czynniki monarchii otaczały ten dramat. Zdawało się, że rozmyślnie chcą stworzyć legendę, i udało im się to może w większym stopniu, aniżeli sami pragnęli.

Zamknięto wszystkie usta, nie tylko dygnitarzom, ale małym urzędnikom i służbie. Ani lokaj arcyksięcia, który wiedział o wszystkich jego przygodach i miłostkach, ani wmieszany w całą tę historię dorożkarz, nie pozwolili sobie na rewelacje.

Niezwykła ta, niesłychana dyskrekcja przetrwała nie tylko przez trzydzieści lat, do śmierci Franciszka Józefa, lecz dłużej. Utrzymała się nawet po rozpadnięciu się monarchii. Żaden wydawca, nawet za cenę złota, nie mógł wydobyć od nikogo najmniejszej rewelacji.

Pewien adiutant cesarza, który obiał służbę tuż po roku 1900 opowiada następującą anegdotę:

Gdy pewnego dnia, przypadkowo, wypowiedział w obecności swego szefa, hrabiego Paara, imię Rudolfa, hrabia, z porywczym gestem, jakby chciał zamknąć mu usta, rzekł oschle:

„Proszę sobie zapamiętać, że nie należy nigdy wypowiadać tego imienia!

Ten surowy zakaz wywołał w końcu skutki wręcz przeciwnie. Im bezwzględniej broniono ludziom mówić, a nawet myśleć o tej sprawie, tym większa była pokusa, tym bardziej wyobrażano sobie, że kryje ona niezwykle tajemnicę. Stąd zrodziła się oczywiście chęć wykrycia jej i ujawnienia publicznie.

Każdy wysiłał się, podając jakąś wersję.



A jednak, gdy się ten dramat pozbawi wszelkich mniej lub więcej urojonych dodatków, przedstawia on się w prostych zarysach, jak następuje:

Młody jeszcze, lecz przedwcześnie postarzały mężczyzna, bardzo inteligentny, ale dziedzicznie obciążony niezaprzeczalnymi oznakami degeneracji i rozstroju umysłowego, blisko spokrewniony z obłąkanymi, lub nawpół obłąkanymi ludźmi, kandydat do samobójstwa, neurastenik, zniszczony przez różne nadużycia, jakimi usiłował wypełnić życie próżniacze, — oto główna osobistość, bohater dramatu!

I ten hulaka zakochuje się w młodej i świeżej Marii Veczera. Pewna pikanteria i perwersja tego stosunku podnieca jego trochę przygasły temperament i przytępione zmysły.

Ale na jak długo? Jest zbyt inteligentny, ażeby nie zdawać sobie sprawy z najrozmaitszych trudności, jakie będzie miał, chcąc przedłużyć tę przygodę. Ma wrażenie, że znajduje się w położeniu bez wyjścia. Ogarnia go znów pragnienie śmierci. W tej młodej egzaltowanej i romantycznej dziewczynie znajduje idealną wprost towarzyszkę samobójstwa. Bojąc się umrzeć sam, z łatwością zdołał pociągnąć ją z sobą.

Nazajutrz po przyjęciu u ambasadora niemieckiego, cesarz, dowiedziawszy się o skandalu, spowodowanym zachowaniem się Marii Veczery w obec małżonki następcy tronu, zawezwał Rudolfa i czynił mu gwałtowne wyrzuty. Przypominał mu surowo, jaką się okryje hańbą, jeśli będzie się nadal afiszował ze swą kochanką. Kazał mu uroczyście przyrzec, że odtąd przestanie się z nią widywać.

Podobno, pod koniec rozmowy, Rudolf zawołał: „Wobec tego pozostaje mi tylko jedno!”

Na co Franciszek Józef miał odpowiedzieć: „Rób co chcesz!”

* * *

Dokumenty, nie budzące wątpliwości, świadczą o tym, że Rudolf i jego towarzyszka chcieli stanowczo samobójstwa. Są to listy, wystosowane do krewnych i najlepszych przyjaciół, w których formalnie ich zawiadamiają, że zamierzają odebrać sobie życie.

Na stoliczku obok łóża śmiertelnego znaleziono list zaadresowany do jednego z najserdeczniejszych przyjaciół Rudolfa, Szoegyenyi'ego, w którym arcyksiążę zawiadamia go o swej bliskiej śmierci, wyraża żal, że go już nie zobaczy i powierza mu ważną misję, a mianowicie, ażeby otworzył w obecności arcyksiężnej Stefanii szuflady jego sekretarzyka. Listy, tam się znajdujące, polecał doręczyć adresatom, a papiery przejrzyć, pozostawić to, co interesujące, a resztę spalić. Do listu dołączone były klucze od sekretarzyka.

Szoegyenyi wywiązał się natychmiast ze swego zadania. Znalazł istotnie trzy listy przeznaczone dla cesarzowej, siostry Rudolfa, Walerii, i jego żony Stefanii. Do nie dawna żaden z

tych dokumentów nie został opublikowany; znano tylko ich treść ogólną i wiadano, że arcyksiążę zawiadamiał o swym zamiarze, o konieczności odebrania sobie życia.

Stefania, która wyszła po raz drugi za mąż za hrabiego Lonyay, w swych nie dawno wydanych pamiętnikach przytacza treść listu, który mąż napisał do niej przed śmiercią:

DROGA STEFANIO.

*Jesteś wolna ode mnie i zmartwień, jakie Ci sprawilem.
Bądź szczęśliwa na swój sposób. Bądź dobra dla biednej malej
(die arme Kleine), jedynej rzeczy, jaka po mnie pozostaje.*

*Ostatnie pozdrowienia dla wszystkich naszych przyjaciół, a
zwłaszcza dla Bombelles'a, Spindlera, Latoura, Noneo, Gizeli,
Leopolda.*

*Spokojnie idę ku śmierci, która jedynie może uratować mo-
je dobre imię (meinen guten Namen retten kann).*

Całuję Cię z całego serca, kochający Cię głęboko

RUDOLF.

Zasługuje na uwagę zwięzłość i oschłość tego listu, banalne formułki i dość przejrzysta wymówka: „Bądź szczęśliwa na swój sposób”, „Jesteś wolna ode mnie”. W ten sposób nie wyraża się miłości, czułości i szczerego przywiązania.

Do czego czyni aluzję mówiąc o śmierci, która jedynie „może uratować jego dobre imię”? W jaki sposób to dobre imię jest narażone? Czyżby z powodu jego stosunku z Marią Veczerą? Może Rudolf, który podobno dał słowo ojcu, że przestanie się widywać z młodą dziewczyną, czynił sobie wy-

rzuty, że nie dotrzymał przyrzeczenia? A może miał na myśli intrygi polityczne, w które dał się wciągnąć?

Maria Veczera ze swej strony pozostawiła trzy listy, znalezione w Mayerlingu, gdzie zdaje się zostały napisane: do swej matki, młodej siostry i don Miguela de Brabance, który był jej narzeczonym.

Oznajmiała w żartobliwym nie jako tonie swe niezłomne postanowienie zejścia z tego świata. Śmierć nie tylko jej nie przerażała, lecz przeciwnie pociągała ją jak wybawienie.

Do matki pisała:

„Jesteśmy (ona i jej towarzysz śmierci Rudolf) bardzo ciekawi, jak wygląda tamten świat.”

Siostrze radziła, ażeby tak jak ona szukała szczęścia jedynie w miłości, a gdyby go nie znalazła na tym świecie — żeby go szukała gdzieindziej.

* * *

Listy te, gdyby nawet nie istniał żaden inny dowód, są w pełni wystarczające, aby potwierdzić tezę samobójstwa. Nie można doprawdy przyjąć tezy innej, jeśli się uwzględni te listy.

Kochankowie pragnęli być pochowani obok siebie na małym cmentarzu w Heiligenkreutz. Rudolf w liście do cesarowej wyraził to życzenie.

Ale nie zostało ono spełnione. Trumna Rudolfa spoczywa obok trumien jego rodziców, w zimnej krypcie kościoła Kapucynów. Trumna Marii znajduje się na cmentarzu w Heiligenkreutz, pod kamieniem pokrytym krzakami dzikiej róży, na którym wryty jest skromny i wzruszający napis:

Tu spoczywa Maria
baronówna Veczera

urodzona 19 marca 1871 r., zmarła 30 stycznia 1889 r.

„który wychodzi jako kwiat i skruszony bywa”.

(Job. 14.2).

Cesarz i jego rodzina.

Franciszek Józef, mający w najwyższym stopniu rozwinięte poczucie imperialistycznej wzniosłości i dynastycznej dumy, uważał, że rodzina jego, bardzo liczna grupa arcyksiążąt i arcyksiężniczek, podlega bezpośrednio jego autorytetowi.

Ten autorytet zaznacza się niekiedy w sposób dość przykry. Pewien Austriak powiedział raz autorowi tej książki.

— Nie wyobraża pan sobie nawet, jak cesarz daje szkołę arcyksiążętom! Wszyscy się go strasznie boją!

Wywierał na nich taki wpływ, jak ojciec na dzieci; uważał, że to jego obowiązek i prawo. Im więcej tych dzieci było, tym więcej trosk, przykrości i kłopotów przysparzały cesarzowi. Poświęcał część swego czasu na załatwienie ich spraw.

* * *

Franciszek Józef miał trzech braci: Młodszy, Maksymilian, był owym nieszczęśliwym cesarzem meksykańskim, rozstrzelanym w Queretaro.

Trzeci, Karol Ludwik, zdaniem nawet najbardziej przywiązanych do dynastii historyków, był znacznie mniej niż średnio inteligentny. Miał on trzech synów.

Najstarszy z nich, Franciszek Ferdynand, który po śmierci Rudolfa został następcą tronu, zawarł małżeństwo morganatyczne z hrabiną Chotek, co cesarzowi zatruiło życie; zamordowano go w Serajewie, a jego śmierć była powodem czy raczej pretekstem wojny światowej.

Drugim z synów był arcyksiążę Otto, znany ze skandalu i rozwiązłego życia, ojciec arcyksięcia Karola, który wstąpił na tron w czasie wojny w r. 1916, po Franciszku Józefie, i umarł kilka lat później na wygnaniu na Maderze.

Trzecim synem był Ferdynand Karol, również bardzo mało inteligentny. Ożenił się mimo burz i gromów z jakąś wiedeńską mieszczką, córką urzędnika. Cesarz, rozgniewany tym mezaliansem, zmusił go do zrzeczenia się wszystkich tytułów. Pozbawił go bez litości wszelkich zasiłków pieniężnych, tak, że arcyksiążę zmuszony był żyć niemal w biedzie pod nazwiskiem Ferdynanda Burga.

Ostatnim bratem Franciszka Józefa był arcyksiążę Ludwik Wiktor. Jakkolwiek historycy przeważnie starają się osłonić wstydliwie jego obyczaje, wiadomym jest z pewnego niemal źródła, że nie były one chwalebne. Podejrzewano go, że był pederastą, jak król bawarski Ludwik II. Cesarz, który w takich sprawach nie znał litości, skazał go na wygnanie w okolice Salzburga.

A zatym w najbliższej rodzinie cesarza, biorąc pod uwagę jedynie jego syna, braci i bratanków jest: jeden samobójca: Rudolf; jeden rozstrzelany: Maksymilian; jeden zamordowany: Franciszek Ferdynand; jeden zdetronizowany, zmarły na wygnaniu: cesarz Karol; i to pomijając mezalianse, najrozmaitsze historie, świadczące o zepsuciu — pomijając afery pieniężne, skandale i inne przykre incydenty.

Arcyksiążę Otto, bratanek cesarza, niezwykle piękny mężczyzna, miał żonę bardzo cnotliwą. Pewnego dnia, wypiwszy nieco za wiele szampana — co często mu się zdarzało — spacerował po korytarzach znanej restauracji Sachera, mając na sobie jedynie czapkę i szablę. Nagle spotkał się oko w oko z jakąś panią, która zaczęła wydawać okrzyki przerażenia. Była to żona ambasadora angielskiego. Powstał wielki skandal, zwrócono się do cesarza, dzienniki zajęły się tą sprawą, która przybrała olbrzymie rozmiary.

Innym razem, Otto — jak zwykle pijany rzekł nagle pewnego wieczora do swych towarzyszków zabawy:

— Chodźcie ze mną, pokażę wam zupełnie gołą arcyksiężnę.

Zaciągnął ich do swego pałacu i zaczął dobijać się do sypialni żony. Na szczęście, towarzysze nie pozwolili mu tam wejść.

Zawarłszy z kimś zakład, jeździł konno po Praterze w wymalowanym na gołym ciele mundurze, co przypomina fantazję młodych malarzy na balach „quat'z'arts”.

Te ciągłe skandale rozniewały w końcu mieszkańców stolicy, mimo, że byli pobłażliwi i przyzwyczajeni do takich rzeczy.

Gdy jednak pewien poseł do parlamentu pozwolił sobie na niezbyt nawet wyraźną aluzję do trybu życia pewnych wysokich postawionych osób należących do dworu, zjawili się u niego dwaj podoficerowie w cywilu i pobili go. Oczywiście, byli oni pod opieką arcyksięcia i nie mogli być ujęci przez policję. Wreszcie hulanki sprawiły, iż Otto nabawił się bardzo groźnej choroby, o której często jest mowa w „Candidzie”. Pod koniec życia jego twarz wyglądała strasznie, a nos był na wpół zgniły.

* *

Jeśli teraz spojrzeć na inną odnogę rodziny cesarskiej, a mianowicie — wielkiego księcia Toskany, który za czasów swej młodości był przyjacielem i towarzyszem Franciszka Józefa, to z pośród dwu braci wielkiego księcia, arcyksiężę Jan Salvator, bardzo zdolny i inteligentny, był przyjacielem i towarzyszem nieszczęsnego Rudolfa; równie jak on ambitny, nie zdołał się przystosować do ciasnego śro-

dowiska, w którym zmuszony był żyć. Dowodząc armią, jak większość członków rodziny cesarskiej, zbyt dobrze się orientował, aby nie dostrzec wielkich wad organizacji wojskowej, szczególnie w artylerii, do której był przydzielony. Pozwolił sobie napisać na ten temat broszurę pełną interesujących pomysłów, lecz zarazem bardzo surowych krytyk. Cesarz został natychmiast o tym powiadomiony, okazał wielkie niezadowolenie i surowo zganił arcyksięcia. Chcąc go ukarać, przeniósł go z artylerii do piechoty.

Po śmierci Rudolfa, którego był powiernikiem i towarzyszem, Jan Salvator odczuwał coraz większą potrzebę wycofania się. Wynajął wielki żaglowiec „La Margarita”, na którym wyruszył w długą podróż pod nazwiskiem Jana Ortha. Statek znikł bez śladu. Co się z nim stało? Podobno zatonął w cieśninie magelańskiej, jakkolwiek nic bliższego o tej katastrofie nie wiadomo.

Wielu ludzi zapewnia, że arcyksiążę nie umarł, lecz żyje spokojnie, ukrywając się w jakiejś odludnej części świata.

W tej rodzinie, w której było tyle tragedii i dramatów, brakło legendy. Jan Orth postarał się o wypełnienie tej luki.

Drugi brat wielkiego księcia, arcyksiążę Ludwik, zrażony do swego kraju, spędzał czas na podróżowaniu po za jego granicami. Urządził sobie na Majorce, w przepięknej okolicy wspaniałą posiadłość. Jego siostrzeniec, Leopold, w ten sposób przedstawia tryb życia, jaki tam prowadził:

„W willi swojej miał rodzaj haremu. Jak stary patriarcha żył z nałożnicami, mając mnóstwo dzieci, które na wpół nago bawiły się na wybrzeżu. W porze śniadania zwoływał je przy pomocy przeraźliwego gwizdka. Mieszkańcy Majorki ubóstwiali go.”

Dziećmi wielkiego księcia Toskany byli: Arcyksiążę Leo-

pold, bardziej znany jako Woelffling, który również zrezygnował z tytułów, ożenił się ze swą kochanką i prowadził mieszczański tryb życia, przebywając przeważnie w Szwajcarii oraz słynna Ludwika księżniczka Saska, której skandale i eskapady małżeńskie dostarczały obfitego tematu kronice przedwojennej. Spadały na nią gromy cesarskie i królewskie. Po wykreśleniu jej z rodziny Habsburgów i z rodziny króla saskiego, przybrała nazwisko hrabiny Montignozo.

* * *

Z tych kilku przykładów widać, ile kłopotów i zmartwień przysparzała cesarzowi jego liczna rodzina.

Nie było doprawdy rzeczą łatwą kierować jej członkami pilnować ich, udzielać im rad, upominać ich, a nie kiedy nawet karać.

Trzeba przyznać Franciszkowi Józefowi, że wywiązywał się z tego zadania z wielką sumiennością, godnością i niezmierną cierpliwością. Spełniał ten obowiązek — dla niego może najważniejszy — z taką samą energią, punktualnością i drobiazgowością, z jaką czynił wszystko. Łagodził spory, naprawiał małżeństwa, tuszował jeśli mógł skandale, a zwłaszcza spłacał długi, co było jego głównym zadaniem.

Wielka ilość tych incydentów powinna była, gdyby był bardziej przenikliwy, uświadomić go, że zarówno w wychowaniu arcyksiążąt jak w narzuconym im trybie życia jest coś niewłaściwego. Ale nie przyszło mu to nawet na myśl. Był przekonany, że wychowanie to jest właśnie doskonałe. Arcyksiężęta i arcyksiężne tworzyły olbrzymią rodzinę, a on był jej głową. Czy można było marzyć o czymś lepszym, niż patriarchalna ta organizacja, która czyniła cesarza opiekunem całej rodziny? Interweniował zawsze w ważnych chwilach ich życia, zapewniał im wsparcie pieniężne i wiele zaszczytów...

Zaszczytów istotnie nie brakowało. Obsypywano nimi arcyksiążąt. Ilekroć któryś z nich wychodził z Hofburgu, to nawet gdy jeszcze był niemowlęciem, straż prezentowała broń. Gdy powóz z herbem cesarskim jechał przez ulice stolicy, każdy oficer czy żołnierz musiał stawać na baczność!

Ostatnie lata cesarzowej.

Jeśli w rodzinie cesarza było wiele dramatów, morderstw, samobójstw, mezaliansów, skandalów i zniknięć, to w rodzinie cesarzowej nie było wcale lepiej.

Z pośród wielu braci i siostr (cesarzowa miała dziewięćrodo rodzeństwa), najstarszy ożenił się z aktorką. Z tego małżeństwa pochodziła hrabina Larisch, która odegrała tak fatalną rolę w stosunku miłosnym i samobójstwie Rudolfa.

Jedna z siostr cesarzowej, Maria, królowa Neapolu, została wygnana ze swego państwa, ponieważ jej mąż w czasie rewolucji zachował się jak tchórz.

Inna siostra, Matylda, wyszła za brata króla neapolitańskiego, hrabiego Trani, który odebrał sobie życie.

Ostatnia, Zofia, była dwa lata zaręczona z umyślowo chorym królem bawarskim Ludwikiem II. Zwodził ją i drwił z niej długo, aż wreszcie zerwał z nią w sposób brutalny; nigdy w ogóle nie miał zamiaru się żenić, gdyż nienawidził kobiet. Po tym przykrym doświadczeniu, Zofia wyszła za księcia d'Alençon, syna księcia de Nemours, a wnuka Ludwika Filipa. Zginęła straszliwą śmiercią w Paryżu, w 1897 r., spaliwszy się żywcem w czasie pożaru.

Cesarzowa, powróciwszy do Wiednia po wojnie austriac-

ko-pruskiej i klęsce pod Sadową, pogodziła się z cesarzem i pozostała kilka lat w stolicy, przerywając na jakiś czas swe życie wędrowne. Jej wyjazdy były mniej częste i nie trwały już tak długo; wyjeżdżała tylko trzy, cztery razy w roku, co jak na nią było stosunkowo nie wiele.

Wiedeńczycy nie zauważyli jednak wcale jej obecności; dowiadywali się o niej wyłącznie z gazet. Pokazywała się co raz rzadziej publicznie. Nienawidziła oficjalnych uroczystości i nie kryła się z tym wcale. Nie bywała nawet z cesarzem na wielkich uroczystościach religijnych, odbywających się w stolicy, a mianowicie na słynnej procesji Bożego Ciała, która od wieków jest wielkim wydarzeniem w życiu Wiednia.

Jej nieobecność tłumaczono sobie w najrozmaitszy sposób. Niektórzy posądzali ją nawet o uczucia antyreligijne.

Tymczasem przyczyna była całkiem prosta; mianowicie na samą myśl, iż będzie zmuszona pokazać się publicznie, ogarniał ją lęk histeryczny. Czuła już z góry palące spojrzenia tysięcy par oczu, które się na nią skierują.

Obserwując życie Elżbiety, ma się wrażenie, że składa się ono z szeregu nagłych i niepomiarnych zachwyków. Cesarzowa miewa co pewien czas jakieś manie, zapala się do tej lub owej działalności, oddając się jej z prawdziwą pasją.

Zapał ten pociąga ją w coraz inną stronę. Tak na przykład rzecz się ma z jej zamiłowaniem do gimnastyki; oddaje jej się tak, jakby w jej życiu nie istniało nic więcej.

Rozkochana w własnej piękności, z której była dumna, czepiała się kurczowo młodości, wszelkimi sposobami stara się ją przedłużyć, co staje się u niej prawdziwym opętaniem. Nie myślała o niczym więcej. Część poranku poświęcona była pielęgnacji jej wspaniałych włosów, z których słusznie była dum-

na; pokojówka, która ją czesała, musiała ogromnie uważać, ażeby nie wyrwać ani jednego włosa.

Chcąc zachować swą smukłą linię, cesarzowa poddawała się diecie i leczeniu, co w owych czasach było niesłychaną nowością. Pod tym względem była istotnie pionierką. Przewyższała wszystkie nasze rodaczki, które obawiają się, że im przybędzie kilogram, ba! dziesięć deka. Mimo bardzo wysokiego wzrostu, nie chciała za żadną cenę ważyć więcej aniżeli czterdzieści sześć kilogramów i, aby dojść do tego wyniku, gotowa była głodować. Wyprzedziła o przeszło pięćdziesiąt lat słynną dietę hollywoodzką. Żywiła się sokiem z cytryn, owocami, sałatą i surowym mięsem, nie zrażając się nawet takimi pokarmami, jak krew wołu. Dawła dowody prawdziwego bohaterstwa. Oczywiście, wszelkie ciasta były zabronione, jakkolwiek Wiedeń słynął ze swych ciastek i tortów. Ażeby mieć stale do dyspozycji doskonale mleko, które pijała w wielkich ilościach, zabierała w każdą podróż dwie krowy, specjalnie wybrane.

Łatwo się domyślić, jak te wszystkie starania komplikowały jej życie i utrudniały jej spełnianie obowiązków towarzyskich. Odmawiała udziału we wszelkich ucztach publicznych i nie zasiadała nigdy przy stole cesarza.

Ponieważ dieta sama nie wystarczała do osiągnięcia pożądanego wyniku, Elżbieta odbywała spacer, gimnastykowała się z zapalem i uprawiała sporty. Kilka godzin dziennie przechadzała się przyspieszonym krokiem, męcząc niemiłosiernie swe damy dworu, które nie mogły nadążyć i wracały do pałacu jak nieżywe. Codziennie rano uprawiała gimnastykę, posługując się różnymi przyrządami, obręczami, trapezem i liną. Fechmistrz przychodził na lekcje szermierki; władała doskonale szpadą i floretem. Prócz tych wszystkich ćwiczeń, robiono jej różne masaże i brała zimne kąpiele.

Po za tym przepadała za jazdą konną, która długi czas pozostała jej ulubionym sportem. Uchodziła zresztą zupełnie słusznie za najlepszą amazonkę swego czasu. Nikt tak nie jeździł konno jak ona. Przebywała najdłuższe przestrzenie i z wielką łatwością brała najtrudniejsze przeszkody. Mówiono, o niej, że ma jakiś fluid magiczny, poskramiający najbardziej narowiste konie. Przez szereg lat wyjeżdżała do Anglii, gdzie odbywają się słynne polowania z chartami i zyskiwała pochwały największych znawców. W tym kraju koni poznała sławnego jeźdźcę, kapitana Middleton'a, którego zabrała ze sobą do Austrii. Brał razem z nią udział w polowaniach, na których była niemal zawsze jedyną kobietą, gdyż żadna inna nie potrafiła jej dorównać. Zaprosiła Middletona do Goedoelloe, pałacu ofiarowanego parze cesarskiej przez Węgrów po zawarciu kompromisu, jako dowód lojalności.

Pałac ów, znajdujący się w odległości trzydziestu kilometrów od Budapesztu, w okolicy podgórskiej, zbudowany w XVIII stuleciu i gruntownie odnowiony w XIX, położony jest w wielkim, bardzo pięknym parku i składa się z imponujących jasnych, białych budynków, uwydatniających się harmonijnie na tle zieleni drzew.

Cesarzowa lubiła tę rezydencję, gdzie czuła się wolna od wszelkich obowiązków i nie była krępowana protokołem ani etykietą.

Okolice obejmowała wspaniały teren do polowań z chartami i jazdy konnej. Cesarzowa świetnie zawsze się czuła w towarzystwie swych przyjaciół węgierskich, wszyscy oni prawie bez wyjątku, byli sportowcami i jeźdźcami doskonałymi. Niewątpliwie w Goedoelloe spędziła Elżbieta najszczęśliwsze chwile swego życia.

Jej umiłowanie konia posunęło się tak daleko, że zapragnę-

ła stać się zawodową woltyżerką, umiejącą wykonywać najtrudniejsze ćwiczenia, numery cyrkowe. Sprowadziła do stajen w Hofburgu mały cyrk i pobierała nauki u słynnej cyrkówki, która uczyła ją tresury koni, wyższej szkoły jazdy i skakania na linie.

Pomimo takiego dziwnego, jak na cesarzową, trybu życia, i pomimo wszystkich jej ekscentryczności, cesarz był dla żony niezwykle dobry, serdeczny, a przede wszystkim niesłychanie cierpliwy. Mniej zgodny mąż niewątpliwie sprzeciwiłby się takiemu, bądź co bądź anormalnemu, życiu. Cesarzowa nie spełniała przecież obowiązków, jakie powinna była spełniać.

Franciszek Józef nie gniewał się o to, ani nie zdradzał niezadowolenia; zachowywał się w obec Elżbiety zawsze w sposób niezwykle rycerski. Otaczał ją czułością, w czasie jej podróży dowiadywał się o jej zdrowie, wysyłając codziennie listy lub telegramy; czuwał nad tym, ażeby okazywano jej należne względy i oddawano wszystkie honory.

Elżbieta zawsze chciała podróżować „incognito”. Oczywiście to „incognito” nie było tak nieprzeniknione, jak sama przypuszczała. Cesarz starał się o to, ażeby władze państw, w których przebywała, były zawsze powiadomione o miejscu jej pobytu, celem zaoszczędzenia jej trudności i kłopotów.

Płacił wreszcie bez najmniejszego wahania, najmniejszego wyrzutu, bardzo wielkie, niejednokrotnie niesłychane sumy, jakie tego rodzaju tryb życia pociąga za sobą. Elżbieta bowiem była ogromnie rozrzutna, a jej fantazje — różnorodne i kosztowne. Wydawała krocie na podróże, budowy, konie i toalety; pieniądze płynęły jak woda. Osobisty jej budżet i kwoty otrzymywane na własne wydatki, nigdy jej nie wystarczały.

Ponieważ zaś cesarz był z natury bardzo oszczędny, można by nawet powiedzieć skąpy, odmawiając sobie wszystkiego,

co nie było nieodzowne i prowadząc iście spartański tryb życia, tym większa była jego zasługa, iż spełniał wszelkie jej zachcianki. Gdy szło o Elżbietę, wszystkie rachunki były płacone natychmiast po przedłożeniu.

Cesarzowa, jak to się często zdarza takim jak ona osobistościom, nie zdawała sobie sprawy z wartości pieniędzy. Była jak Anglicy mówią: „penny wise, pound foolish” („przezorna gdy idzie o grosze, szalona gdy idzie o funty”). Wydawała bez rachuby kwoty olbrzymie, a nieraz kazała swej świcie targować się o drobnostki. W czasie podróży po Afryce Północnej zwrócono jej uwagę, ażeby nie dała się naciągnąć hotelarzom, kupcom, przewodnikom i t. d. Poleciała w obec tego swej damie do towarzystwa, ażeby sprawdzała wszelkie rachunki.

Jules Cambon, będący wówczas gubernatorem Algieru, miał zaszczyt przyjmować ją i opowiadał autorowi tej książki następującą anegdotę:

Właściciel jednego z hoteli, w którym Elżbieta zajmowała szereg apartamentów, przybył do gubernatora, aby się dowiedzieć, czy monarchini była zadowolona z jego usług i wyraził nadzieję, iż cesarzowa zamieszka w jego hotelu, również w przyszłym roku.

— Proszę na to nie liczyć, — odparł z uśmiechem gubernator. — Oświadczyła mi, gdy poszedłem ją pożegnać, że „zdarł pan z niej skórę”. W obec tego w przyszłym roku zajdzie ona w zimie gdzieindziej.

Cesarzowa żaliła się gubernatorowi, że nie może uczynić kroku bez dwu policjantów, którzy stale za nią chodzą. Prosiła go jak o łaskę, ażeby uwolnił ją od obecności tych ludzi, którzy jej już zbrzydli.

— To niemożliwe — odparł gubernator. — Mam specjalne polecenie, ażeby zwiększyć środki ostrożności, dotyczą-

ce bezpieczeństwa pani. Nie mogę pozwolić, ażeby Wasza Cesarska Mość, spacerowała sama swobodnie po tak dużym mieście jak Alger, gdzie mogą zdarzyć się różne wypadki.

I Jules Cambon wyliczył kilka takich wypadków, jakie mogły się wydarzyć. Nie wszystkie dotyczyły morderstwa.

Cesarzową spotkało to, co często zdarza się kobietom, chcącym koniecznie zeszczupłeć: przemęczając się i odżywiając w sposób niedostateczny, zachorowała.

Cierpiała na bolesne ataki reumatyczne i nerwoból kulszowy, jako następstwa zimnych kąpeli. Ponieważ lekarze zakazali jej jeździć konno, musiała zrezygnować z ulubionego sportu. Przeprowadzała kuracje we wszystkich niemal uzdrowiskach Europy środkowej. Nastąpiło polepszenie, ale Elżbieta nigdy nie wyleczyła się całkowicie. Odtąd zmuszona była unikać wszelkich ćwiczeń gwałtownych.

Pani w czerni.

W chwili gdy zaczęły jej się dawać we znaki dolegliwości fizyczne, zatruiły jej także życie poważne przejścia duchowe i szereg bolesnych wypadków.

A więc najpierw w r. 1886 dramatyczna śmierć samobójcza jej serdecznego, jedyne go przyjaciela, króla bawarskiego Ludwika II, który utopił się w jeziorze, w jednej ze swych posiadłości, w pobliżu majątku, w którym Elżbieta się urodziła i spędziła lata dziecięce. Straszny ten dramat, który ją przygnębił i przeraził, poprzedził szereg wiadomości, z których jedna była gorsza od drugiej, a mianowicie: wyraźne

obiawy oblędu u króla, jego rozwiąże życie i, w końcu, przymusowa jego abdykacja.

W trzy lata później nastąpiło samobójstwo Rudolfa w Mayerlingu. Cesarzowa nie mogła nie dostrzec łączności pomiędzy tymi dwoma nieszczęściami. Jakkolwiek król bawarski zabił się w chwili szału, to Rudolf prawdopodobnie, chociaż zapewne nieświadomie, poszedł za jego przykładem. Wszak w żyłach jego płynęła nieczysta, przeklęta krew Wittelsbachów! Elżbieta doznawała uczucia upokorzenia i czyniła sobie wyrzuty. Uważała, iż jest odpowiedzialna za śmierć swego syna.

Odtąd stale chodziła w żałobie. Stała się „panią w czerni”, która obnosiła po Europie swój smutek i rozczarowanie. Nie brała już nigdy udziału w żadnej uroczystości ani zabawie. Tylko jeden jedyny raz ukazała się publicznie; było to na tysiącletnim jubileuszu istnienia Węgier i ślubie córki Walerii.

Wszystkie swe uczucia przeniosła na córkę, która poślubiła arcyksięcia Franciszka Salvatora.

Chcąc zapomnieć o zmartwieniach, Elżbieta namiętnie oddawała się innej dziwacznej zachciance: zaczęła uczyć się greckiego. Znalazła młodego profesora, Christomanosa, który odegrał w jej życiu dość dużą rolę, jakkolwiek wszystko to, co opowiadano o ich rzekomym stosunku miłosnym, było jedynie wymysłem. Tego małego, na wpół garbatego Greka przyjęła nie cesarzowa, lecz ktoś z dworu, gdy studiował na uniwersytecie wiedeńskim. Z pochodzenia Macedończyk, był on nie tylko dobrym helenistą, ale równocześnie także świetnym piechurem, co było nieodzownym warunkiem dla czynności, jakie pełnił. Cesarzowa ciągnęła go z sobą, a raczej za sobą, na długie spaceru, w czasie których musiał on

nie tylko dotrzymywać jej kroku, lecz czytać i tłumaczyć jej ustępy z Homera.

W okresie, jaki nastąpił po samobójstwie Rudolfa, cesarzowa zajęta była wyłącznie Grecją i nauką greckiego.

Podczas jednej z licznych podróży odkryła Korfu. Przez atawizm wielbiła piękne pejzaże i nikt tak jak ona nie podziwiał ich, ani się nimi tak nie rozkoszował. Ukochanie przyrody jest jedną z najbardziej charakterystycznych jej cech. Podobnie jak jej przyjaciel Ludwik II, król-szaleniec, odczuwała niekiedy potrzebę osiedlenia się i nawiązania nie przelotnego lecz stałego kontaktu z jakimś pejzażem, o ile miał on dla niej nadzwyczajny urok i działał na jej wyobraźnię. Lubiła bardzo budować, tak samo jak Ludwik II, który w najpiękniejszych okolicach swego państwa kazał wybudować pałace, zresztą w okropnym stylu.

Spacerując po wyspie, zwróciła uwagę na cudowną miejscowość Gasturi, na linii Korfu — Benitza. Postanowiła kazać sobie tam wybudować willę, otoczoną wielkimi ogrodami.

Cesarz, zawsze uprzedzająco grzeczny, przyrzekł dostarczać odpowiednich funduszków. Trzeba było na to dużo pieniędzy. Zakupiła za pośrednictwem konsula austriackiego grunt i zaczęła układać plan domu i tarasów.

Wszystkie te prace zajęły cesarzowej kilka lat. Przebywała bardzo często na tej wyspie. Uczyla się z zapalem greki. Przełożyła na język grecki Szekspira i Byrona; przetłumaczyła na niemiecki pieśni „Iliady”.

Pragnąc przenieść na tę ziemię pamięć o Rudolfie i Heinem, jej ulubionym poecie, kazała wznieść jednemu i drugiemu pomnik w ogrodach willi.

Podróże co raz więcej wypełniały jej życie.

Żywot pełen wstrząśnień.

Ale, jakby mało było nieszczęść w życiu Elżbiety, los znowu ciężko ją dotknął. 6-go maja r. 1897 otrzymała straszną wiadomość o tragicznej śmierci swej najmłodszej siostry, księżnej d'Alençon, która spaliła się żywcem w paryskim filantropijnym bazarze. Zapaliła się bowiem taśma filmowa, od niej zajęły się draperie, a następnie pożar rozszerzył się na wszystkie pokoje. Sto trzynastu osób, przeważnie pań z towarzystwa, zginęło straszną śmiercią. Między nimi była księżna d'Alençon. Mąż i dwie szwagrowe szukali jej wśród trupów. O ostatnich jej chwilach dowiedziano się szczegółów wzruszających. Podobno mogła się uratować, ale chciała, ażeby na-przód wydostały się panienki z jej stoiska, mówiąc: „Obowiązek przede wszystkim!”

Wówczas cesarzowa nabrała przekonania, że ciąży na niej rodziną jakieś przekleństwo.

Przez kilka następnych miesięcy chciała koniecznie coś zrobić, zmieniała ustawicznie miejsce pobytu, przy czym zdrowie jej stale się pogarszało. Jeździła z jednego uzdrowiska do drugiego, gdzie daremnie szukała ulgi w swych cierpieniach, odwiedzała stolice i ośrodki turystyczne. Mieszkała ciągle w hotelach. Od czasu do czasu spędzała kilka godzin z mężem. Nie potrafiła usiedzieć na miejscu.

Po krótkiej kuracji w Kissingen, bawiła jakiś czas w Ischlu, a w listopadzie 1897 r. przybyła do Biarritz. Padały tam nieustannie deszcze, a nadto było niezwykle zimno. Wpłynęło to fatalnie na jej reumatyzm, który znów strasznie jej dokuczał. Straciła wszelkie zaufanie do lekarzy, którzy w niczym nie mogli jej pomóc. Wierzyła już tylko w środki na-

turalne. Zamierzała kąpać się w zimie w Oceanie; z trudem zdołano jej w tym przeszkodzić.

Zamiast udać się na wyspy Kanaryjskie, jak radził jej lekarz, pojechała do Paryża, gdzie ze swymi siostrami: była królową neapolitańską i hrabiną de Frani, równie zapaloną podróżniczką jak ona, obchodziła uroczystość sześćdziesięcioletnich imienin. Na Nowy Rok wszystkie trzy przybyły do Marsylii, dokąd cesarzowa sprowadziła swój statek. Ponieważ stan jej zdrowia pogarszał się, pojechała do pewnego lekarza do San Remo, gdzie zamierzała zatrzymać się jakiś czas.

Dlaczego nie pojechała na Korfu, które do nie dawna tak ją pociągało i które pochłoneło tak olbrzymie sumy? Korfu nagle przestało ją interesować. Myślała już tylko o sprzedaży tej posiadłości, ażeby wyciągnąć przynajmniej część pieniędzy, jakie w nią włożyła.

Znowu zaczęła krążyć po Italii, Szwajcarii i Niemczech. Następnej wiosny przybyła do Kissingen, gdzie odwiedził ją cesarz. Z Kissingen pojechała do Ischlu, ale nie pozostała tam nawet do imienin cesarza. Udała się do swego rodzinnego miasta Monachium, dokąd chętnie zawsze wracała. Spacerowała po ulicach i, przechodząc koło pałacu, pokazała swej towarzyszce okno swego pokoju panińskiego. Nie omieszkała także, jak za każdym razem, gdy bawiła w Monachium, pójść do taniej piwiarni „Hofbräu”, gdzie tłumy Bawarczyków, w stęchliznie upału, potu i zapachu kielbas, pochłaniały niezliczone kufle piwa.

Znowu udała się na kurację do Nauheim. Nie leczyła się już na reumatyzm, ale na serce. Cesarz Wilhelm II złożył jej wizytę.

Ciągle kuracje, wyjazdy, badania lekarskie! Cesarzowa, która twierdziła, że jest chora, musiała mieć nielada zdrowie,

skoro wytrzymywała to wszystko, zwłaszcza, że nadal odbywała spacer, na które poświęcała codziennie pięć, sześć godzin.

30-go sierpnia 1898 r. zatrzymała się w Caux, nad jeziorem lemańskim, skąd mogła wyjeżdżać na długie wycieczki i chodzić na spacer. Następnego dnia wybrała się na skały Naye. 5-go września poleciła swej damie dworu, hrabinie Sztaray, ażeby zamówiła pokoje w hotelu „Beau Rivage” w Genewie.

Blagano ją, aby nie jechała do tego miasta, w którym — jak mówiono — przebywało wówczas mnóstwo niebezpiecznych anarchistów. Jakkolwiek nie wierzyła wcale w to niebezpieczeństwo, będąc przekonana, że żaden rewolucjonista nie targnie się na jej życie, gdyż nie zajmowała się polityką i była całkiem nieszkodliwą, zabrała z sobą w tę podróż swego sekretarza, Kromara.

7-go września nie wybrała się na żadną wycieczkę, gdyż cały dzień miała zajęty myciem włosów. Nazajutrz wczesnym rano wyjechała do Genewy, skąd zamierzała udać się do baronowej Julii Rotschild, która nad brzegiem jeziora, w Prégny, miała wspaniałą posiadłość. Elżbieta z chęcią tam zawsze jeździła, głównie ze względu na wyjątkowo piękne cieplarnie.

Baronowa zaofiarowała się, że przyjedzie po nią swym jachtem. Cesarzowa nie zgodziła się na to, woląc jechać statkiem pasażerskim wraz z tłumem turystów.

Przybyła do Genewy w południe i pojechała powozem do Prégny. Baronowa przygotowała wystawne przyjęcie, ale, na wyraźne życzenie cesarzowej nie zaprosiła nikogo. Poleciła umieścić na dachu flagę Habsburgów; zdjęła ją jednak na prośbę hrabiny Sztaray.

Śniadanie w trójkę było wspaniałe. Orkiestra grała tłu-

mikiem ulubione melodie cesarzowej. Stół pięknie przybrany kwiatami zastawiony był starą wiedeńską porcelaną. Kuchmistrz przeszedł samego siebie. Potrawy podane były według następującego menu:

Śniadanie Jej Cesarskiej Mości.

Tymbaliki à l'impériale
Pstrąg z jeziora Bourguet
Wołowina z jarzynami
Drób Périgueux
Kuropatwa w galarecie Bellevue
Lody z kremem po węgiersku
Spongeade au citron
Manqués au chocolat.

Prégny, 9 września 1898.

Cesarzowa, jakkolwiek nie była łakomą, tak była zachwycona tym menu, że postanowiła natychmiast przesłać go cesarzowi.

Podkreśliła własnoręcznie potrawy, które jej najlepiej smakowały, a przy „lodach z kremem po węgiersku” widniały dwie kreski. Bardzo była łasa na kremy i lody. Wszędzie wstępowała do cukierni, ażeby się nimi uraczyć.

Wypiła nawet kieliszek szampana, czego nigdy nie czyniła; trąciła się kieliszkiem z panią domu.

Po śniadaniu zwiedzano ogród i cieplarnie, zatrzymując się najdłużej przy storczykach. Cesarzowa zachwycała się ty-

mi kwiatami; lubiła zwłaszcza białe. Baronowa Rotschild w dwa dni później przysłała te kwiaty na trumnę cesarzowej...

W chwili wyjazdu podano jej księgę gości. Wpisała się do niej. Tragicznym zbiegiem okoliczności imię jej znajduje się tuż obok podpisu jej syna Rudolfa, czego nie zauważyła.

U schyłku tego letniego dnia, jasnego i ciepłego, jednego z najszcześniejszych dni w życiu cesarzowej, obie kobiety wróciły do Genewy. Przeszły się po ulicach miasta, wstąpiły do jakiejś cukierni i do sklepu, aby kupić stolik, przeznaczony na podarek na Gwiazdkę dla córki cesarzowej, Walerii. Następnie Elżbieta udała się na spoczynek. Dzień ten upłynął wśród pięknych krajobrazów, w miłej, świetlanej atmosferze, nad brzegami jeziora, które bardzo lubiła. Jej cierpienia fizyczne zmniejszyły się, a troski i zmartwienia ustąpiły.

Pod wieczór jednak, gdy wracała ze spaceru, rozmowa z towarzyszką nasunęła jej poważne, a nawet ponure myśli. Zaczęła nagle się zastanawiać nad śmiercią. Twierdziła, że lęka się nie tyle samej śmierci, ile przykrych, bolesnych chwil, poprzedzających śmierć. To przejście z życia do śmierci uważała za gwałtowną, męczącą walkę, jak na to zresztą wskazuje słowo *agonia*, czyli walka. Hrabina odpowiedziała, że po tej względnie krótkiej walce następuje spokój i błogość.

— Skądżeż można wiedzieć, skoro nikt nigdy nie wrócił z tamtego świata? — odrzekła Elżbieta.

Cesarzowa, praktykująca katoliczka, sumiennie wypełniała swe obowiązki religijne; gdy jednak szło o dogmaty, była dość wolnomyślna.

Pchnięcie sztyłem.

Wróciwszy do hotelu około dziesiątej wieczór ciemnymi ulicami (elektryczność się zepsuła), cesarzowa położyła się spać.

Hrabina, po napisaniu listu, poszła za jej przykładem. Nazajutrz wcześniej rano weszła do pokoju Elżbiety, która całą noc niemal nie spała z powodu przeszkadzającego jej światła latarni i księżyca.

Cesarzowa postanowiła odesłać personel kolejną do Caux, a wraz z damą dworu i lokajem wrócić okrętem, odjeżdżającym o 1.40. Wyszła z hotelu koło jedenastej, ażeby w sklepie muzycznym posłuchać śpiewu Adeliny Patti.

Wróciwszy do hotelu, tak długo się przebierała, że hrabina, obawiając się, że nie zdążą na okręt, wysłała lokaja, ażeby zaczekano w razie, gdyby cesarzowa się spóźniła.

Wreszcie, o 1.35, obie kobiety wyszły; Elżbieta zwróciła uwagę na kwitnące po raz drugi kasztany.

W tejże chwili hrabina spostrzegła jakiegoś mężczyznę, który szedł ku nim, zachowując się dziwnie, gdyż wchodził na chodnik, to znów nachylał się nad poręczą, lub ukrywał się za drzewami. Nagle rzucił się ku nim. Hrabina chciała zasłonić cesarzową, lecz mężczyzna, odsunawszy ją brutalnie, uderzył mocno pięścią Elżbietę, która upadła nie krzyknawszy nawet i wydawała się zemdlna. W kilka sekund później otworzyła oczy i wstała powoli przy pomocy swej towarzyszki i jakiegoś woźnicy, który przybiegł na pomoc. Uspokoila z uśmiechem hrabinę: „Nie, nie, nic mi nie jest”.

Ludzie zebrali się i wyrazili cesarzowej współczucie. Odpowiedziała im uprzejmie i podziękowała woźnicy za oczyszczenie sukni.

Portier z „Beau Rivage”, będący świadkiem tej sceny, błagał cesarzową, aby wróciła do hotelu i wypoczęła.

— Po co, skoro nic mi nie jest? — rzekła. — Spieszymy, ażeby zdążyć jeszcze na statek.

Włożyła z powrotem kapelusz, wzięła wachlarz, parasolkę i szła zwinnym szybkim krokiem, nie chcąc nawet przyjąć ramienia towarzyszki.

— Czego ten człowiek właściwie chciał ode mnie? — spytała.

I po chwili dodała:

— Może chciał ukraść mi zegarek?

Nagle zbladła. W piersi uczuła ból. Szła jednak dalej, doszła do przystani i weszła na pokład. Nagle zatoczyła się i chwyciła swą towarzyszkę za rękę. Hrabina, podtrzymując ją, krzyczała: „Lekarza! Wody!”

Cesarzowa, blada jak trup, miała oczy zamknięte. Położono ją na ławce. Jakaś pani, która niegdyś była pielęgniarką, skropiła jej twarz zimną wodą, zmieszaną z wodą kolońską, i zdjęła jej gorset.

Statek ruszył. Elżbieta z trudem otworzywszy oczy, rozejrzała się w okół i, widząc jakąś obcą osobę, krzątającą się koło niej, niedosłyszalnie niemal szepnęła: „Dziękuję. Co mi się stało?”

Były to ostatnie jej słowa.

Zemdlała. Hrabina położyła na jej sercu medalik z Matką Boską, który nosiła na szyi. Chcąc zdjąć jej staniczek z czarnego jedwabiu, zobaczyła na białej koszuli ciemną plamę. Przerazona, odsunawszy koszulę, zauważyła ranę trójkątną, tuż ponad sercem.

Zawiadomiła natychmiast kapitana statku, że ranna jest

cesarzową austriacką i prosiła, ażeby natychmiast zawrócić z drogi i jaknajprędzej starał się przybić do brzegu.

Po przyjeździe przeniesiono konającą już cesarzową na noszach do hotelu. Niespokojny tłum otaczał ją, lecz długi, czarny płaszcz, którym była nakryta, chronił ją przed spojrzeciami.

Lekarz usiłował wprowadzić sondę do rany, lecz nie udało mu się to, ponieważ gorset przesunął zewnętrzny otwór rany.

— Niema już żadnej nadziei! — oświadczył. Ksiądz, którego zawezwano, udzielił rozgrzeszenia umierającej.

O drugiej czterdzieści lekarz rzekł: „Umarła!”

Otworzył żyłę cesarzowej na lewej ręce; nie wypłynęła ani kropla krwi. Hrabina Sztaray wysłała następujący telegram do adiutanta cesarza, hrabiego Paar'a:

„Jej Cesarska Mość ciężko ranna. Proszę oznajmić to Jego Cesarskiej Mości w sposób możliwie ostrożny.”

Następnie zamknęła oczy zmarłej, złożyła jej ręce na szkaplerzu, przyniosła cztery świece... chryzantemy, które znajdowały się jeszcze w przyległym pokoju...

Wysłano drugi telegram do hrabiego Paar'a:

„Jej Cesarska Mość zmarła”.

Zjawiła się policja i rozpoczęła śledztwo.

Biskup Fryburga przybył wraz duchownymi i zakonnikami modlić się u łoża zmarłej. Wieczorem przyjechała z Caux świta cesarzowej, a następnie austriacki ambasador z Berna.

Złożono zwłoki do prowizorycznej trumny. Hrabina czuwała przy nich aż do północy, razem z ambasadorem i mistrzem ceremonii cesarzowej.

Nazajutrz zjawili się lekarze, mający dokonać oględzin zwłok. Okazało się, że czwarte żebro było złamane, a serce

i płuco przebite. Broń, niezwykle ostra, (znaleziono ją później) utworzyła ranę bardzo małą, krew spływała kroplami, tak, że cesarzowa mogła jeszcze chodzić, po przebicciu serca.

Umarła tak, jak pragnęła, nie cierpiąc bardzo, nie wiedząc nawet, że zbliża się koniec.

„Chciałabym — powiedziała pewnego dnia — opuścić ten świat jak ptak, który wzlatuje i znika w przestrzeni, lub jak dym, który wznosi się i zaraz się ulatnia.”

Po oględzinach, ciało zabalsamowano. Hrabina włożyła cesarzowej z powrotem tę samą czarną suknię jedwabną, którą miała na sobie w dniu śmierci. Elżbieta znów była piękna; miała lekko zaróżowione policzki i zdawało się, że się uśmiecha. Rysy jej tchnęły spokojem i pogodnością. Ręce były złożone na krzyżu z masy perłowej i szkaplerzu, a na piersiach leżał olbrzymi bukiet białych storczyków, które tak podziwiała u baronowej Rotschild!

15-go września pociąg żałobny wjechał do Wiednia. Zwłoki złożono w kaplicy Hofburgu, gdzie pozostawały dwa dni, po czym przeniesiono je do rodzinnego grobowca u Kapucynów.

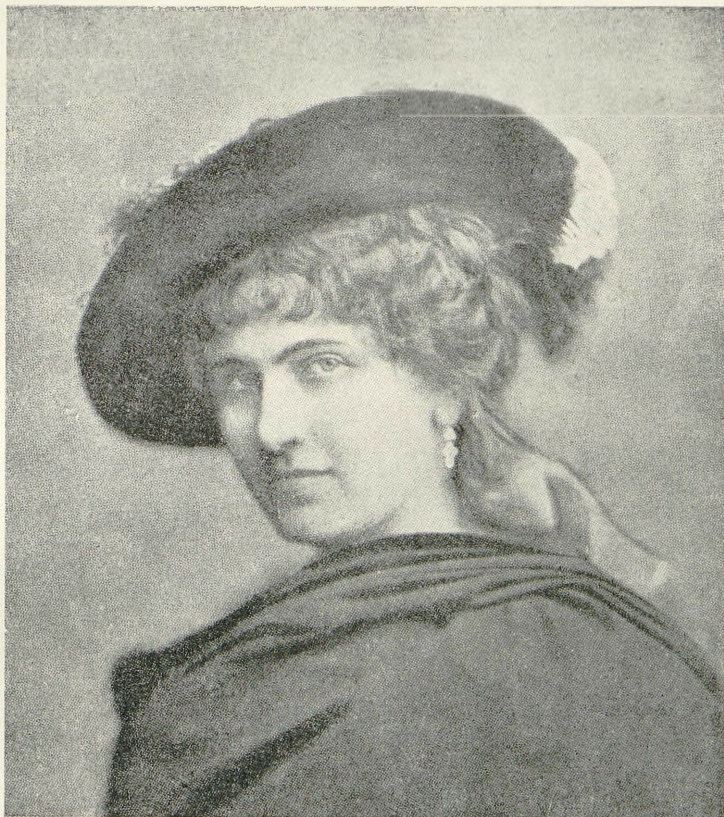
W Wiedniu i w całej monarchii zapanowało przerażenie. Wszyscy odczuwali szczery ból.

Morderca, włoski anarchista Luccheni, zupełnie przypadkowo obrał sobie za ofiarę Elżbietę, pragnąc zabić kogokolwiek z panującej rodziny.

Kobieta, którą zgładził, nie zajmowała się nigdy polityką; tytuł swój nosiła jak brzemień, usiłując, o ile możliwości nie używać go i uznając jedynie i wyłącznie to, co w życiu jest szlachetne.

Skazany na dożywotnie więzienie, morderca powiesił się w kilka lat później.

*
*
*



Katarzyna Schrätt, jako młoda aktorka

Gdy adiutant cesarza hrabia Paar wszedł do jego gabinetu z telegramem z Genewy, Franciszek Józef pisał właśnie do Elżbiety list pełen czułości i troskliwości o jej zdrowie, — list, który kończył się następującymi słowami w języku węgierskim: „Niech Cię Bóg błogosławi, mój drogi aniele. Całuję Cię z całego serca. Twój mały.”

Usłyszawszy straszną wiadomość, osunął się z płaczem na biurko: „Na tym świecie nic mi nie jest oszczędzone!” — zawołał.

I po chwili wypowiedział wzruszające zdanie: „Świat nie wie, jakeśmy się kochali!”

Przyjaciółka cesarza: pani Schratt.

Najpierw trzeba się zastanowić, co znaczy słowo „przyjaciółka”? Czy należy je rozumieć w znaczeniu kochanki, ulubienicy, czy po prostu towarzyszką, powiernicą?

Austriacy skłanialiby się, jak się zdaje, ku tej drugiej interpretacji.

Obie zresztą nie są sprzeczne z sobą, a przynajmniej — z biegiem lat. Stosunek może zacząć się od jednego, a skończyć na drugim. Tak nawet bywa z wieloma stosunkami, jeśli trwają dłużej.

Cokolwiek by się o tym sądziło, należy w każdym razie wykluczyć wszelkie wspomnienia i wyobrażenia, jakie słowo faworyta wywołuje w umyśle czytelnika. Panie Montespan, ani nawet Maintenon, Pompadour czy Du Barry nie mają nic wspólnego z Katarzyną Schratt.

To zupełnie inny świat i inne środowisko.

Stosunek, o którym mowa, był spokojny, zrównoważony, nie wywołujący żadnego rozgłosu, nie pozostawiający śladów i typowo mieszczański. Był on bardzo charakterystyczny dla dworu austriackiego, na którym prestiż, wielkość i potęga zawsze łączyły się z wielką prostotą.

Chcąc znaleźć jakieś podobieństwo z francuskimi stosunkami, trzeba by sobie wyobrazić starego, bogatego, lecz bardzo oszczędnego bankiera czy maklera giełdowego i była tancerkę z Opery, aktorkę, która opuściła scenę, spokojną, dyskretną, małomieszczańską kobietę, zajmującą się gospodarstwem.

Stary jej przyjaciel odwiedza ją zawsze w tych samych, raz na zawsze ustalonych godzinach. Wizyty te, dające mu wytchnienie i odprężenie, pozwalają mu zapominać o pracy i z czasem stają się częścią, potrzebą jego życia, w niczym go jednak nie zmieniając.

Taki mniej więcej był stosunek Franciszka Józefa z panią Schratt.

Cesarz, mając około pięćdziesięciu ośmiu lat, poznaje pewną aktorkę Burg-Teatru. Widuje ją kilkakrotnie na scenie i zdaje się dość żywo nią interesować.

Cesarzowa Elżbieta sama doradza mu tę przyjaźń.

Przyjawszy bowiem aktorkę na audiencji, przekonywa się, że jest naturalna, wesoła i miła. Przychodzi jej na myśl, że dobrzeby było zapoznać z nią bliżej cesarza, który znalazłby u niej tę atmosferę serdeczną, jakiej nie mogła dać mu żona. A że Elżbieta poddaje mężowi myśl nawiązania tego stosunku, skłaniają ją do tego niewątpliwie wyrzuty sumienia. Czuje ona, słusznie zresztą, że nie jest dla cesarza tym, czego miał prawo się spodziewać, a mianowicie — nieodłączną towarzyszką.

Ustawiczne jej podróże, dziwny tryb życia, wstręt do przyjęć oficjalnych, a nawet do wspólnych posiłków, dieta, wszystko to oddalało ją coraz bardziej od męża.

Katarzyna Schratt mogła ją pod wieloma względami zastąpić.

Elżbieta miała w tym wypadku szczególnie szczęśliwą rękę. Nie można sobie wyobrazić, ażeby ktoś z większym poświęceniem, bezinteresownością, serdecznością, a przede wszystkim — taktem, mógł pełnić w obec monarchy rolę, o którą pani Schratt właściwie wcale się nie ubiegała.

Miała przeszło trzydzieści lat, była mężatką, miała dzieci, gdy Franciszek Józef, ceniąc coraz bardziej jej zalety, zaczął często z nią się widywać, nawet, o ile mógł, codziennie.

Była nie tyle piękna, ile miła, pełna zalet towarzyskich i wdzięku. Był to prawdziwy typ wiedeński — z wesołym usposobieniem, łagodnością, taktem, wrodzonym darem uszczęśliwiania tych, którzy się do niej zbliżają, miłym sposobem zapatrywania się na życie i trafnym sądem o ludziach i rzeczach.

Cesarz, zrównoważony, punktualny, metodyczny, biurokrata, odnosił się do tego stosunku w taki sam sposób, jak do wszelkich innych spraw. Chodził do swej przyjaciółki regularnie — tak, jak codziennie, o tej samej porze, zasiadał do pracy przy biurku.

Będąc w Schoenbrunnie codziennie rano, wychodził z pałacu bocznymi drzwiami, przechodził przez ulicę i wchodził do niepozornego domu pod numerem 9 na Gloriettegasse w Hietzingu, przedmieściu Wiednia, składającym się z przeważnie z will i przypominającym paryskie Neuilly.

Na progu oczekiwała go uśmiechnięta pani, która wstała również o świcie, aby wydać służbie rozkazy i postarać

się, ażeby całe mieszkanie, kwiaty na stole, kawa ze świeżą śmietanką i „Kipfel” (różki) były godne cesarskiego gościa.

Siadał koło niej w jadalni i jadł razem z nią śniadanie. Była to dla niego najmiłsza chwila dnia. Pomijając już, że nigdzie nie dostałby tak smacznego śniadania, pani Schratt, jak nikt inny, umiała zabawić go i rozerwać. Opowiadała mu wszystkie nowiny, jakich się dowiedziała. A dowiadywała się wielu rzeczy, gdyż miała moc znajomych, którzy opowiadali jej o polityce, o świecie i o teatrze, który w stolicy był ważną placówką; donosiła mu o wszystkich plotkach i skandalach towarzyskich. Cesarz tak polubił te rozmowy, że wkrótce doszło do tego, iż nie mógł się bez nich obejść.

W czasie jego pobytów w Ischlu, Katarzyna mieszkała tuż koło niego w sąsiedniej willi. Gdy wyjeżdżał, przysyłał jej bardzo często listy, a zwłaszcza telegramy, gdyż w ten sposób korespondował z żoną i rodziną, zapytywał ją o zdrowie i omawiał spotkania.

Stosunek ten trwał blisko trzydzieści lat. Gdy przyjaźń się rozpoczęła, Katarzyna była młodą, piękną i pożądaną kobietą; w chwili śmierci cesarza, który stał się bardzo starym, zgarbionym, wychudłym, cierpiącym na astmę panem, była niemal staruszką; cesarz miał osiemdziesiąt sześć lat.

Stosunek ich od początku do końca zachował ten sam charakter, co przynosi zaszczyt pani Schratt. Gdyby była ambitną, intrygantką, niewątpliwie postarałaby się o uzyskanie większego wpływu, ażeby wykorzystać go dla celów osobistych, lub politycznych. Czyż człowiek, z którym pozostawała w tak zażyłych stosunkach, z którym tak często przebywała bez świadków nie był władcą potężnego państwa, roz-

porządzającym łaskami i zaszczytami i mogącym rozdawać najbardziej upragnione i zazdrość wzbudzające stanowiska?

Z czasem, stosunek ten stał się ogólnie znany. Wszyscy wiedzieli o przyjaźni pani Schratt z cesarzem. Można sobie wyobrazić, ile razy zwracano się do niej bezpośrednio lub pośrednio z najrozmaitszymi prośbami. Wystarczyło, ażeby zręcznie wtrąciła jakieś słówko, a cesarz byłby uczynił wszystko dla jej protegowanego.

A jednak, podobno, nigdy nie pozwoliła sobie na najmniejszą interwencję. Raz na zawsze postanowiła nie mieszać się do spraw politycznych.

Raz tylko wstawiła się za jakimś kolegą z teatru, pragnąc, ażeby otrzymał jakieś odznaczenie. Franciszek Józef odpowiedział, że zgodzi się na to, ale pod warunkiem, że minister od którego ta sprawa zależy, poprosi go o to oficjalnie.

Tego rodzaju dyskrecja i takt u serdecznej przyjaciółki wielkiego monarchy są istotnie czymś wyjątkowym i w historii niemal niespotykanym. Co dziwne, po śmierci cesarza nic się pod tym względem nie zmieniło.

W chwili gdy to piszę, pani Schratt żyje jeszcze, mając osiemdziesiąt kilka lat. Zdaje się, że jest w biedzie. A jednak choć często chyba zwracano się do niej z propozycjami wydawniczymi nie pozwoliła sobie na najmniejszą niedyskrecję, nie ogłosiła ani jednego wiersza o swych stosunkach z Franciszkiem Józefem.

Mało jest krajów, w których od początku do końca taka historia była by możliwa!

Dzień Cesarza.

Franciszek Józef wstawał codziennie o czwartej rano. Wszło to u niego w zwyczaj od czasu gdy wstąpił na tron i odtąd był wierny temu przyzwyczajeniu.

W pałacu schoenbruńskim, w którym zwłaszcza w ostatnich latach swego panowania spędzał dużo czasu, pokój jego znajdował się w północnym skrzydle budynku i wychodził na podwórze, zupełnie niemal pozbawione słońca.

Widok jest o wiele piękniejszy na znajdujące się po przeciwnej stronie wielkie, śliczne ogrody z Glorietą na końcu, której kontury harmonijnie zarysowują się na niebie.

Cesarz, mając oczywiście prawo wyboru, zamieszkiwał najciemniejsze i najsmutniejsze pokoje. Jest to charakterystyczne dla jego usposobienia.

Ponieważ cały jego dzień miał być poświęcony pracy, wypełnianiu stałych obowiązków, których automatyczne nie jako wykonywanie ustalone było raz na zawsze, położenie i urządzenie jego mieszkania nie miało dla cesarza żadnego znaczenia.

Sypiał w żelaznym, wąskim łóżku, skromnym i o spartańskiej niemal prostocie. „Prostota” jest zresztą słowem, które stale się powtarza, gdy mowa o jego rządach i sposobie życia.

Gdy pomodlił się przez chwilę na klęczniku, stojącym koło łóżka, lokaj przynosił „tub” z zimną wodą, w której cesarz zanurzał się zimą i latem. Wycierano go, a następnie owijano na jakiś czas w prześcieradło, ażeby się rozgrzał. Nie chciał nigdy, nawet w bardzo późnym wieku, rezygnować z tych zimnych kąpiei, mimo, że lekarze byli im przeciwni.

Wypijał szklankę mleka, stawianą na nocnym stoliku

obok kilku kromek chleba, których nigdy prawie nie zjadał.

Ubierał się i golił sam, brzytwą, którą mu lokaj ostrzył, i używał tylko zwyczajnego mydła. O Gibbs'ie nie wiedział przecież w czasie gdy dopiero zaczynał się golić!

Zawsze nosił mundur. Rano, do pracy, i gdy był sam, nosił jakiś skrócony płaszcz wojskowy, w którym czuł się doskonale. Z chwilą rozpoczynania się audiencji, wdziewał mundur marszałka.

Ponieważ był wzrostu wysokiego i pozostał zawsze smukły dzięki swej konstytucji i wstrzemięźliwości, świetnie wyglądał w mundurze; natomiast, jak wiele oficerów, gorzej się nosił po cywilnemu. Z królem Edwardem VII rzecz miała się odwrotnie.

Lokaj cesarza, Ketterl, który pozostawił książeczkę pełną ciekawych wiadomości, zapewnia, że cesarz nie dbał zupełnie o ubranie cywilne, które nosił jak najrzadziej, wyłącznie niemal podczas swych podróży zagranicę, gdy jeździł „incognito”.

Na fotografiach wygląda w swym nieco kusym żakiecie, bardzo wąskich spodniach i meloniku, jak stary oficer kawalerii „w cywilu”, albo stary ujeżdżacz koni!

Nie cierpiał spodni zaprasowanych, nie uznawał tej angielskiej mody, zdaniem jego — nieestetycznej i niedorzecznej. Nie znosił też lakierek ani sztywnych kołnierzyków, a na krawaty nie zwracał najmniejszej uwagi. Zdawał się co do ich doboru w zupełności na swego lokaja, który z największym trudem zdołał go nakłonić, celem uzupełnienia garderoby cywilnej do nabycia nowego futra; stare miało jakieś dwa-dzieścia lat.

Co się jednak tyczy munduru, cesarz był niezwykle wymagający, dbały i surowy, bez względu na to, czy szło o nie-

go, czy o innych. Nie pozwalał na najmniejsze przekroczenie przepisów, dotyczących umundurowania i zawsze pierwszy świecił przykładem.

Mniej więcej o kwadrans przed piątą rano, usiadłszy przy biurku, Franciszek-Józef przegląda akty urzędowe, które przybyły poprzedniego wieczora, i załatwia swą korespondencję prywatną. Nie lubi pisać listów; zazwyczaj wysyła telegramy.

Korzysta z tych krótkich chwil samotności, aby palić „Virginie”, długie, cienkie, bardzo tanie, bardzo mocne i bardzo cierpkie cygara ze słomką w środku. Gdy lekarze zabronili mu je palić, obrał sobie nieco łagodniejsze: „Regalia Media”.

Nie palił nigdy podczas audiencji; od czasu do czasu przerywał przyjęcia i udawał się do swego pokoju, ażeby zaciągnąć się kilka razy dymem.

Stale ma na biurku karafkę z wodą, zmienianą co cztery, pięć godzin, i co jakiś czas popija.

Pracuje tak mniej więcej dwie godziny. Dość długo miał doskonały wzrok; gdy później zmuszony był używać okularów nosił przy pracy szkła w rogowej oprawie.

O siódmej zaczynają wchodzić do niego kolejno członkowie domu cywilnego i wojskowego, było ich z dziesięć osób, i każda informowała go o najważniejszych sprawach bieżących.

O dziesiątej zjawiają się ministrowie, osobistości urzędowe, niekiedy ambasadorowie obcych państw.

Dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki, monarcha przyjmuje wszystkich, którzy o to proszą.

W południe — śniadanie. Cesarz, będący od samego ra-

na na nogach, dotychczas nie miał w ustach nic, prócz szklanki mleka.

Przynoszą mu na tacy skromny posiłek, który spożywał w ciągu kwadransa, nie wstając niemal od biurka. Jest to kotlet z jarzynami, lub para kielbasek, szklanka białego wina lub piwa i kilka kromek chleba. To wszystko.

I znowu szereg posłuchań, teraz już wyczerpujących, gdyż wszystkie dłuższe audiencje przesuwane są na popołudnie. Przyjęcia te trwają do piątej, szóstej.

Następuje obiad, jedyny w ciągu całego dnia posiłek prawdziwy. Gdy cesarz jest sam, wypija filiżankę bulionu, zjada kawałek wołowiny z jarzynami (słynne „Rindfleisch”, ulubiona potrawa Austriaków) i czasami kompot. Jeśli ma gości, menu jest niezwykle wyszukane, wystawne i przyrządzone przez świetnego, francuskiego kuchmistrza.

Menu jest zawsze pisane po francusku, a program wykonywanych przez muzykę utworów — po niemiecku...

Stół jest wspaniale nakryty, a srebro i porcelana niezwykle zbytkowne. Cały szereg znakomicie wyszkolonych lokajów podaje i zbiera ze stołu nadzwyczajnie szybko. Ponieważ Franciszek Józef jada mało i bardzo prędko, zaledwie dotykając potraw, posiłki odbywają się w tempie przyśpieszonym. Goście, zwłaszcza ci, którzy siedzą na końcu stołu, zaledwie mogą nadążyć. Cesarz nie pija kawy, likierów, ani koniaku, tylko od czasu do czasu kieliszek szampana.

Po obiedzie, w salonie, odbywa się cercle, aż do chwili, w której cesarz odchodzi do swych apartamentów, t. j. do wpół do dziewiątej, najpóźniej do dziewiątej.

Gdy cesarz jest sam po obiedzie wraca zazwyczaj do swego gabinetu, ażeby przeczytać gazety. O dziewiątej kładzie się spać.

Stary pan.

Rozkład dnia, jak widać wyzyskany co do minuty, ma na względzie tylko pracę, służbę dla państwa.

Nic lub prawie nic nie pozostaje na rozrywki, na przyjemności, bo tylko rano, o ile cesarz jest w Schoenbrunnie, pół godzinki przeznacza na odwiedziny u pani Schratt; w dni świąteczne pozwala sobie na rozmowę ze swą córką Walerią i wnukami; latem i jesienią, w czasie pobytu w Ischlu i w Goedoele, bywa często na polowaniach i, wreszcie, trochę czasu poświęca uroczystościom, wizytom oficjalnym.

Charakterystyczna w życiu tego człowieka jest ciągła dbałość o porządek, karność, regularność i punktualność.

Gdy zapytano go kiedyś, czemu tak dba o porządek, odpowiedział:

— Jest to najistotniejsza cecha naczelnika państwa, podstawa każdego rządu i każdej administracji, zaleta, którą Rzymianie najbardziej cenili.

Dla Franciszka-Józefa jest porządek rzeczą najważniejszą i pod tym względem daje cesarz przykład wszystkim urzędnikom monarchii. Niezaprzeczalne zasługi administracji austriackiej, jej zamiłowanie do porządku, poświęcenie dla państwa, punktualne wypełnianie obowiązków, przysłowiowa uczciwość, zupełny brak przekupstwa, wszystkie te tak cenne zalety tłumaczą się częściowo osobistą działalnością cesarza.

W jednej z powieści Józefa Rotha: „Marsz Radetzky'ego”, występuje typ wysokiego urzędnika, wzięty z życia, niezwykle lojalny wobec cesarza, „starego pana” (der alte Herr) z Schoenbrunnu, który od tak dawna nieustrudzenie czuwa nad swym państwem.

Jego poddani, zwłaszcza oficerowie i urzędnicy, mają o

nim wysokie pojęcie, cenią go i poważają. Stary monarcha nabrał w ich oczach charakteru świętości. Uosabiał jedną z wielkich sił monarchii, główny czynnik spójności, który tak długo zdołał utrzymać siły różne, a nawet sprzeczne.

Im dłużej panował, tym bardziej stawał się popularny. Popularność ta niejako się kapitalizowała. Ojcowie opowiadali o nim synom, po tym wnukom. Starzy żołnierze z Solferino nabożnie podtrzymywali jego kult wśród młodego pokolenia.



Wielką wadą tego życia biurokratycznego było to, że nadto izolowało ono cesarza; więziło go w ciasnym kole zaw sze tych samych dygnitarzy, których oczyma musiał patrzeć i którzy stali między nim a rzeczywistością, niby zasłona. W ten sposób często miał o świecie zewnętrznym fałszywe wyobrażenia.

Z drugiej zaś strony, za daleko posunięty duch biurokratyzmu miesza w końcu treść z formą, zawsze niemal poświęcając pierwsze drugiemu. Ład zewnętrzny, na przykład wśród papierów i szpargałów, regularne wypełnianie pewnych wzorów, jest jedynie częścią prawdziwego porządku, i to nie zawsze najważniejszą.

Zbyt łatwe byłoby panować i rządzić, zwłaszcza dla władcy wielkiego państwa, gdyby polegało to tylko na wykonywaniu pewnych prac, które z czasem stają się automatyczne. Wystarczyła by na to maszyna. Franciszek-Józef był zresztą pod wieloma względami istną maszyną.

W takim państwie jak Austro-Węgry, rola naczelnika, prawdziwego naczelnika, była bardziej skomplikowana i trud-

niejsza. Polegała ona na uświadomieniu sobie trudności, orientowaniu się w nich i rozpoznawaniu roli, jaką odgrywają.

Otóż, bliżej obserwując sprawy, można stwierdzić, że zarówno w polityce wewnętrznej jak zewnętrznej Franciszek-Józef nie domyślał się nawet istnienia ważnych dla jego kraju zagadnień, które powinien był się starać rozwiązać.

W załatwianiu spraw powinna decydować nie sama literatura, ale i duch. Franciszek Józef trzymał się wyłącznie niemal litery, zaniedbując ducha.

* * *

Cesarz mówił czystą, poprawną niemczyzną, prawie że bez wiedeńskiego akcentu. Głos jego był cichy i równy. Nie tolerował u swych rozmówców żadnego podniesienia głosu, wybuchu śmiechu, ani zbyt żywych gestów.

Pismo miał równe, wyrobione i bardzo czytelne. Jego zlecenia, zazwyczaj udzielane na piśmie, były zawsze bardzo wyraźne i ściśle; nie trzeba było ich powtarzać, ani wyjaśniać.

Franciszek Józef zawsze wstawał, gdy witał się lub żegnał ze swymi gośćmi.

Gdy wydawał najbliższe bodaj zlecenia służbie, stałe mówił: „Proszę... dziękuję”... Był niezwykle powściągliwy w rozdzielaniu uścisków dłoni. Powtarzał maksymę swego dziadka Franciszka: „Cesarz nie powinien się nigdy rozdrabniać”.

Margutti, który przez wiele lat żył w bliskich stosunkach z Franciszkiem-Józefem opowiada, że cesarz jeden raz tylko podał mu rękę, a to, gdy zamianował go generałem.

Nie podawał nigdy ręki biskupom ani arcybiskupom, gdyż nie chciał całować ich pierścienia.

Paniom natomiast podawał zawsze rękę i często całował

ich dłonie, jeśli były to osoby starsze. Cesarz był dla kobiet szczególnie uprzejmy i zawsze wstawał, gdy któraś z nich wchodziła do pokoju, w którym się znajdował. Uczynił kiedyś ostre zarzuty jednemu ze swych adiutantów, który nie wstał, gdy pewna pani weszła do jego łóża w teatrze.

Jego dokładność i punktualność były przysłowiowe. Przybywał zawsze dokładnie co do minuty w oznaczonej godzinie porze. Jego powozy w przeddzień odbywały drogę, jaką miały przebyć nazajutrz, ażeby dokładnie można było obliczyć jaki czas potrzebny jest na jej przebycie.

Franciszek Józef był bardzo hojny i dobroczynny. Ilekroć zdarzało się jakieś nieszczęście publiczne, czy też dotyczące osoby prywatnej, udzielał darów ze swej własnej szkatuły.

Nie znosił na swym dworze żadnej kliki, żadnej „camarilli”; nic podobnego zresztą nie mogłoby się rozwinąć, ponieważ żaden z jego współpracowników nie wywierał na cesarza przemożnego wpływu. Profesor Lammasch zupełnie słusznie napisał:

„Na taką naturę mógłby zdobyć wpływ jedynie członek najwyższej arystokracji, o wybitnych zdolnościach, o wiedzy rozległej, bogaty jak Krezus i nie mający o co prosić cesarza. Ale dzięki Bogu, taki człowiek nie istnieje!”

Cesarz był na ogół wrogiem nowinek. Długo nie chciał jeździć samochodami. Ketterl opowiada, że Edward VII, w czasie któregoś ze swych pobytów w Austrii, spłatał cesarzowi niewinnego figła, a mianowicie, gdy razem bawili po za miastem, odesłał powóz cesarza, który zmuszony był skorzystać z samochodu swego gościa.

Franciszek-Józef nigdy też nie korzystał z telefonu.

Nie cierpiał kobiet palących papierosy, o czym jego otoczenie dobrze wiedziało. Córki jego natychmiast rzucały papierosy, gdy tylko słyszały kroki cesarza.

ROZDZIAŁ V.

Długi okres, jaki nastąpił po zawarciu Kompromisu z Węgry (r. 1867), był w dziejach polityki Franciszka Józefa jednym z najbardziej spokojnych i pomyślnych.

To sześćdziesięcioletnie panowanie było tylko na początku i na końcu burzliwe i bardzo przykre.

W pierwszej części zaznaczył się szereg trudności wewnętrznych, złe stosunki z Madziarami, a nadto — wojny i klęski po za granicami. Cesarstwo nie miało spokoju wewnątrz, ani pokoju na zewnątrz.

W ciągu następnych dwudziestu pięciu, trzydziestu lat, wszystko się zmieniło.

Austria nie była wmieszana w żadną wojnę i nie tylko utrzymała wszystkie swe terytoria, lecz zwiększyła je znacznie przez zajęcie Bośni i Hercegowiny.

Po ustawicznym cofaniu się, postępowała naprzód.

Wewnątrz ciągle wzrastało bogactwo, wynikające z powszechnego dobrobytu. Wszystkie klasy wzbogaciły się, a zwłaszcza mieszczaństwo. W sferach bankowości, przemysłu, handlu i wolnych zawodów pojawiło się mnóstwo nowobogackich.

Wiedeń przeobraził się. Zniesienie fortyfikacyj, przytłaczających stare miasto, które od średniowiecza pozostało nie-

mal bez zmian, nadało mu nowy charakter. Stworzyło ono w środku miasta pierścień, „Ring”, w okół którego powstały wspaniałe budowle, nie wszystkie co prawda w najlepszym guście, lecz świadczące o dobrobycie, a nawet bogactwie stolicy.

Wiedeń przeobraził się w tym czasie prawie tak jak Paryż dzięki Hausmannowi. Powstały szerokie ulice; do starego miasta przyłączono przedmieścia.

Monarchia i parlament.

Cały ten okres dla wewnętrznej polityki Franciszka Józefa jest o tyle ważny, iż nastąpiła w nim próba wprowadzenia systemu parlamentarnego.

Jakkolwiek Franciszek Józef z tradycji i temperamentu był wrogiem parlamentaryzmu, musiał o ile możliwości przystosować doń monarchię. To przystosowanie nie odbywało się bez trudności. Cesarz nie chętnie wstąpił na tę drogę. Wahał się, chodził po omacku; uczyniwszy jeden krok naprzód, często cofał się znowu.

Był równocześnie cesarzem i królem. Dualizm monarchii pociągał za sobą automatycznie dualizm jego suwerenności.

Jako cesarz Austrii, Franciszek Józef mógł ostatecznie obejść się bez parlamentu. Ale już sam fakt, że był królem Węgier, zabraniał mu tego, gdyż Madziarowie domagali się rozszerzenia rządów konstytucyjnych na Austrię. Ponieważ Budapeszt wywierał nacisk na Wiedeń, Franciszek Józef, z rezygnacją raczej niż z zapalem, uczył się powoli być monarchą konstytucyjnym. Przyzwyczał się dość szybko do tego lekar-

stwa, do którego początkowo czuł wielki wstręt. Przekonał się, że jest ono mniej gorzkie, aniżeli przypuszczał.

Istnieje parlamentaryzm węgierski i parlamentaryzm austriacki, a różnica pomiędzy nimi jest wyraźna i znaczna.

Tradycje parlamentarne są w Budapeszcie znacznie silniejsze, niż w Wiedniu; zapuściły tam o wiele głębsze korzenie.

Jeśli monarcha mógł w praktyce złagodzić w Austrii potrzebę władzy parlamentarnej, to na Węgrzech, przynajmniej w teorii musiał zgodzić się na korzystanie przez parlament z przysługujących mu przywilejów i praw. Ale, bez względu na to, czy szło o jeden, czy o drugi kraj, władza monarchy była w rzeczywistości znacznie większa, aniżeli wynikało pozornie z treści konstytucji, albowiem wartość wszelkiej konstytucji polega wyłącznie niemal na sposobie jej stosowania.

Franciszek Józef ułożył się z premierem Andrassy'm, że wszystkie ustawy, wnoszone do parlamentu węgierskiego, będą mu uprzednio przedkładane do aprobaty. W ten sposób zyskał prawo wglądu, a niekiedy veta, w obec władzy ustawodawczej. Posłowie, wcale o tym nie wiedząc, mogli uchwalać tylko to, na co monarcha już się zgodził.

Węgrzy, zawsze pragnący tytułów, zapaleni legitymiści (żaden naród europejski nie jest tak legitymistyczny jak oni, ponieważ nie rozróżniają pojęcia narodowości od pojęcia władzy królewskiej), uważali monarchę, wszechmożnego władcę z Hofburgu, potomka najstarszej, najpotężniejszej dynastii europejskiej, syna i wnuka cesarza, za wyrocznię. Był on nie jako emanacją bóstwa. Przepisy protokołu i etykiety, z których śmialiby się demokraci francuscy, lub amerykańscy, wydawały im się czymś świętym.

Nie trudno więc było monarsze wpływać na węgierskich

meźów stanu, uczynić z nich powolne narzędzia, uzyskać od nich wszystko niemal, czego sobie życzył. Nic ich tak nie cieszyło i nie napawało dumą, jak możliwość udania się do Wiednia i uzyskania przyjęcia u Jego Królewskiej Mości. Zresztą wszyscy ci baronowie i hrabiowie węgierscy zawdzięczali swe tytuły Habsburgom. W ten sposób dwór miał silne atuty.

*
*
*

Węgrzy posługiwali się ordynacją wyborczą z mistrzowską wprost zręcznością.

Jakkolwiek w swoim kraju stanowili tylko połowę ludności, umieli tak się urządzać, iż w każdych wyborach osiągał znaczną większość. Mniejszości, nawet najliczniejsze, jak Rumuni z Siedmiogrodu, Kroaci, Słowianie południowi, byli reprezentowani całkiem niedostatecznie. Posłowie madziarscy byli samowładnymi niemal panami w parlamencie węgierskim.

Czynniki kierownicze Węgier gdy szło o walkę z mniejszościami lub z Wiedniem, potrafiły stworzyć i utrzymać jednolity niemal blok. Politycy węgierscy różnych przekonań byli z sobą zgodni w takich okolicznościach.

Ten blok madziarski nie natrafiał w Austrii na żadną siłę, któraby go równoważyła, któraby mogła mu się oprzeć. W obec niezgodnych, rozproszonych i ulegających różnym wpływom Austriaków, był on tym, czym falanga Macedończyków przeciwko barbarzyńcom. Tym tłumaczy się przemożny wpływ Madziarów na wewnętrzne, a nawet zewnętrzne kierownictwo monarchią.

Austriacka polityka wewnętrzna dla cudzoziemców trudna, niemożliwa wprost do zrozumienia była nieustannym szeregiem komplikacyj, powikłań i pozornych przynajmniej sprzeczności.

To więc, co pod pewnymi względami było siłą, stało się pod innymi względami słabością. Premier węgierski musiał niejednokrotnie opierać się na monarsze, ażeby dać sobie radę z różnymi stronnictwami i zaprząć je do rządowego rydwanu. Franciszek Józef potrafił w ten sposób wywierać wpływ dość znaczny.



Po Węgrzech — Austria. Tutaj cesarz miał jeszcze większą władzę nad parlamentem. Parlament austriacki od początku przypominał — jak mówiono — „kadłub bez członków”. Byli tam reprezentowani jedynie Niemcy, stanowiący mniej więcej trzecią część ludności. Czesi, Polacy, Słowianie południowi i Włosi — wściekli, że nie uzyskali nawet części ustępstw, przyznanych Madziarom — odmówili wysłania swych posłów do Wiednia. Stronnictwo rządowe nie reprezentowało nawet całej ludności niemieckiej. Składało się z samych liberałów, którzy dzierżyli władzę dość długo, aż do r. 1879.

Cesarz nie chętnie znosi rządy tego jedyne go stronnictwa; nie lubił liberałów; przypominali mu — i tego było dość, aby wzbudzić w nim odrazę — rewolucję w r. 1848, która omal nie pozbawiła go tronu a w wielkiej mierze była przeciw ich dziełem. Zarzucał im również dążenia antyklerykalne. Pod wpływem Bismarcka, uprawiającego z zapalem t. zw. „Kulturkampf”, gwałtownie walczącego przeciw kościołowi, marzyli o tym jedynie, ażeby naśladować tego wielkiego męża stanu, który wydawał im się przywódcą germanizmu. Pragnęli tak, jak on, zmniejszyć znacznie władzę duchowieństwa, kontrolować jego działalność, utrzymać ją w ścisłej zależności od państwa. Posunęli się aż do żądania wydalenia Je-

zuitów, jak to uczyniono w Niemczech. Franciszek Józef się nie zgodził, bojąc się gniewu a może nawet kłatwy papieża.

Liberałowie tak bardzo podziwiali Bismarcka, że cesarza to w końcu rozdrażniło. Uważał, że nie Prusak lecz Austriak jest w całym znaczeniu tego słowa Niemcem i godnym przedstawicielem tego narodu. Nie mógł znieść tego, ażeby część jego poddanych poszukiwała po za granicami kraju swych wzorów, swych bohaterów.

Ale najwięcej gniewało go ich zupełne niepowodzenie. Nie byli w stanie dać Austrii silnego i trwałego rządu, jakiego potrzebowała. Cesarz, który nigdy ich nie darzył sympatią, był szczęśliwy, że wskutek ich klęski nadarzyła mu się dawno oczekiwana sposobność pozbycia się ich. Nadto, popełnili ten wielki błąd, iż sprzeciwili się gwałtownie zajęciu Bośni i Hercegowiny, które to zajęcie Franciszek Józef uważał za wielki sukces moralny i materialny dla monarchii. Zerwał z liberałami. Powierzył władzę hrabiemu Taaffe, wysokiemu urzędnikowi, swemu przyjacielowi z lat młodości. I Taaffe sprawuje rządy przez piętnaście lat, opierając się na t. zw. żelaznym kole (eiserne Ring), a mianowicie na Słowianach, klerykałach, i arystokratkach, zwolennikach konserwatywnej i federacyjnej monarchii.

Geneza trójprzymierza.

W czasie tak długiego panowania jak panowanie Franciszka Józefa, w ciągu tak wypełnionego życia, bieg wypadków zmusza monarchę do pogodzenia się chcąc nie chcąc, z koniecznością zmian. Franciszek-Józef był niejednokrotnie zmuszony wyrzec się tego, co uważał za dobre, i uważać za

dobre to, czego się wyrzekał. To raczej okoliczności się zmieniły, a nie cesarz.

Węgierski mąż stanu, Andrassy przez wiele lat kierował polityką zagraniczną Franciszka Józefa, mimo że ongi chwycił za broń przeciwko cesarzowi i był skazany zaocznie na śmierć.

Bismarck, bez wielkiego trudu, uzyskał zgodę cesarza na sojusz z Prusami, które go nie dawno pokonały.

W czasie długiego okresu — niemal pięćdziesięciu lat — jaki upłynął pomiędzy wojną austriacko-niemiecką, a wojną światową, cesarz schlebiał sobie, iż sam kieruje polityką zagraniczną Austrii, wybiera ministra spraw zagranicznych i wskazuje mu drogę, jaką ma pójść.

Były to raczej pozory, aniżeli rzeczywistość. Austro-Węgry, od czasu gdy dostały się pod wpływ zwycięskich Niemiec, były jedynie „znakomitym sojusznikiem”, według słynnego powiedzenia Wilhelma II.

Bismarck, który kierował wszystkim, narzucił w końcu Austrii sojusz z Niemcami zręcznie zużytkując siłę Madziarów, zwłaszcza Andrassy'ego; dzięki niemu bowiem zostało zawarte przymierze, które wkrótce, po przyłączeniu się Włoch, miało stać się trójprzymierzem.

Zewnątrz i wewnątrz dawał się odczuwać wpływ Budapesztu i Wiednia. Jeśli Austria, zwyciężona pod Sadową, szybko rezygnując z myśli o odwecie, zbliżyła się do swego zwycięzcy, a nawet stała się jego sojuszniczką, to stało się to wyłącznie dla tego, iż Bismarck tak postanowił. On to powziął tę myśl i urzeczywistnił ją z nadludzką energią, wbrew woli swego cesarza.

Franciszek Józef również uległ wszechmożnej woli wielkiego kanclerza.

Tak samo było z nową orientacją polityczną na Wschodzie, parciem austro-węgierskim ku Bałkanom. Tutaj również Bismarck zapoczątkował tę zmianę o doniosłym znaczeniu. Na skutek zajęcia Bośni i Hercegowiny które Bismarck doradzał i na które przyzwolił, zmieniła się nie tylko polityka zagraniczna monarchii, ale przesunął się jej punkt ciężkości. Po zostawiając na boku Europę środkową, Austria zwracała się co raz bardziej ku Bałkanom, gdzie z braku zachowania należytych środków ostrożności natknęła się na Serbów, i w następstwie na ich protektorkę, Rosję.

Być może, leżało to w interesie Niemiec, w każdym jednak razie, nie leżało to w interesie Austrii, która nie powinna była ulegać wszelkim, poddanym przez kanclerza projektom, zanim ich starannie nie rozważyła.

Austria rezygnuje z odwetu.

Gdy w lipcu roku 1870 rząd francuski wpadł w pułapkę nastawioną przez Bismarcka, i wypowiedział wojnę Prusom, natychmiast wyłoniła się na pierwszy plan kwestia sojuszków.

W tym względzie istniało mnóstwo możliwości, które wynikały z natury rzeczy, lecz kierownicze czynniki francuskie powinny były te sojusze koniecznie przygotować.

Tego przygotowania jednak zaniedbano zupełnie.

Nawet po wypowiedzeniu wojny nadarzyła się inna sposobność. Austria gotowa była zawrzeć przymierze z Francją pod warunkiem, że Włochy doń się przyłączą. Na rozkaz swego rządu oświadczył to oficjalnie rządowi francuskiemu Metternich, ambasador austriacki w Paryżu. Zdawałoby się,

że rząd francuski powinien był przyjąć z zapalem tę propozycję, która mogła przynieść zbawienie, zwycięstwo, gdyż Prusy — bez względu na swe siły — nie mogły walczyć równocześnie z Francją, Austrią i Włochami. Lecz Włochy, wzamian za swe usługi, żądały oczywiście pewnych korzyści, a mianowicie zezwolenia na zajęcie Rzymu, stolicy bez której nie były w stanie dokończyć dzieła zjednoczenia narodowego. Napoleon III, pod przemożnym wpływem cesarzowej i stronnictwa klerykałów, odmówił, mimo groźby, iż straszny przeciwnik łada chwila chwyci go za gardło!

Minister spraw zagranicznych, Gramont, zatelegrafował tedy do Wiednia następującą zadziwiającą odpowiedź: „Francja nie może bronić swej czci nad Renem i poświęcić jej nad Tybrem.”

Kategoryczna ta odmowa zerwała ostatecznie rokowania. Francja, przez nieudolność swych kierowniczych czynników, pozostała bez sprzymierzeńców, a Włosi i tak nie stali się panami swej stolicy.

Niema żadnej wątpliwości — rokowania te są wystarczającym dowodem — że osobiste sympatie Franciszka Józefa i jego ministra Beust'a były w zupełności po stronie Francji. Pragnęli z całego serca zwycięstwa jej wojsk — nie tyle z miłości do Francuzów, ile z nienawiści do Prusaków.

Czy jednak gdyby przymierze Austrii z Francją nie zostało uniemożliwione błędami dyplomacji francuskiej — byłoby ono weszło w życie? Nie jest to zupełnie pewne. Groźna postawa Rosji, gotowej zarządzić mobilizację, gdyby Austria mobilizowała, silna opozycja Madziarów, pragnących zwycięstwa Prus, były by może unieważniły sojusz austriacko-francuski.

Z rozpoczęciem wojny, samowładny pan: działło, zagłu-

szył głosy dyplomatów. Wypadki ułożyły się niekorzystnie dla Francji. Pierwsze już walki przyniosły jej klęskę.

Odtąd, zarówno w Austrii jak we Włoszech, zwolennicy interwencji musieli ustąpić zwolennikom neutralności.

Nikt już nie myślał o przyjsciu Francji z pomocą. Francja pozostała sama w obliczu swego strasznego, nieubłaganego przeciwnika.

Franciszek Józef pozostawia Prusom wolną rękę w dyktowaniu Francji warunków.

Beust, którego cesarz wybrał, aby prowadził politykę, zmierzającą do wywarcia zemsty na Prusach, musiał ustąpić oczywiście w dniu, w którym polityka ta stała się niemożliwa. Cesarz rozstał się z nim, darząc go nadal swym osobistym zaufaniem.

Mianował Andrassy'ego, którego polityka była wręcz odmienna. Andrassy był zwolennikiem przymierza z Niemcami, których potęga, dzięki odniesionym zwycięstwom, wzrosła w dużym stopniu.

Miedzy dworem wiedeńskim a berlińskim zapanowały więc bardzo dobre stosunki. W r. 1872 Franciszek Józef wybrał się z oficjalną wizytą do niemieckiej stolicy i odtąd obaj monarchowie spotykali się każdego niemal lata.

W czasie odwiedzin, cesarz austriacki zastał w Berlinie cara Aleksandra II, rodzonego siostrzeńca Wilhelma II. Był to zjazd „trzech cesarzy”, który świadczył o bardzo serdecznych stosunkach pomiędzy monarchami, co wpłynęło oczywiście na uzgodnienie ich polityki. Zdawało się, że w przybliżeniu wracają czasy „świętego przymierza”.

W następnych latach zaznacza się stopniowa ewolucja dyplomacji austriackiej ku co raz większej akcji na Wschodzie. Andrassy nakłaniał Franciszka Józefa, ażeby w tym kie-

runku skupił swe wysiłki. Nowa ta orientacja polityczna musiała niechybnie doprowadzić Austrię do zderzenia z Rosją.

Znane jest powiedzenie Karola V: „Mój kuzyn, król francuski i ja — jesteśmy zgodni co do Mediolanu. On chce Mediolan i ja go chcę także”.

Podobnie rzecz się miała z Rosją, i Austrią, w sprawie hegemonii na Bałkanach.

Czynniki kierownicze obu monarchii daremnie, z początku przynajmniej, usiłowały osłabić ten konflikt. Prędkiej czy później musiał wybuchnąć.

Kapelmistrz Bismarck.

Chrześcijanie na Bałkanach stawali się co jakiś czas niepokojni, myśleli o powstaniu przeciwko Turkom. Gdy tylko Rosja ich zachęciła — a nie omieszkła tego uczynić — z łatwością przeszli od zamiarów do czynów.

Z wiosną r. 1875 Serbowie z Montenegro i Hercegowiny podnoszą bunt, prawdopodobnie namówieni przez emisariuszy rosyjskich. Wrzenie ogarnia cały półwysep.

Nowy sułtan Murad wypowiada Serbii wojnę.

Nieregularne wojska tureckie, składające się z słynnych baszybuzuków, popełniają okropne okrucieństwa w Bułgarii.

W Rosji i w całej Europie wywołuje to wielkie wzburzenie. Rząd carski zdecydowany jest wystąpić zbrojnie przeciwko Turkom. Ale musi najpierw upewnić się, że nic mu nie grozi ze strony Austrii, musi porozumieć się z nią. Car Aleksander spotyka się z Franciszkiem-Józefem w Reichstadt. Au-

strzeż zapewne Rosji swobodę działań; nie daje jednak tej obietnicy za darmo: żąda prawa zajęcia Bośni.

Wojna, jaka wybucha, kończy się doniosłym zwycięstwem Rosjan, którzy docierają do bram Konstantynopola. Mogą teraz narzucić Turkom warunki pokoju, jakie im się podoba, ale trzeba było, ażeby również Europa zgodziła się następnie na te warunki. Tutaj rozpoczynają się trudności.

Anglia śmiało występuje przeciwko zamiarom Rosji. Gotowa jest na wszystko, nawet na wojnę, ażeby zmusić Rosję do poskromienia swych apetytów. Gdy zaś Anglia zaczyna myśleć o wojnie na kontynencie, szuka przede wszystkim sprzymierzeńców. Zdana na własne siły, wyłącznie niemal morskie, nie potrafiłaby niczego dokonać. Jak słusznie pewnego razu zauważył Bülow: „Pancerniki nie jeżdżą po lądzie”.

Kto mógłby być jej sprzymierzeńcem? Z braku Francji, która dopiero gromadzi siły, Austria wydaje się zupełnie odpowiednią. Jakkolwiek porozumiała się już mniej więcej z Rosją, Austria uważała, że Rosja za daleko się posunęła, że odniosła zbyt wielkie zwycięstwo, które może naruszyć na jej korzyść równowagę na Bałkanach. Austria więc przyłącza się do Anglii, ażeby odebrać Rosjanom to, co zabrali, i całą sprawę poddać konferencji międzynarodowej.

Bismarck znajduje się w wielkim kłopotcie. Nie może znieść myśli, że będzie musiał rozstrzygnąć spór między Austrią a Rosją, które to państwa chciał utrzymać wprzagnięte do jednego rydwanu. Ale, gdyby zachował się biernie, mogła wybuchnąć nowa wojna, co popsułoby niechybnie wszystkie jego plany. — Musi więc zgodzić się na kongres. Mógł on się odbyć tylko w Berlinie i pod jego przewodnictwem.

Wielki kanclerz, z charakterystycznymi dla niego, w obec

każdej następującej się trudności, śmiałością i cynizmem, widać jedno tylko wyjście: usunąć przeszkodę kosztem Turków. Z chwilą, gdy ich się wyratowało ze szpon Rosji, powinni być zadowoleni, że sprawa skończy się utratą jakiejś prowincji czy wyspy... Idzie tylko o to, ażeby im odciąć rękę lub nogę, ale pozostawić głowę.

„Anglia wzięła orła, a Austria orlątko”...

Austria, tym razem najbardziej żarłoczna, otrzymuje dwie prowincje, Bośnię i Hercegowinę, podczas gdy Anglia skromnie zadowala się Cyprzem.

Francja zajmuje Tunis.

Bismarck okazał się niezmiernie hojny, rozdzielając w około to, co nie było jego własnością.

Jedynie Rosja nie otrzymała nic, lub prawie nic, jakkolwiek zwycięsko wyszła z wojny, która kosztowała ją dużo krwi i pieniędzy!

Austria zdobywa nowe, ważne terytoria, które wynagradzają jej w pewnej mierze utratę wszystkich tych prowincyj, które odpadły od czasu wstąpienia na tron Franciszka Józefa.

A jednak cesarz — co jest charakterystyczne dla niego — czekał na oficjalne przyłączenie ich do monarchii, ażeby je zwiedzić (nastąpiło to dopiero trzydzieści lat później). Aż do tego czasu uważał się za okupanta, a nie za prawowitego władcę tych prowincyj. Miał bowiem w najwyższym stopniu rozwinięte poczucie własności, zwłaszcza gdy szło o prawa dynastyczne. Dopóki Bośnia pozostaje pod nominalnym panowaniem sultana, dopóty — uważał — nie należy do niego naprawdę, nie może więc zwiedzić jej w charakterze właściciela.

Czy okupacja ta przyniosła korzyści?

Zadając sobie to pytanie retrospektywnie, trudno odpowiedzieć na nie inaczej, jak przecząco. Doprowadziła bowiem w końcu do wojny światowej.

Monarchia, rozdwojona już i osłabiona walką swych narodowości, zwiększając przez okupację liczebność i siłę Słowian południowych, utrudniła sobie jedynie politykę wewnętrzną. Trudno uważać za dowód przezorności i mądrości przyłączenie do monarchii nowego kraju serbskiego skoro dla Serbów, ani dla Czechów, nie stworzono systemu rządowego, możliwego do przyjęcia dla tych narodowości.

Dwuprzymierze.

Ważne wydarzenie, jakim było zajęcie przez Austrię Bośni i Hercegowiny, pociągnęło za sobą doniosłe następstwa w polityce europejskiej, a zwłaszcza w stosunkach pomiędzy trzema cesarzami.

Rosja okazuje coraz większe niezadowolenie. Widzi, iż na Wschodzie czynniki niemieckie przy każdej sposobności biorą stronę Turków przeciwko Rosjanom; że Niemcy ostentacyjnie zbliżają się do Austrii. Car, rozdrażniony, zwraca się w ostrych słowach do ambasadora niemieckiego, dając mu do zrozumienia, że zażyła przyjaźń, łącząca dotychczas obie dynastie i oba narody zostaje zerwana.

Bismarck odczuł to głęboko.

Obawa, jakiej doznawał, widząc, że Rosja ostatecznie wymyka się z pod jego wpływu, skłania go do zajęcia się ze zwykłą u niego porywcznością projektem przymierza Niemiec z

Austrią. Jest to dla niego kwestia niesłychanie ważna i niecierpiąca zwłoki.

Mogąc wybrać między Rosją a Austrią, wybrał z wielu względów, obszernie wyłożonych w jego „Pamiętnikach”, Austrię. Gdy zaś taki człowiek jak Bismarck coś już postanowił, zabiera się do wykonania tego z niezwykłą energią, prowadzi rzecz całą skwapliwie i bezwzględnie.

Obserwując jego działalność, można by sądzić, iż nagli go jakieś niebezpieczeństwo, że kraj jego nie ma chwili do stracenia i za wszelką cenę musi znaleźć jakiegoś sprzymierzeńca.

Bismarck, który poświęcił część swego życia na knucie spisków przeciwko innym, sam stale obawiał się spisków, skierowanych przeciw niemu. Jest to zasadniczy rys jego charakteru.

Wytworzyła się wówczas niezwykła sytuacja.

Największą trudnością dla Bismarcka nie było nakłonić go do swego projektu Franciszka Józefa, który dał się z łatwością przekonać swemu ministrowi Andrassy'emu, lecz uzyskanie zgody na ten projekt cesarza Wilhelma. Cesarz niemiecki opierał się jak mógł, stawiał najrozmaitsze zarzuty i walczył z wyrzutami sumienia, ponieważ czyn, do którego Bismarck go skłaniał, uważał za zdradę w obec cara. Kanclerz, chcąc wymóc na Wilhelmie decyzję zagroził, że poda się do dymisji.

Sojusz między Austrią a Niemcami przewiduje wspólną obronę przeciw Rosji.

Gdyby jedno z tych państw było zaatakowane przez Rosję, drugie automatycznie miało przyjąć z pomocą, służąc mu wszystkimi swymi siłami. Cesarz Wilhelm nie chciał zgo-

dzić się na tę klauzulę. Bismarck znów musiał to na nim wy-
móc.

Ale podczas gdy Niemcy zobowiązały się formalnie bro-
nić Austrii przed atakiem rosyjskim, Austria odmawiała
wszelkiej gwarancji, na wypadek, gdyby Niemcy zostały za-
atakowane.

Układ wytwarzał zatem wyraźną nierównomierność na
niekorzyść Niemiec. Austrii dawał pozytywną gwarancję, któ-
rej Austria ze swej strony odmawiała.

Cesarz Wilhelm, nieprzychylnie usposobiony do tego
układu, uważał nierównomierność taką za rażącą, niemożliwą
do przyjęcia. Bismarck w duszy podzielał jego zdanie; pomimo
swych wysiłków, nie zdołał jednak zwalczyć oporu Austria-
ków. Tak dalece pragnął zaś jaknajprędzej z tym skończyć, że
przeszedł nad tą trudnością do porządku dziennego i podpisał
(w październiku r. 1879) przymierze.



Pomyślany i zrealizowany przez Bismarcka, siłą narzuc-
ony cesarzowi niemieckiemu, układ z Austrią jest znamien-
ny dla jego twórcy; wykazuje zasadnicze cechy jego charakteru
i temperamentu.

Bismarck przypomina człowieka, który znalazłszy skarb,
wynajduje różne środki ostrożności, ażeby ustrzec go przed
złodziejami. Miał bowiem wrażenie, że nieprzerwany szereg
zwycięstw, odniesionych przez Niemcy nad Austrią i Fran-
cją, jest niepojętym jakimś cudem. Przypadek, ten bóg woj-
ny, stale mu sprzyjał, co Bismarck niejednokrotnie przyzna-
wał.

Ale to, czym obdarzył go szczęśliwy traf, mógł mu ode-

brać nieszczęśliwy wypadek. Należało zatem starać się aby wynik tych zwycięstw chroniony był od wszelkich możliwych zmian fortuny. Stąd obawy Bismarcka i jego wzmożona przezorność. Bismarck doznawał już tej uporczywej, przesładowczej myśli o okrążeniu, która przeobraziła się u jego następców w rodzaj opętania i miała się stać jedną z psychologicznych przyczyn wojny światowej.

W chwili zawarcia przymierza z Austrią, nie było to przymierze wcale potrzebne. Niemcy nie potrzebowały pomocy, gdyż żaden z ich sąsiadów — ani Rosja, a tym mniej Francja — nie zamierzał ich atakować. Pragnienie Niemiec zapewnienia sobie obrony było zbytne, a nawet szkodliwe.

Niemcy potrafiły utrzymać dotychczas równowagę polityczną między Austrią a Rosją, unikając zaprzyjaźnienia się bardziej z jedną, niż z drugą. Można by nawet powiedzieć, że dzięki zażyłości pomiędzy carem a cesarzem niemieckim, stosunki z Rosją były serdeczniejsze, aniżeli z Austrią.

Odtąd miało być przeciwnie. Stosunki z Petersburgiem rozluźniły się, w równej mierze, w jakiej zacieśniły się z Wiedniem. Mimo wszelkich starań Bismarcka, dwuprzymierze, które niebawem stało się trójprzymierzem, musiało w Europie wytworzyć przeciwwagę, a mianowicie sojusz francusko-rosyjski, będący automatycznym wprost następstwem trójprzymierza. A zatem, skutek pierwotnego błędu Bismarcka, Europa podzieliła się na dwa wrogie obozy, skazane na wzajemne napieranie na siebie i, w końcu, na zderzenie.

* * *

W przymierzu, podobnie jak w małżeństwie, kontrahenci rzadko są na stopie całkiem równej. W tym wypadku, wyższość była po stronie Niemiec. Zdaniem Bismarcka, Niemcy

powinny były nadawać kierunek. Według znanego powiedzenia Talleyranda, sojusz ten miał być w pewnym stopniu przymierzeniem między człowiekiem i koniem.

Czemu Franciszek-Józef zgodził się na taki sojusz z Niemcami? Właściwie nie było mu to potrzebne, podobnie jak partnerowi. Monarchia dualistyczna obywała się dotychczas bez tego przymierza, i długo jeszcze mogła obywać się bez niego. Ale właśnie dlatego, że była dualistyczna, władca jej uległ wpływowi silniejszej woli, aniżeli jego własna.

Węgry odegrali w tej sprawie decydującą rolę, podobnie jak w wielu innych. Franciszek-Józef, głównie pod ich wpływem, udzielił swego przyzwolenia. Nietrudno się domyślić, jakie korzyści obiecywały sobie po tym sojuszu czynniki kierownicze budapeszteńskie. Spodziewały się, że wzmoże to ich prestiż w walce z innymi narodowościami monarchii, że oparci o Niemcy — Węgry będą wyglądali jak naród suwerenny.

Austria zaś nie mogła spodziewać się korzyści tego rodzaju. Sojusz mógł mieć dla niej więcej stron ujemnych, niż dodatnich. Czyż bowiem nadzieja, a raczej pewność, że może liczyć na pomoc Niemiec, nie popychała ją akurat w stronę, w którą i tak już ją ciągnęła, a mianowicie — ku wzmocnieniu polityki bałkańskiej, która w końcu miała doprowadzić do poróżnienia Austrii z Rosją?

Dopóki jest Bismarck, dopóty Niemcy nie zachęcają Austrii, aby szła po tej linii. Przeciwnie, powstrzymują ją, chcąc uchronić ją przed popełnieniem głupstwa. Bismarck oświadczył to z okrutnym egoizmem w jednym z rozdziałów „Myśli i wspomnień”:

„Nie jest zadaniem cesarstwa niemieckiego — pisał — powierzać swych poddanych innemu cesarstwu i przyczyniać

się, ofiarą ich mienia i krwi, do urzeczywistniania celów sąsiada."

Nie wszyscy następcy Bismarcka byli tak roztropni, jak on. Wojna światowa wybuchła, ponieważ czynniki kierownicze niemieckie, zamiast powstrzymać Austrię w jej rywalizacji z Rosją, popychały ją tylko naprzód.

W gruncie rzeczy, w całej tej sprawie, tak doniosłej dla Austrii, Bismarck był tym, który wszystkim kierował.

Franciszek-Józef grał pod jego batutą.

Manewry Bismarcka.

Jeśli omawiany układ przedstawiał wielkie niedogodności dla polityki zagranicznej Austrii, to dla jej polityki wewnętrznej był on równie, a może nawet bardziej jeszcze niedogodny. Nie mówiąc już o tym, że przymierze z Niemcami znacznie wzmogło wpływ Madziarów, odwróciło ono uwagę cesarza i jego doradców od najważniejszego zadania, a mianowicie — od podjęcia kroków celem stworzenia systemu federacyjnego, jedyne, który umożliwiłby tej dziwnej monarchii utrzymanie się i rozwój.

Austria, jako sojuszniczka Niemiec, straciła swój prawdziwy charakter, istotną misję historyczną, jaką spełniał Wiedeń, ta niemiecka stolica, nie niemieckiej monarchii — jak ją określił następca tronu arcyksiążę Rudolf.

Kierownicze czynniki austriackie powinny były dbać przede wszystkim o utrzymanie równowagi, zarówno na zewnątrz jak wewnątrz. Przymierze z Niemcami kierowało ich

niezawodnie ku zniweczeniu, lub conajmniej zachwianiu równowagi. I dlatego było ono zgubne dla monarchii.



Niemcy, a tym mniej Austria, ani przez chwilę nie myślały o dopuszczeniu Włoch do tego przymierza. Inicjatywa w tym względzie została podjęta przez rząd włoski. Po długim wahaniu i z widocznymi oznakami niechęci rozszerzono w końcu ten sojusz na Włochy.

Gdy Włosi poraz pierwszy zwrócili się w tej sprawie do Bismarcka, ten odesłał ich do Wiednia. Wiedeń dał się długo prosić, aż wreszcie, bez zapatu, ustąpił. Austria obawiała się, że gdyby odmówiła, naraziłaby Włochy na tarcia wewnętrzne, które mogły w następstwie podkopać monarchię, doprowadzić do rewolucji i do rządów republikańskich. Pomijając zaś, że i papież znalazłby się w położeniu niemożliwym, byłoby to złym przykładem dla Europy.

Na postanowienie Franciszka-Józefa wpłynęła przede wszystkim sprawa papieża. Pozatem nie wiadomo doprawdy, jakie korzyści mogło mieć dla Austro-Węgier rozszerzenie sojuszu na Włochy. Miało ono wyłącznie strony ujemne. Pozwalało iredencje włoskiej prowadzić swobodnie i bezkarnie propagandę w Tyrolu, Istrii i t. d.

W miarę, jak polepszała się sytuacja wewnętrzna, rząd włoski tracił ochotę odnawiania tego układu, który uważał już za niepotrzebny. Prolongował go jednak, acz bez przekonania. Wydawało mu się to pewnego rodzaju zabezpieczeniem przeciwko możliwemu atakowi Austrii.

„Położenie tych dwu krajów jest tego rodzaju — mówiono — że muszą być bądź sprzymierzeńcami, bądź też wrogami.”

Ale przymierze to było bez znaczenia. Po odnowieniu układu, pewien znany polityk włoski powiedział Kamilowi Barrère, francuskiemu ambasadorowi w Rzymie:

„Czy wie pan, że święte przymierze nigdy nie zostało wypowiedziane? A jednak się skończyło. Czemu ten sam los nie miałby spotkać trójprzymierza?”

* * *

Bismarck, narzuciwszy Austrii sojusz, wkrótce zaczął żywić pewne obawy. Lękał się, aby Rosja, bez której nie byłby zdołał odnieść żadnego ze swych zwycięstw, nie odsuwała się coraz bardziej od Niemiec. Sama ta obawa pozwala osądzić tę część jego dzieła dyplomatycznego.

Sojusz z Austrią nie był potrzebny, ani nawet użyteczny, skoro Bismarck uważał za wskazane, zaraz po jego zawarciu, poprawić go „trójporozumieniem” pomiędzy Austrią, Rosją i Prusami. Czyż układ ten faktycznie i prawnie nie unieważniał dwuprzymierza, podpisanego poprzednio i skierowanego wyłącznie przeciwko Rosji?

Bismarck, nalegając zarówno na Austrię, jak na Rosję, zdołał uzyskać ich zgodę w czerwcu r. 1881 na t. zw. „sojusz trzech cesarzy”. Dołączony do tego układu tajny protokół pozwalał Austrii przyłączyć Bośnię i Hercegowinę, a Rosji — złączyć wschodnią Rumelię z Bułgarią. Konwencję tę przyrzeczono zachować i zachowano w największej tajemnicy.

Bismarck sądził, że wprzągnąwszy Austrię i Rosję do tego samego rydwanu, może spać spokojnie.

Ale najbardziej pomysłowe jego kombinacje nie mogły się ostać wobec siły rzeczy. Ponieważ Austria i Rosja współpracowały z sobą na Wschodzie, niemożliwością było, ażeby się nie poróżniły. Zaznaczało się to wieloma incydentami

tak wyraźnie, że w r. 1887, w chwili odnawiania „sojuszu trzech cesarzy”, Austriacy, a zwłaszcza kierujący wszystkim Węgrzy, nieufni i niezadowoleni z Rosji, odmówili kategorycznie. Bismarck prosił, nalegał, gniewał się na Węgrów, ale wszystkie jego wysiłki były daremne. Kierownicze czynniki monarchii dualistycznej nie chciały się zgodzić na układ, który przykuwał Austro-Węgry do Rosji. W ten sposób Bismarck znów znalazł się w niebezpieczeństwie, którego najwięcej się obawiał, a mianowicie — odsunięcia się Rosji, która zbliżyłaby się oczywiście do Francji.

Nie chcąc do tego dopuścić, trzymał się uparcie Rosji, usiłował za wszelką cenę doprowadzić znów do jakiegoś układu dyplomatycznego. Zdołał podpisać słynny traktat „życzliwej neutralności”, najbardziej tajemniczy i machiawelski z zawieranych przez Bismarcka układów, którego istnienia, prócz garstki wtajemniczonych nikt przez długi czas nie podejrzewał.

Układ ten był tak przemyślany i skomplikowany, że sam się unieważniał. Pełno w nim było niejasności, niedomówień; był poprostu niezrozumiały. Obejmował ewentualności trudne do przyjęcia, niemal nieprawdopodobne. Bismarck był takim mistrzem w formułowaniu układów dyplomatycznych, że w końcu doszedł do przekonania, iż wartość ich polega na samym ich istnieniu niezależnie od ich treści. Była to zasada „sztuki dla sztuki”, zastosowana do stosunków pomiędzy narodami. Można by sądzić, że wielki ten realista utracił pod koniec życia poczucie rzeczywistości. Chciał koniecznie podpisać z Rosją jakiś „papier”, nawet gdyby on nie miał żadnego sensu.

Bismarck, poniekąd dopuszczając się zdrady, nie doniósł oczywiście swej sojusznicze Austrii o układzie „życzliwej neu-

tralności", niweczącym właściwie sojusz niemiecko-austriacki. Zdradziwszy najpierw Rosję na rzecz Austro-Węgier, z kolei zdradził Austrię na korzyść Rosji.

Gdy po śmierci swego dziadka na tron wstąpił Wilhelm II, zajął on wobec wielkiego kanclerza stanowisko jawnie opozycyjne, a to właśnie z powodu tej podwójnej gry Bismarcka. Cesarz wręcz odmówił odnowienia paktu z Rosją, który uważał za sprzeczny z lojalnością i honorem. Była to jedna z głównych przyczyn zerwania Wilhelma II z Bismarckiem.

* * *

Można i należy zastanowić się nad tym, jak było możliwe aby trzech bezpośrednio zainteresowani monarchowie — car, cesarz niemiecki i cesarz austriacki — tak długo pozwalali Bismarckowi na jego gmatwaninę kombinacji dyplomatycznych, w której w końcu nikt, nawet jej autor, nie mógł należycie się zorientować.

Czemu zwłaszcza Franciszek-Józef był ślepo posłuszny Bismarckowi, zawierając najpierw sojusz z Niemcami, który nie był mu potrzebny, a następnie podpisując przymierze z Rosją, sprzeczne z duchem pierwszego sojuszu?

W tej zagadce Bismarcka odgrywa Franciszek-Józef rolę nie aktora, lecz zwykłego niemal widza. I nic lepiej nie wykazuje jak niezwykle, przemożny wpływ wywierał w tym okresie Bismarck nie tylko na mężów stanu, lecz również na monarchów. Był niezaprzeczalnym panem Europy, a to w znacznie większym stopniu, aniżeli Metternich pięćdziesiąt lat wcześniej.

Taaffe, czyli radź sobie jak umiesz.

Ciekawym zbiegiem okoliczności w chwili właśnie gdy Austro-Węgry stały się sprzymierzeńcem Niemiec, gabinet czysto niemiecki, który rządził Austrią przez dziesięć lat, ustępuje miejsca wręcz odmiernej formacji.

Nowy premier, przyjaciel cesarza, ma wszystkie tradycyjne zalety i wady prawdziwego Austriaka. Jest beztroski, trochę sceptyczny, na wszystko patrzy z wysoka, polityki nie tylko nie bierze tragicznie, ale zaledwie traktuje ją serio i z pogardą odnosi się do rządu parlamentarnego, z którym jego kraj musi się pogodzić.

* * *

Najważniejsza zasada rządu austriackiego polegała zatem na t. zw. w gwarze wiedeńskiej, nie dającej się niemal przetłumaczyć „fortwursteln” co mniej więcej odpowiada wyrażeniu: radź sobie jak umiesz.

Ilekoć wyłania się jakaś trudność, czynniki kierownicze usuwają ją jak mogą najlepiej czy też nie najgorzej, nie troszcząc się o to, ażeby jej zapobiec w przyszłości.

Naczelną zasadą rządu jest poprostu oportunizm.

I w ten sposób żyjąc z dnia na dzień, naród zdawało się dawał sobie radę. Niestety, były to tylko pozory. Następstwa tej małostkowej, krętej i chwiejnej polityki były w rzeczywistości zgubne.

Administracja, dzięki doskonałym urzędnikom, dorównującym urzędnikom innych wielkich państw, a może nawet ich przewyższającym łagodziła nieco w praktyce te rozliczne omyłki. Ale administracja nie zastępuje rządu.

Tak zmarnowano piętnaście lat, w ciągu których, gdy je-

szcze nie było za późno, Austria mogła i powinna była zorganizować system polityczny, możliwy do przyjęcia przez główne jej narodowości.

Nie podjęto w tym kierunku żadnych wysiłków, nie posunięto się naprzód ani o krok. Walka poszczególnych ludów, żyjących z musu w jednakowych normach prawnych, wzmacniała się ustawicznie. Siły odśrodkowe zwiększały się z każdym dniem.

Ale nikt, zdawało się nie zwracał na to uwagi — ani posłowie do parlamentu, ani czynniki rządzące. Parlament przypominał młyn, który obraca się, ale nie miele. Cała jego działalność ograniczała się do załatwiania drobnych spraw i małołostkowych targów. Jeden z posłów, Włoch z pochodzenia, nazwał go pogardliwie lecz słusznie: „Luogo di traffico” (plac targowy, rynek).

Cesarz, jakkolwiek niejasno zdawał sobie sprawę z ujemnych stron tej polityki, nie uczynił nic, ażeby ją zmienić. Może głównie dlatego, że nie wiedział, czym ją zastąpi. W czasie długiego swego panowania próbował kolejno różnych systemów, — najpierw otwarcie absolutystycznego, z którego wynikły same nieszczęścia, po tym dualistycznego, z rządem niby parlamentarnym. Zamiast więc znów zmieniać, wolał utrzymać jaknajdłużej to, co było.

Szef rządu, Taaffe, miał zalety, które cesarz bardzo cenił. Oszczędzał mu o ile możności kłopotów i zmartwień. Jeśli wyłaniała się jakaś trudność, zawiadamiał o niej cesarza w ostatniej chwili, gdy nie miał już innego wyjścia. Przeciwnicy jego mieli mu za złe takie postępowanie, zdaniem ich — zbrodnicze.

Cesarz coraz bardziej się przyzwyczajał mianować ministrów nie z pośród polityków, których nie lubił, ale z pośród

wysokich urzędników, którzy duchem i tradycjami, zawsze byli mu oddani. W ten sposób miał cesarz wrażenie, że rządzi bez parlamentu.

Zdyskredytowany parlament.

Parlament stał się fasadą, poza którą nic się nie działo. Najlepszym tego dowodem jest tytuł, jakim chętnie posługuje się premier: „Kaiser-Minister” (minister cesarza) co jasno wskazuje charakter i pochodzenie jego władzy. Premier otrzymał ją nie od parlamentu, ale od monarchy, wobec którego też jedynie czuje się odpowiedzialny.

Polityka ta wpłynęła w końcu na zaostrzenie się waśni między narodowościami. Zwłaszcza Czesi stawali się coraz gwałtowniejsi. Stronnictwo młodoczeskie do którego należał Krámarz i rozpoczynający wówczas swą działalność Masaryk, wystąpiło przeciw Niemcom, domagając się nie tylko większego udziału w rządach, lecz prawie że niezawisłości.

Zadanie rządu i jego szefa, którzy pragnęli pogodzić Czechów z Niemcami, stało się niewykonalne. Usiłowali ratować się reformą wyborczą, ustanawiając głosowanie powszechne. Dziwne było to lekarstwo. W państwie jak Austro-Węgry, gdzie panowało dziesięć języków, mogło ono stać się groźniejsze, aniżeli sama choroba.

Czy izba, której członkowie byliby wybrani na mocy głosowania powszechnego, nie byłaby jakąś wieżą Babel?

W r. 1893 gabinet podał się do dymisji. W rok później umarł Taaffe. Cesarz żywił dla niego tyle szacunku, można nawet powiedzieć serdeczności, że raczył odwiedzić go w cza-

sie choroby. Był to zaszczyt, jaki mało kogo spotykał. Raz tylko sprawił cesarz ten zaszczyt Schwarzenbergowi, wielkiemu mężowi stanu, który na samym początku panowania Franciszka-Józefa ocalił go przed rewolucją.

Jak zwykle po długim okresie ospałości, rozbudzone namiętności rozpętały się. Rządy zmieniały się często, gdyż żaden nie mógł się utrzymać przy władzy. Ówczesny premier Badeni, Polak, pragnąc udobruchać Czechów, postanowił, że w szkołach będzie się odbywała nauka języka czeskiego na równi z niemieckim.

Gdy po ponownym otwarciu parlamentu, jesienią r. 1897, projekt ów przedłożono, posłowie niemieccy rozpoczęli silną obstrukcję, którą niebawem zaczynają stale stosować, jako regułę i zwyczaj, wszyscy posłowie. W ten sposób, faktycznie przestał parlament istnieć. Machina nie funkcjonowała; trzeba było na jej miejsce znaleźć coś innego.

Chcąc zapobiec wszelkiej pracy pożytecznej, posłowie niemieccy wygłaszali nie kończące się mowy, trybunę zajmując godzinami. Jeden z nich, bijąc wszelkie rekordy, wytrwał na trybunie szesnaście godzin bez przerwy! Wspaniały ten dowód wytrwałości uczynił go odrazu sławnym. Był wielkim zwycięzcą krasomówczego „maratonu”.

Gdy jednak parlament jest w sytuacji tego rodzaju, traci wszelki autorytet i zaufanie, przestaje istnieć jako zgromadzenie reprezentacyjne. Rząd konstytucyjny jest praktycznie zniesiony.

Najsmutniejsze dla Austrii było to, że rezultat ten nie był dziełem ani Czechów ani Włochów, ale Niemców.

Przedstawiciele innych narodowości poszli później za tym przykładem. Również utrudniali obrady, przemawiając bez końca. Niebawem posunęli się jeszcze dalej, gdyż zwalczali się

już nie mowami, lecz bili się pięściami i kopali się. Sala posiedzeń przeobraziła się w arenę bokserską. Policja ciągle musiała interweniować celem rozdzielenia walczących. Te sceny bokserskie były właściwie z góry uplanowaną komedią, przemącaną dla galerii, zwłaszcza dla wyborców. Przeciwnicy, którzy okładali się kulakami, po bijatyce wychodzili razem, trzymając się pod ręce i szli na kielbasę i piwo.

Gdy parlament w ten sposób sam się pomniejszył, zdyskwalifikował; rząd zastosował pewien stary paragraf z pierwszej konstytucji, nadanej przed Kompromisem; pozwalał on cesarzowi powzięcie według własnego uznania koniecznych decyzji w nagłych wypadkach. Był to ów słynny paragraf 14, z którego korzystano tak szeroko i dzięki któremu, nawet po wojnie światowej, rząd mógł uzupełniać niedociągnięcia parlamentu.

Cesarz, z pomocą tego paliatywu, długi czas rządził wyłącznie drogą dekretów. Stał się znów, przynajmniej w praktyce, władcą absolutnym. Wytworzyła się sytuacja paradoksalna: parlament zbierał się jakby po to wyłącznie, by co pewien czas na sesji zwyczajnej, stwierdzić swą bezsilność.

Nie wykonywał żadnych prac. Przywódcy stronnictw ograniczali się do odwiedzania ministrów, ażeby uzyskać od nich pewne zarządzenia administracyjne, lub prosić o wyświadczenie jakiejś przysługi stronnictwu lub wyborcom. Powstały między nimi targi, przy których nie obeszło się bez przekupstwa.

Cesarz, przyzwyczajony do rządzenia drogą dekretów, przekonywa się szybko, że daje mu to wiele korzyści. Doskonale więc obchodził się bez parlamentu.

Zgodził się na ten system jedynie z konieczności, ze względu na Węgry. Ale był zadowolony, że praktyka wykazała,

iz rząd parlamentarny, jeśli ostatecznie jest możliwy na Węgrzech, nie da się utrzymać w Austrii. A że kraj musi żyć, będzie żył bez parlamentu.

Tego zdania byli monarcha i jego doradcy, ale poddani sądzili inaczej. Poszczególne narodowości: Czesi, południowi Słowianie, Włosi i nawet Niemcy — czuli, że jest coraz gorzej i że dłużej tak być nie może. Pozatem oswoili się — co gorsza — z myślą, iż rada na bólczki, jakiej nie można było znaleźć wewnątrz, musi przyjść z zewnątrz; to znaczy, że musi nastąpić jakieś przesilenie czy wojna, coś, co zmieniłoby podstawy tego państwa archaicznego, będącego w Europie paradoksem, anachronizmem — podobnie, jak długi czas była nim Turcja.



Co do Węgier, miały one starsze tradycje parlamentarne, niż Austria. System konstytucyjny działał tam z mniejszymi trudnościami. Przez długi czas kierował nim Koloman Tisza, polityk zręczny i energiczny, który potrafił jak nikt inny obchodzić się z posłami i zjednywać ich dla swych celów politycznych.

Był to ojciec słynnego Stefana Tiszy, który odegrał później bardzo ważną rolę w parlamencie węgierskim; początkowo przeciwny wojnie, co świadczy o jego inteligencji, dał się potem łatwo w nią wciągnąć; nieszczęściem dla Europy, a zwłaszcza jego kraju — szybko zmienił zdanie.

Tiszowie, wielcy obszarnicy, niezmiernie bogaci, są typowymi przedstawicielami madziarskiego kalwinizmu; dumni, uparci, pewni siebie, mieli energię i charakter. Śmierć Stefana Tiszy, zamordowanego po wojnie, nie była pozbawiona wielkości.

Koloman Tisza użył całego swego wpływu, ażeby utrzymać zadowolające stosunki pomiędzy obiema częściami monarchii. Zobowiązał się wobec cesarza szanować warunki Kompromisu. Dotrzymał obietnicy. Ale, w miarę przedłużania się jego rządów, coraz większe znaczenie zyskiwali zwolennicy niezawisłych Węgier związanych z Austrią jedynie „osobistymi węzłami” t. zn. osobą wspólnego monarchy.

W r. 1894 wrócił do kraju Franciszek Kossuth, syn wielkiego patrioty węgierskiego; zgotowano mu entuzjastyczne przyjęcie. Samo jego nazwisko starczyło do wzmocnienia stronnictwa niepodległościowego.

Parlament węgierski starał się odtąd rozluźnić stopniowo węzły, łączące go z Austrią. Wysiłki jego rozszerzyły się na wszystkie działy wspólnej administracji: finanse, banki, handel, granice celne, a zwłaszcza na wojsko.

Usiłowania te były szczególnie nie mile cesarzowi w sprawach, dotyczących armii. Franciszek-Józef uważał się za wodza naczelnego. Armię uważał za swoje dobro, swoją rzecz. Nie pozwalał politykom mieszać się w jej sprawy; chciał za wszelką cenę utrzymać jej jedność, bez której straciłaby swą siłę istotną. Nic bardziej mu nie leżało na sercu.

Węgrzy pragnęli jaknajszerszego rozwoju „Honwedu”, ich armii narodowej. Cesarz gotów był przejść na pewne ustępstwa. Ale żądania ich nie kończyły się na tym. Chcieli nawet we „wspólnej armii” wprowadzić rozdział wyraźny między pułkami węgierskimi a austriackimi, co naruszyłoby jednolitość siły wojskowej.

Rozpoczęła się prawdziwa walka. Franciszek-Józef, chcąc oprzeć się Węgrom, znalazł świetną broń; zagroził, że zaprowadzi na Węgrzech powszechne głosowanie. Gdyby ten zamiar został urzeczywistniony, element węgierski, który liczeb-

nie reprezentował zaledwie połowę głosujących, straciłby przewagę.

Był to środek niezawodny, zmuszający Węgrów do zmniejszenia swych żądań. Jak zwykle, sprawę załatwiono kompromisowo. Austro-Węgry były klasycznym państwem kompromisów.

ROZDZIAŁ VI.

Cesarz i jego następca. — Człowiek i mieszkanie.

Gdy człowiek, dla którego nie istnieją trudności pieniężne, urządza sobie mieszkanie według własnego upodobania, to jest ono odzwierciedlaniem zasadniczych cech jego posiadacza.

Nie można utworzyć sobie właściwego pojęcia o arcyksięciu Franciszku-Ferdynandzie, austro-węgierskim następcy tronu, którego zamordowanie w Sarajewie stało się przyczyną, a raczej pretekstem wojny światowej, jeśli się nie zwiedziło zamku w Konopiszcie, gdzie Franciszek-Ferdynand spędził większą część swego życia.

W podgórskiej okolicy o kilkadziesiąt kilometrów od Pragi czeskiej w dużym parku, wznosi się okazały, piękny zamek wspaniale położony, z którego roztacza się widok cudowny, lecz którego front i dach zostały zmodernizowane i zepsute czymś złym gustem. Inicjatorem tego niefortunnego odnowienia był Franciszek-Ferdynand, który posiadłość tę nabył za kilka milionów guldenów od jednego z książąt Lobkowiczów. Było to w r. 1877, zanim jeszcze Franciszek-Ferdynand się ożenił.

Zwiedzenie tego zamku, urządzonego według projektu

samego arcyksięcia, jest niezwykle pouczające. Z psychologicznego punktu widzenia jest to rewelacyjny dokument.

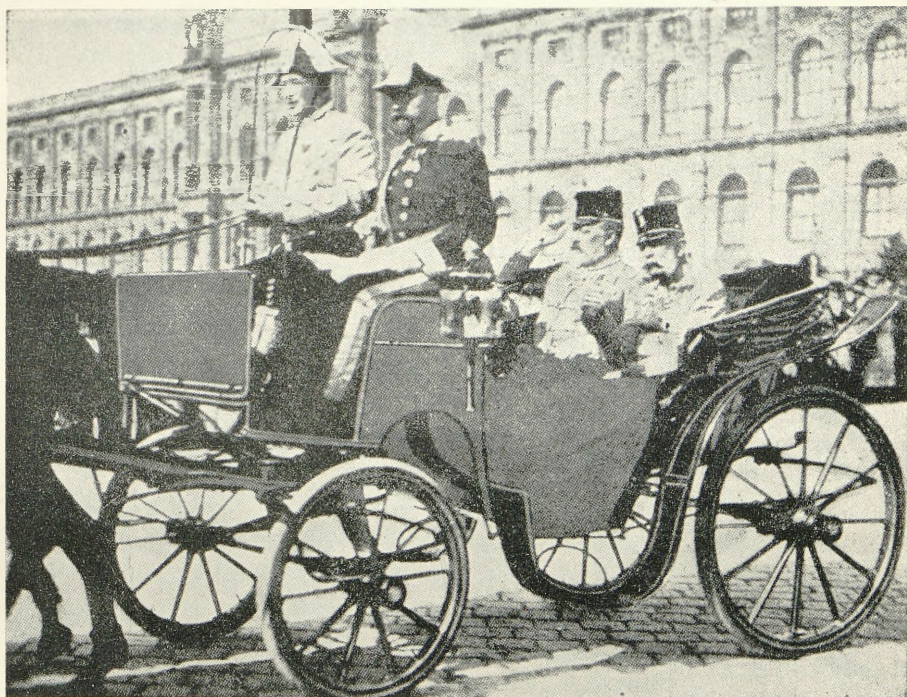
Arcyksiążę był namiętym myśliwym. Ale polowanie pociągało go nie jako odprężenie, nie jako zdrowy, rozkoszny wypoczynek na łonie przyrody; uważał je za środek zaspokojenia swej nienasyconej żądzy mordy i destrukcji.

Był to dominujący rys jego charakteru. Wszystkie ściany wewnętrzne, przepierzenia, przedpokoje, korytarze, schody — były pokryte, wytapetowane, najrozmaitszymi zdobyczami jego rzezi: dzikami, jeleniami, sarnami, gienzami, różnymi ptakami i t. d. Było tam tysiące sztuk, zaopatrzonych w etykiety, z dokładnie oznaczoną datą. To nie tylko przytłacza umysł, ale działa na widza odstraszaingly. Człowiek, który przez całe życie opętany był taką namiętnością, nie mógł być normalny. Był zaledwie ludzką istotą.

Wróciwszy kiedyś z polowania, po wielkiej już rzezi grubej zwierzyny i ptactwa, arcyksiążę ujrzał nagle młodzieńkie jelenię, zaledwie trzymające się na nogach, wystraszone przez naganiaczy. Franciszek-Ferdynand wydobyl nóż, rzucił się na zwierzę i zarżnął je w oczach wszystkich gości...

Ta potrzeba, rozkosz, niszczenia, zdradzają skłonności sadystyczne, o których świadczy też dziwne zamięłowanie do narzędzi tortur, których zbiór przechowywał starannie, chciałoby się niemal powiedzieć — z nabożeństwem, w jednej ze starych wież swego zamku. Znajdowały się tam pomysłowe i barbarzyńskie narzędzia, jakie wymyślano w ciągu wieków, ażeby z wyrafinowaniem okrucieństwem zadawać ludziom ból.

Zastanawiające jest, co skłoniło arcyksięcia do przechowywania tego okropnego zbioru w domu, w którym mieszkał z żoną i z dziećmi. W jakim celu łączył wrażenia codziennego życia z tymi okrutnymi przedmiotami, przypominającymi



Franciszek Józef i Edward VII (1903)

cierpienia i śmierć? Jakie wpływy dalekie, sięgające wielu stuleci, jakie cechy chorobliwe, odziedziczone po przodkach hiszpańskich i włoskich, objawiały się u niego w ten sposób?

W zamku jego uderza banalność, ubóstwo, odrażająca niemal brzydota urządzenia i umeblowania. Pan domu nie tylko nie ma gustu, lecz nie troszczy się wcale o jako takie piękno.

A przecież był to jeden z najpotężniejszych i najbogatszych książąt na świecie. Jako przypuszczalny następca tronu wielkiego państwa, niezmiernie bogaty (odziedziczył olbrzymi majątek rodziny d'Este), mógł zgromadzić wokół siebie najlepszych architektów, malarzy, rzeźbiarzy ówczesnych, jak to niegdyś czynili książęta i królowie.

Ta obojętność i niedbałość w sprawach artystycznych ujawnia się zwłaszcza w kaplicy zamkowej, w której arcyksiążę, bardzo pobożny, codziennie rano słuchał mszy. Poza kilkoma antykami, pochodzącymi ze starych kościołów, wszystko z tej kaplicy mogłoby być kupione w kramikach w pobliżu kościoła Saint-Sulpice.

Jedyne pokoje, mogące wzbudzić pewne zainteresowanie, znajdowały się w dawnej części zamku, która pozostała w stanie, w jakim była przed przybyciem Franciszka-Ferdynanda.

Ze starych tych sal z jedwabnymi obiciami, starymi obrazami w ramach rzeźbionych i czcigodnymi meblami — tchnie spokój. Wchodząc tam, doznaje się radosnego, pełnego ulgi uczucia.

W długiej sali w suterynie, na równym poziomie z wielkim, pięknym tarasem, zgromadził arcyksiążę zbiór obrazów i rzeźb, przedstawiających św. Jerzego. Zbiór ten a raczej sklep ze starzyzną obejmował kilka tysięcy przedmiotów, przeważnie niesłychanie brzydkich, bezwartościowych, nieciekawych, chyba tylko tyle, że w oczach jego właściciela re-

prezentował rysy Świętego, uważanego za patrona zabijaczy.

W wielkim gabinecie, poza kilkoma starymi wykazami stopni wojskowych, nie było ani jednej książki. Widocznie, pana domu nie dręczą żadne sprawy ducha.

W pewnej odległości od zamku rozciągał się ładny ogród — z wieloma krzakami róż, basenami, wodotryskami; przypomina ogrody włoskie.

Następca tronu spędzał w Konopiszcie kilka miesięcy w roku, w czasie polowań; czuł się tam najlepiej. Oczywiście, polował codziennie; przyjmował niewielu gości; mało zresztą miał przyjaciół.

W ostatnich latach przed śmiercią, zimą i wiosną jechał na kilka tygodni na ładną, małą wyspę Brioni, w pobliżu Poli, którą urządził pewien inteligentny hotelarz.

Jakkolwiek był dziedzicem korony, bywał w stolicy możliwie rzadko i krótko. Rzadko kiedy mieszkał w pałacu belwederskim, który był jego oficjalną rezydencją.

Nie był to oczywiście normalny tryb życia dla człowieka, mającego obiać kiedyś rządy monarchią. Dziwne to, paradoksalne niemal życie było bezpośrednim i nieuniknionym następstwem morganatycznego małżeństwa Franciszka-Ferdynanda.

Mezaliani arcyksięcia.

Staremu cesarzowi, który w swej rodzinie miał tyle tragedii, pod koniec panowania przeznaczone było cierpienie z powodu niebezpiecznego dla korony dramatu, a mianowicie jawnego, oficjalnego mezalianisu następcy tronu, Franciszka-Ferdynanda.

Po śmierci Rudolfa, prawnym następcą stawał się drugi brat cesarza, Karol Ludwik. Ale pomijając już, że był w tym samym niemal wieku co Franciszek-Józef, było rzeczą znaną powszechnie, że to człowiek bardzo ograniczony, niezdolny do panowania.

Wobec tego, automatycznie, następstwo przeszło na jego starszego syna, arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda, urodzonego w grudniu r. 1863, z drugiego małżeństwa jego ojca z księżniczką Bourbon-Sycylii. Był dziedzicem ostatniego z książąt modenńskich, którego nosił nazwisko Este.

Po kądzieli pochodził od Ferdynanda IV, słynnego króla Bomba, znanego z tchórzostwa i okrucieństwa; największą jego przyjemnością było patrzeć, jak przykuwano łańcuchy do nóg jego ministrów, gdy ich skazywał na galery. Niektóre rysy charakteru Franciszka-Ferdynanda stają się zrozumiałe wobec tego pokrewieństwa.

Arcyksiążę, cierpiąc w dzieciństwie i młodości na płuca, przypuszczał, iż jest skazany na przedwczesną śmierć, co pogłębiło jeszcze jego ponure usposobienie. Uratował się dzięki pielęgnowaniu, oszczędzaniu się i surowej dyscyplinie, jaką ustawicznie wobec siebie stosował. Z tego okresu pozostała mu bolesna gorycz, pogarda i niemal nienawiść do ludzkości. Wszędzie widział egoizm i niewdzięczność ludzką. Widział, iż jego przyjaciele i otoczenie odwracają się od niego, sądząc, że niebawem umrze. Nigdy nie mógł o tym zapomnieć. Zawsze sądził ludzi według ówczesnego ich zachowania wobec niego.

Instynktownie nie ufał im. Pewnego dnia powiedział jednemu ze swych najlepszych przyjaciół, Konradowi von Hertzendorf: — Widzę w każdym człowieku, do którego się po raz pierwszy zbliżam, zbrodniarza. I stopniowo dopiero zaczynam wyrabiać sobie lepszą opinię.

Ten wróg ludzkości nie wydawał się odpowiednio przygotowanym do wykonywania władzy najwyższej. Jak może człowiek pozyskać sobie zaufanie lub miłość, jeśli sam do nikogo nie ma zaufania i nikogo nie kocha?

Franciszek Ferdynand był surowy, oschły, mściwy i pod wieloma względami zły. W stosunkach z współpracownikami, otoczeniem i personelem był trudny. W Konopiszcie pozostawił okropne wspomnienia. Obchodził się niezwykle surowo z dzierżawcami i łowczymi. Kłusownictwo na terenach, będących jego własnością, stanowiło w jego oczach nie przewinienie, lecz zbrodnię.

Ponieważ był niestały i bardzo często zmieniał zdanie, zdarzało się często, że nagle przestawał darzyć zaufaniem któregoś ze swych podwładnych. Poprzednie zasługi tego podwładnego odtąd już nie istniały.

Gwałtowny i porywczy, dostawał niekiedy napadów wściekłości, graniczącej — jak zapewniano — z szaleństwem. Istnieje na to wiele dowodów. Zastanawiano się nawet, czy arcyksiążę nie jest obłąkany. Twierdzono, iż w związku z chorobą, jakiej się nabawił w młodości, gdy w celach leczniczych podróżował po Egipcie, ma zaatakowany rdzeń mózgowy. Przypuszczenie to jednak nie jest oparte na żadnych dowodach. W każdym bądź razie Franciszek Ferdynand miał ze swą żoną troje silnych i zdrowych dzieci.

Ale jego gwałtowność i porywczokość, jakoteż nierówność umysłu i charakteru, nie ulegają wątpliwości. U takiego człowieka, skłonnego do samotności, małżeństwo morganatyczne mogło tylko uwydatnić tę cechę, fatalną dla naczelnika państwa, który powinien mieć wrodzoną wprost towarzyskość i umieć zyskiwać sobie przyjaciół.

Należy przypuszczać, że te poważne braki złagodzone by-

ły przez pewne cenne właściwości. Arcyksiążę miał inteligencję bystrzejszą, niż cesarz. Namiętnie zajmował się polityką, a niektórym jego pojęciom w tej dziedzinie nie brak słuszności a nawet głębi.

Zdawał sobie sprawę z niedomagań, na jakie cierpiał Austro-Węgry, i pragnął je z nich wyleczyć. Nie był biurokratą, różniąc się i pod tym względem od swego stryja. Starał się patrzeć trzeźwo na rzeczy bez uprzedzeń i przesądów.

Niestety, ciemne strony jego psychiki, nagłe zmiany humoru, porywczosć i drażliwość psuły te zalety i sprawiały, iż każdy niemal kto się doń zbliżył, czuł do niego antypatię, a często nawet wstręt.

Są ludzie, którzy mają dar zjednywania sobie miłości; on miał dar wzbudzania nienawiści.



Stan zdrowia nie pozwalał mu ożenić się wcześniej, jak to zazwyczaj czynią książęta, zwłaszcza gdy mają odziedziczyć tron. Jest to dla nich korzystne, a zarazem niedogodne; korzystne ze względów politycznych, a niedogodne ze względów osobistych. Nie wybierają narzeczonej, lecz muszą godzić się na tę, którą ktoś dla nich wybrał. Jeśli racja stanu dobrze na tym wychodzi, dzieje się to jednak często ze szkodą dla szczęścia osobistego.

Franciszek Ferdynand miał już trzydzieści kilka lat, gdy uważał się za dostatecznie wyleczonego, ażeby pomyśleć o ożenku.

Czym było właściwie jego życie miłosne, zanim się ożenił? Podobno miał wiele przygód, lecz żadna nie miała większego znaczenia — do chwili, gdy spotkał kobietę, która miała za-
ważyć na jego życiu.

Był opanowany pragnieniem energicznego leczenia się i odzyskania zdrowia za wszelką cenę. Skryta jego natura nie usposobiła go, jak się zdaje, do przelotnych miłostek. Należał najprawdopodobniej do mężczyzn, którzy umieją być wierni jednej kobiecie.

U ciotki swej, arcyksiężnej Izabelli, poznał pannę do towarzystwa, hrabiankę Chotek, pochodzącą z bardzo starej i bardzo biednej czeskiej rodziny szlacheckiej, bardziej jeszcze biednej, niż arystokratycznej.

Jako córka dyplomaty austro-węgierskiego, który miał dużo dzieci, ale nie posiadał majątku, była szczęśliwa, iż dostała się do arcyksiężnej, mimo że Izabella, osoba skąpa, kazała jej wykonywać rozmaite czynności, począwszy od funkcji damy dworu, skończywszy na obowiązkach guwernantki.

Wielka energia i siła woli, jakie później okazała hrabianka, pozwala przypuszczać, że to ona, a nie arcyksiążę, nawiązała ten stosunek miłosny.

Zresztą, często tak bywa w małżeństwach — bez względu na to, czy są z prawej czy z lewej ręki, jakkolwiek mężczyźni wyobrażają sobie, iż jest akurat przeciwnie. Jest to z ich strony złudzenie.

Dla biednej panny do towarzystwa, która nie miała innych widoków jak być popychadłem swej chlebobawczynie, romans z następcą tronu miał oczywiście ogromny urok.

W oczach ambitnej kobiety — a hrabianka była nią niewątpliwie — przygoda ta otwierała zadziwiające perspektywy i nieograniczone niemal możliwości.

Mając do czynienia z na wpół normalnym człowiekiem, mało stykającym się z ludźmi, ponurym, niespokojnym, nieufnym, zjednała go sobie, oswoiła go, aż wreszcie opanowała go zupełnie.

Nie była piękną; była dobrze zbudowana, miała pewną dystynkcję, wytworność, „rasę”.

Ich stosunek miłosny trwał kilka lat, lecz byli tak ostrożni, zachowywali go w takiej tajemnicy, że nikt niczego się nie domyślał, począwszy od arcyksiężnej, w której pałacu wszystko to się odbywało.

Izabella, mając kilka córek, przypuszczała, że arcyksiążę bywa u niej dla którejś z nich, co ją cieszyło i napawało dumą.

Ale pewnego dnia, przypadkiem, odkryła straszną prawdę, zresztą — skutek nieostrożności, jaką często popełniają kochankowie. Franciszek-Ferdynand pozostawił na korcie tenisowym zegarek, który jeden ze służących przyniósł arcyksiężnie. Ujrawszy przyczepiony do łańcuszka medalion, nie mogła oprzeć się pokusie i otworzyła go. Iście kobieca ciekawość, za którą Izabella poniosła karę!

W medalionie, jak słusznie się spodziewała, umieszczona była fotografia; niestety, nie była to podobizna żadnej z jej córek, lecz jej damy dworu! Przejęła zgrozą i obrażona, wpadła w straszny gniew. Zawezwawszy natychmiast winowajczynię, zaczęła badać ją w upokorzący sposób, nie wahając się konfrontować jej ze służbą, ażeby wyjaśnić sprawę, dowiedzieć się, w jaki sposób się komunikowano, przesyłano sobie listy i spotykano się potajemnie. W końcu wyrzuciła hrabiankę z największym rozgłosem.

Trudno było postąpić bardziej niezręcznie i niebezpiecznie, aniżeli wywołując ten skandal.

Znając arcyksięcia, nie trudno było się domyślić, jak na to zareaguje. Franciszek-Ferdynand poczytywał sobie za obowiązek wystąpić w obronie hrabianki, która z jego winy została skompromitowana, nieomal zniesławiona. Czy nie powinien naprawić krzywdy i ożenić się z nią? Powziąwszy to po-

stanowienie z właściwym sobie uporem, nie chciał już odeń odstąpić.

Arcyksiężna Izabella, zamierzając surowo ukarać winowajczynię, sama przyczyniła się do jej odwetu i rehabilitacji, a mianowicie — do jej ślubu z następcą tronu. I to właśnie zarzucano później arcyksiężnie, zupełnie słusznie zresztą.

Wydarzenia potoczyły się z nieubłaganą logiką.

Franciszek-Ferdynand był i na zawsze już pozostał w ręku hrabianki Chotek. Czynił to, co ona chciała. Zdecydowany na ślub z nią, nie zraził się przeszkodami, jakie mu stawiano, i nie zważał na nic i na nikogo.

Zwrócił się o zezwolenie na ten związek do cesarza, który jako głowa rodu odmówił z oburzeniem. Oświadczył, że przepisy, obowiązujące członków domu cesarskiego, sprzeciwiają się związkowi z kobietą, która przez swe urodzenie nie jest godną (*efenbürtig*) zawarcia tego rodzaju małżeństwa. Reguła ta jest formalna i nie dopuszcza wyjątków.

I oto wybucha walka zacięta między cesarzem a arcyksięciem. Który z nich ustąpi? Z pewnością nie arcyksiążę.

Napróżno cesarz czynił co mógł, użył wszystkich wpływów, zwłaszcza wpływów księży, którzy zwracali się zarówno do arcyksięcia jak do panny Chotek. Biskup wiedeński, Mgr. Marschall, nalega na Franciszka-Ferdynanda, ażeby go odwieść od jego zamiarów.

Daremny trud!

Ale dowiedziała się o tym hrabianka i, będąc niesłychanie mściwa, postarała się następnie, ażeby ów prałat nie został arcybiskupem.

Po tych wyczerpujących walkach, które trwały kilka lat, stary cesarz — miał już wówczas siedemdziesiątkę — zrezygnował i udzielił swego zezwolenia, lecz pod bardzo ostrymi warunkami.

Miano mu ogromnie za złe tę słabość, która dla monarchii stała się przyczyną wielu nieszczęść. Wyrzuty te były słuszne. Franciszek-Józef powinien był odmówić, chociażby ze względu na przyszłość monarchii.

Chcąc jednak być sprawiedliwym, należy sobie uzmysłowić tragiczne warunki, w jakich cesarz długi czas się bronił. Jeśli kiedykolwiek przy popełnianiu jakiegoś błędu istniały okoliczności łagodzące, to niewątpliwie w tym wypadku.

Gdyby Franciszek-Józef dalej się upierał, arcyksiążę zrezygnowałby raczej ze wszystkich swoich tytułów i praw, aniżeli z kobiety, w której był tak zakochany. W razie zaś tego zrzeczenia się, następcą tronu zostałby automatycznie brat Franciszka-Ferdynanda, arcyksiążę Otto.

Kim był Otto? Uroczym, miłym człowiekiem, ale największym hulaką w państwie. Głośne jego skandale były pośmiewiskiem stolicy. I człowiek o takiej opinii, publicznie zniesławiony, miał zostać cesarzem? Jakże Franciszek-Józef mógł się z tym pogodzić, skoro najstarszy syn Ottona, przyszły cesarz Karol, miał wówczas dopiero trzynaście lat?

Nie można zatem winić tak bardzo cesarza, że dał sobie wydrzeć to przyzwolenie.

Zrzeczenie się Franciszka-Ferdynanda

Franciszek-Józef popełnił ten błąd, będąc w sytuacji bez wyjścia i przez całe życie doznawał z tego powodu wyrzutów.

Ale, jakby chcąc się zemścić na arcyksięciu za swą własną słabość, zmusił go niebawem do najcięższej ofiary.

28-go czerwca 1900 roku, czyli dokładnie czternaście lat przed zamordowaniem następcy tronu, w jednej z sal Hof-

burgu, w murach na których ciężą wieki, odbyła się przykra, ponura ceremonia, która na wszystkich obecnych wywarła bolesne wrażenie.

Cesarz, stary, rozdrażniony, polecił arcyksięciu odczytać na głos, wobec zebranych dostojników, ścisłą i szczegółową formułę zrzeczenia się.

Ton jest rozkazujący, słowa nieugięte. Arcyksiążę, po wyliczeniu wszystkich swych tytułów, oświadczał: „Przyznajemy, że nasze małżeństwo z hrabianką Chotek nie jest małżeństwem zawartym według reguł (ebenbürtig), ale morgana-tycznym, i za takie też powinno być uznanem dziś i po wszystkie czasy; w następstwie czego żona nasza ani dzieci, mogące się zrodzić z tego małżeństwa, ani ich potomkowie, nie będą mieli, ani nie będą mogli żądać praw, tytułów, herbów i przywilejów, jakie przysługują prawowitym wdowom oraz potomstwu arcyksiążąt, zrodzonemu z małżeństw prawowitych.”

Słowa te, pełne protokółarnej surowości, padły jak nóż gilotyny. Przecięły w zarodku wszelkie nadzieje, jakie arcyksiążę i jego żona, w myśl prawa dynastycznego traktowana niby nałożnica, mogli jeszcze żywić.

Oświadczenie kilkakrotnie podkreślało zobowiązania i przysięgi, dotyczące korony austriackiej i węgierskiej, ważne po wszystkie czasy i to nie tylko odnośnie do dzieci arcyksięcia, ale i do wnuków.

Jakie znaczenie mają w praktyce tego rodzaju zrzeczenia? Historia dowodzi, że najczęściej nie bywają one dotrzymywane. Im są bezwzględniejsze, tym większe jest prawdopodobieństwo, iż nie zostaną wykonane, gdy nie stanie władcy, który je wymógł. Czemu bowiem przyszły cesarz nie miałby znieść tego, co poprzedni cesarz nakazał?

Franciszek Ferdynand podpisał ten akt zrzeczenia się pod

przymusem. Wobec tego uważał go w swym sumieniu za prawnie i moralnie nieważny. Jego ambitna żona, która wywierała na niego przemożny wpływ, utwierdzała go oczywiście w tym przekonaniu. Zresztą, w otoczeniu jego też nie brakło ludzi, którzy, chcąc pozyskać jego łaski, twierdzili, że nie miał on prawa zobowiązywać się do czegokolwiek w imieniu istot jeszcze nie urodzonych. Utrzymywali, że zrzeczenie może wiązać jego, ale nie jego potomstwo.

Znacznie większa trudność, mogąca pociągnąć za sobą poważne następstwa, nasuwała się odnośnie do Węgier.

Konstytucja węgierska nie uznawała małżeństwa morganatycznego. Żona króla była królową bez względu na swe pochodzenie. Biorąc pod uwagę dyskusje, kłótnie i ciągle zatargi pomiędzy obydwoma częściami monarchii, nie trudno zrozumieć, jakie konsekwencje mogliby Węgrzy, gdyby chcieli, wyciągnąć z tego faktu. Uzyskali broń, z pomocą której mogli wywierać ogromny wpływ i wszczynać najrozmaitsze targi. Do istniejących trudności przybyła więc jeszcze jedna, i to bardzo poważna.

* *

Zaledwie odbył się ślub, samo już istnienie morganatycznej małżonki następcy tronu nastroczało ceremoniałowi dworskiemu — a wiadomo, jakie w tym państwie miał on znaczenie — szereg zagadnień, niemożliwych do rozwiązania w praktyce i z których każde było źródłem ciągłych sporów i uraz.

Według niezłomnych przepisów etykiety, których nieubłagany strażnikiem był wielki mistrz ceremonii, książę Montenuovo, potomek Marii Ludwiki i Neipperga, z całej duszy nienawidzący Franciszka Ferdynanda, a zwłaszcza jego żony, — małżonka następcy tronu, której tytuł po ślubie brzmiał: księżna Hohenberg, musiała podczas wszystkich uroczystości

króczyć na końcu orszaku, po ostatnim i najmłodszym arcyksięciu!

Co za upokorzenie dla ambitnej kobiety, która wywierała tak wielki wpływ na swego męża! Wszystko ciągle jej przypominało jej dwuznaczną sytuację, — począwszy od miejsc, jakie jej wyznaczano na obiadach i przyjęciach, a skończywszy na kształcie i barwie powozów, jakimi mieli prawo jeździć jedynie członkowie rodziny cesarskiej, do której jej nie zaliczano.

Ten szereg drobnych lecz nieustannych udręczeń obrzydził jej pobyt w Wiedniu. Dlatego też starała się go skracać o ile możliwości. Za każdym razem wyjeżdżała zdenerwowana, wściekła. Arcyksiążę, który nie potrafił się obejść bez żony, również znienawidził stolicę.

Wszystkie wysiłki jego żony zmierzały odtąd do stopniowego usuwania trudności, jakie nastęrczała etykieta. Życie jej było długim i powolnym wspinaniem się. Musiała wdrapywać się po kolei na każdy szczebel swej kariery.

Cesarz, mimo że jej nie lubił, nadał jej tytuł księżnej Hohenberg. Usiłowała polepszyć swą pozycję towarzyską, zwłaszcza na dworze, dostać się na drogę wiodącą do zaszczytów. W ambasadach, gdzie przepisy nie są przestrzegane tak ściśle, spotykała się z ważnymi osobistościami, z którymi gdzieindziej trudno byłoby jej się widywać, i zasiadała na pierwszym miejscu.

Oczywiście, tego rodzaju wspinanie się nie obyło się bez wielu incydentów. Przeważnie dochodziły one do wiadomości cesarza, który w końcu się rozgniewał — mając tego dość — i znienawidził zarówno arcyksięcia, jak jego żonę. Stosunki monarchy i jego następcy popsuły się.

Franciszek Józef, który — jak tego dowodzi jego zachowanie

wanie wobec Rudolfa — miał usposobienie takie, że skupiał w swych rękach całą władzę, bez reszty, nie byłby prawdopodobnie pozwolił Franciszkowi-Ferdynandowi odgrywać wielkiej roli w rządzie. Po małżeństwie morganatycznym chęć trzymania arcyksięcia na uboczu wzrosła jeszcze bardziej. Cesarz ograniczał się do powierzania mu od czasu do czasu misji w charakterze wyłącznie reprezentacyjnym.

Sytuacja ta trwała kilka lat. Po roku 1905 nastąpiła wyraźna zmiana, spowodowana energiczną interwencją cesarza niemieckiego.

Gdy po wylądowaniu Wilhelma II w Tangerze stosunki niemiecko-francuskie stały się naprężone, kierownicze osobistości cywilne i wojskowe w Niemczech zaczęły rozwiązywać kwestię, jakiej pomocy mogłaby im udzielić, w razie wojny europejskiej, armia austro-węgierska. Siła wojskowa Austrii wydała im się niewystarczająca.

Szef austriackiego sztabu głównego Beck, stary generał, niemal rówieśnik cesarza, człowiek przeciętny, rutynista, nie był — zdaniem Niemców — człowiekiem do przeprowadzenia reform niezbędnych.

Wilhelm II był w świetnych stosunkach z Franciszkiem-Ferdynandem. Oddawał wielkie honory księżnej von Hohenberg, czując, iż jest to najlepszy sposób pozyskania sobie przyjaciela jej męża. Wstawił się za tym osobiście u Franciszka-Józefa, ażeby pozwolił następcy tronu wywierać większy wpływ na armię, — aby miał on prawo zajęcia się wszystkim, co dotyczy wojska. Franciszek-Józef zgodził się na to ze względu na swój wiek: miał już przeszło siedemdziesiąt pięć lat.

Franciszek Ferdynand stał się więc jednym z najwyższych szefów armii; cesarz nie chciał jednak powierzyć mu całego kierownictwa. Powstały pomiędzy nimi najrozmaitsze zatargi.

Następca tronu — przedsiębiorczy, porywczy, wydawał zarządzenia, których cesarz najczęściej nie pochwalał, będąc przeciwnikiem wszelkich zmian. Było to przeciwieństwo dwóch temperamentów, dwóch systemów.

Franciszek Ferdynand, pragnąc odrazu zaprowadzić nowy ład, zaczął od zwolnienia personelu sztabu głównego. Na miejsce generała Becka, wroga wszelkich nowości, zamianował Konrada von Hoetzendorfa, ożywionego zupełnie innym duchem i który rozwijał szeroką działalność, nie ograniczającą się do spraw wojskowych; zajął się także polityką.

Gdy w r. 1908 rozpoczęło się przesilenie bałkańskie, Hoetzendorf pragnął tylko jednego: natychmiastowej mobilizacji. Między r. 1908 a r. 1914 zarządził w ten sposób z dziesięć mobilizacji, które tyle kosztowały, że nadszarpnęły finanse. Przywykł stale igrać z ogniem, aż w końcu wzniecił pożar.

Kłótniwy ten człowiek był zwolennikiem wojny prewencyjnej przeciwko Włochom, a następnie przeciw Serbom.

Stary cesarz, pomimo swej słabości, zbuntował się przeciwko tej niebezpiecznej polityce. Pragnąc już tylko jednego, a mianowicie zakończenia w spokoju swego długiego panowania, zażądał dymisji Hoetzendorfa. Ale pokojowe zamiary cesarza nie odpowiadały Franciszkowi-Ferdynandowi, który nie pochwalał polityki porozumienia austro-włoskiego, jaką prowadził minister spraw zagranicznych Aerenthal. Franciszek-Józef zaś przyznawał rację Aerenthalowi. Arcyksiążę, który najpierw cieszył się z nominacji Aerenthala, później nie chciał o nim słyszeć — tak dalece, iż dowiedziawszy się o jego śmierci, wydał okrzyk radości.

Sprzecznosci, jakie panowały pomiędzy cesarzem a jego następcą występowały w sposób coraz bardziej gwałtowny.

Czego właściwie chciał Franciszek-Ferdynand? Na czym

polegała jego polityka wewnętrzna i zagraniczna? Jakkolwiek przypisywano mu różne plany i systemy, nikt, począwszy od samego arcyksięcia, nie potrafił tego dokładnie określić.

Przyczyna tego jest bardzo prosta: wszystkie te plany pozostawały w sferze marzeń, nie podejmowano żadnych prób urzeczywistnienia ich; były one zresztą oparte raczej na negacji, aniżeli na budowaniu czegokolwiek. Podstawą wszystkiego była niechęć czy nienawiść arcyksięcia do takiego czy owego państwa, tej lub owej narodowości, wchodzącej w skład cesarstwa. Nie mogło to stanowić solidnego podłoża. Poza tym jego pojęcia co chwilę się zmieniały.

Najbardziej ze wszystkich państw nienawidził Serbii. Chciał jaknajprędzej „nauczyć Serbów rozumu”, ażeby nie przyciągały południowych Słowian i Włochów, których należało raz na zawsze pokonać, jeśli pragnęło się powstrzymać ich propagandę w Tyrolu i Istrii.

Franciszek-Ferdynand myślał w młodości o sojuszu z Rosją; zrezygnował jednak z tego, widząc, że Rosja staje się sojuszniczką Francji.

Pragnął zacieśnić, o ile możliwości, węzły łączące Austrię z Niemcami. Drwił z dyplomacji austro-węgierskiej, której metody, a zwłaszcza personel, bardziej węgierski niż austriacki, był mu wysoce antypatyczny.

W polityce zaś wewnętrznej okazał się stanowczym przeciwnikiem systemu wytworzonego na mocy Kompromisu, który jego zdaniem był paradoksalny, niedorzeczny i bardzo niebezpieczny dla przyszłości monarchii. System ten przyznawał Węgrom zbyt wielki wpływ i krzywdził Czechów i Słowian południowych. Dlatego też powinien być zniknąć jaknajprędzej. Na jego miejsce projektował arcyksiążę najpierw państwo federalistyczne, na wzór Stanów Zjednoczonych. A gdy

doszedł do przekonania, że jest to trudne do urzeczywistnienia, przyszło mu na myśl, ażeby wprowadzić tryjalizm, czyli przyznać Słowianom te same wpływy, jakie mieli Węgrzy.

Czy pomysły te były możliwe do urzeczywistnienia? Bardzo wątpliwe. W chwili wprowadzenia ich w czyn zabrakłoby prawdopodobnie siły materialnej. Również i tutaj część negatywna planu była ważniejsza i wyraźniejsza, aniżeli pozytywna.

Zasadniczą cechą jego polityki była jego nienawiść do Węgrów; uczucie to górowało u niego nad wszystkimi innymi.

Jakim jednak sposobem mógł arcyksiążę pokonać Węgrów, którzy stanowili najpotężniejszy i najsilniejszy element w monarchii? Do czego by ta walka doprowadziła? Czyż sama groźba waśni wewnętrznych, mogących zakończyć się zbrojnym starciem, nie wpłatałaby Austro-Węgier w szereg komplikacyj i zaburzeń, których następstw nie można było przewidzieć?

Wielu ludzi rozsądnych zadawało sobie pytania tego rodzaju. Stąd ich niepokój i obawy, spowodowane nie tylko planami politycznymi następcy tronu, ale tym, że znali jego charakter i temperament, które zraziły doń wielu ludzi. Zdawało się, że rozmyślnie starał się on zwiększyć liczbę swych wrogów — w miarę, jak jego władza się utrwalała.

Gdy zamordowano w Sarajewie arcyksięcia i jego żonę, wielu ludzi odetchnęło z ulgą, ciesząc się niemal, gdyż uważali, iż dzięki jego śmierci uniknęli wielkiego niebezpieczeństwa, istnego koszmaru.

Należy przy tej sposobności zwrócić uwagę, iż winę za niedostateczne przestrzeganie środków ostrożności przez policję ponosi w znacznej mierze sama księżna Hohenberg; stale

polując na uroczystości, na których przysługiwało by jej prawo pokazywać się razem z mężem, namówiła arcyksięcia, ażeby w czasie manewrów oficjalnie odwiedził stolicę bośniacką. Odwiedziny te nie wchodziły w program, ani nie były przewidziane w ramach manifestacyj wyłącznie wojskowych. Urządzanie manewrów w danej chwili i w danym miejscu, gdy umysły były podniecone i namiętności narodowe rozpęta-
ne, stanowiło wielki błąd. Nieostrożność ta przeobraziła się w istne szaleństwo, gdy w ostatniej niemal chwili, bez dostatecznego przygotowania, zwłaszcza dozoru policyjnego, i bez wiedzy cesarza zadecydowano ten wjazd uroczysty.

Szczegółowy, z dokładnym podaniem czasu ułożony program tej wizyty — tak, jakby szło o cesarza, — zakomunikowano publiczności, co pozwoliło mordercom działać z matematyczną niemal precyzją.

Nie ulega wątpliwości, że księżna Hohenberg z wszystkich sił nalegała na męża, ażeby namówić go na tę uroczystość, w której miała uczestniczyć.

Okrzyk Franciszka Józefa, jakim przyjął wieść żałobną, dowodzi, iż uważał morderstwo za karę Opatrzności.

Tragedia tych dwojga ludzi i ich małżeństwa przetrwała ich śmierć. Stała się nawet jeszcze okrutniejsza. Straszny Montenuovo, niby jakiś inkwizytor, przez zemstę i nienawiść starał się możliwie zmniejszyć honory żałobne, jakie miano oddać nieszczęsnym małżonkom. Na jego rozkaz, pogrzeb był prosty, skromny i biedny. Wolano poniżyć arcyksięcia, aniżeli wywyżczyć jego żonę, obok której miał być pochowany. Franciszek-Ferdynand nie spoczywa w krypcie Kapucynów, jak inni arcyksiężęta, lecz w piwnicy jednego z jego zamków; stało się to wskutek wyrażonego przezeń życzenia, ażeby nie łączano go z żoną.

Wtedy wybuchła gwałtowna i zdawałoby się, słuszna krytyka nadmiernej surowości Montenuova. Cesarz wmieszał się bezpośrednio w ten spór. Przyznał swemu mistrzowi ceremonii zupełną słuszość. Powinshaw mu organizacji pogrzebu. Osłonił go swym autorytetem. Nic bardziej, niż ta interwencja nie zdradza jego prawdziwych uczuć dla Franciszka Ferdynanda.

ROZDZIAŁ VII.

Staczanie się w przepaść. — Niestrożność nowych kierunków.

Dokonane w r. 1908 przez Austrię przyłączenie Bośni i Hercegowiny zapoczątkowało przesilenie, które w sześć lat później miało doprowadzić do wojny i upadku monarchii austro-węgierskiej.

Odpowiedzialność za to przesilenie, za sposób, w jaki ono się zaczęło, przebiegało i zakończyło, ponosi w dużej mierze sam rząd wiedeński.

Na początku, w r. 1908, Niemcy, zamiast powstrzymać Austrię, jakby to niewątpliwie uczynił Bismarck, popełniły ten błąd, iż wcale na nią nie wpłynęły. Tym samym ponoszą Niemcy również wielką odpowiedzialność, która wzmożła się jeszcze w r. 1914. Niemcy w owej chwili nie tylko nie odwozili Austrii od jej zamiarów wojowniczych, ale ją zachęcały, co doprowadziło do katastrofy.

Z pośród austriackich czynników kierowniczych, pierwszym winowajcą był nowy minister spraw zagranicznych Aerenthal, który powziął i urzeczywistnił projekt przyłączenia Bośni i Hercegowiny, nadając tym samym swej dyplomacji charakter antyserbski i antyrosyjski.

Poza tym zawinili wojskowi, przede wszystkim generał Konrad von Hoetzendorf, szef sztabu głównego, narzucony staremu cesarzowi przez arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda.

Hoetzendorf szukał guza, przy każdej sposobności, a mobilizował nawet bez powodu część armii. Raz chciał wypowiedzieć Serbii wojnę przewencyjną, raz Włochom, po tym znowu obu tym państwom. W końcu sam wpadł w pułapkę, jaką ryzykował, — jak człowiek, który ciągle manipulując materiałami wybuchowymi, sam naraża się na to, że pewnego pięknego dnia dom jego wyleci w powietrze.

Austria bardziej potrzebowała pokoju niż jakiejkolwiek inne państwo. Miała znacznie więcej do stracenia, niżby mogła zyskać przez wojnę, klęska bowiem nie tylko pozbawiłaby ją kilku prowincyj, ale, oswobodzając poszczególne narodowości, zachwiałaby monarchią.

Jak to się stało, że cesarz, który przez tak długi czas był ostrożny i przeciwny wojnie, pozwolił swym ministrom — pomimo swych zapatrywań i szczerze pokojowych zamiarów — wciągnąć się w tak niebezpieczną, iście karkołomną politykę? Czy było to skutkiem jego słabości, starości? Czy wiek zmniejszył, a może nawet całkowicie usunął w nim wszelką możliwość oporu?

W r. 1906, na miejsce ministra spraw zagranicznych Gołuchowskiego magnata polskiego, ożenionego z Francuską, sceptyka, człowieka zobojętniałego, wroga wszelkiej inicjatywy, pragnącego jedynie utrzymać dobre stosunki z Rosją, — co zresztą dla Austrii było najważniejszym, — cesarz mianował barona Aerenthala, który poprzednio był ambasadorem austriackim w Petersburgu.

Franciszek-Ferdynand, którego wpływ wzrastał, niewąt-

pliwie przyczynił się do udzielenia Gołuchowskiemu dymisji; stale go krytykował, nienawidził go.

Aerenthal, w którego żyłach płynęła krew żydowska, był potomkiem kupca zbożowego, który osiedlił się w Czechach, dorobił się majątku na dostawach dla armii, po czym, według zwyczaju, wystarał się o szlachectwo.

Inteligentny, ruchliwy i ambitny, nowy minister pragnął upamiętnić obcięcie władzy doniosłym jakimś czynem: postanowił ożywić politykę zagraniczną monarchii. W czasie swego długoletniego pobytu w Petersburgu doszedł do przekonania, że Rosja, poważnie osłabiona wojną rosyjsko-japońską i ruchem rewolucyjnym, który był jej następstwem, jest bezsilna i nie może skutecznie sprzeciwić się polityce austro-węgierskiej. Przekonanie to tłumaczy całą jego politykę.

Zwykł być mawiać: „Mam Rosję w kieszeni”. Było to złudzenie; kieszeń jego nie odpowiadała rozmiarom olbrzymiego tego kraju.

Aerenthal, jak wielu jego rodaków, miał o ludziach i rzeczach pojęcie powierzchowne i niedokładne. Większą uwagę zwracał na pozory, aniżeli na rzeczywistość.

Zamach stanu młodoturków, który nastąpił w 1908, narzucił mu wreszcie sposobność, jakiej szukał.

W Turcji, podobnie jak w Austrii — a nawet w większym jeszcze stopniu, — doszli do głosu nowi ludzie, śmiali, przedsiębiorczy. Starzy byli ostrożniejsi, roztropniejsi i nie bez racji przeciwni zmianom. Wynik dla obu państw był jednakowy; nowe metody doprowadziły je do katastrofy.

Aerenthal i Hoetzendorf przypominają dwa ogniste, rozhukane rumaki, które nieostrożny woźnica zaprzęgał do bardzo starego, trzeszczącego i chwiejącego się wozu. Przy powolnej i ostrożnej jeździe, wóz mógłby ostatecznie utrzymać się je-

szcze; wskutek jednak galopad i wstrząsów szybko się rozleciał. Ponieważ rządy młodoturków pobudziły nacjonalizm turecki, wszyscy sąsiedzi, przyszli dziedzice „chorego człowieka”, nabrali niebawem podejrzeń.

Młodoturcy dość niezręcznie wyrazili dziwną pretensję. Żądali, ażeby do Zgromadzenia narodowego głosowała ludność takich krajów, jak na przykład Bośnia, gdzie Turcja od dawna, od ćwierć wieku, nominalnie tylko sprawowała władzę.

Ambitny Aerenthal, skwapliwie uczeplił się tego pretekstu, który jakby z nieba mu spadł. Postanowił — i nakłonił też do tej decyzji cesarza — przeciąć za jednym zamachem ostatni węzeł, teoretycznie łączący obie te prowincje z Turcją. Twierdził, że Austria, przyłączywszy je, postawi poprostu Europę wobec faktu dokonanego.

Austria jednak, prawnie ani politycznie, nie miała prawa zmieniać samowolnie stanu rzeczy, wynikającego z traktatu międzynarodowego; powinna była porozumieć się uprzednio z mocarstwami, które podpisały ten układ, a więc przede wszystkim z Rosją, rywalką Austrii i na Wschodzie.

Wielkim błędem Aerenthala, za który Franciszek-Józef również ponosi odpowiedzialność, było to, że wykonał swój plan nie tylko bez Rosji, ale nadto wbrew jej interesom.

Czemu cesarz na to pozwolił?

Jak to się stało, że Franciszek-Józef, który miał jedno tylko pragnienie: dokonać w spokoju swego panowania, wdał się w tę nieostrożną, niebezpieczną politykę, która musiała wywołać niezadowolenie i rozgoryczenie Rosji i bardziej jeszcze rozwścieczyć Serbów (zarówno w obrębie monarchii austro-węgierskiej, jak i poza jej granicami)?

Chcąc to sobie wytłumaczyć, należy pamiętać o zasadniczym rysie jego charakteru.

W głębi duszy zawsze uważał, że zajęcie obu prowincyj, wyrwanych Turcji, powinno być utrwalone i uprawnione.

Kraje jego cesarstwa były w jego oczach tym, czym liczne włości dla obszarnika. Samo posiadanie mu nie wystarczało. Pragnął formalnego prawa własności.

Ale czemu, w takim razie, czekał tak długo? Upłynęło już około trzydzieści lat od czasu gdy Austro-Węgry usadowiły się w Bośni i Hercegowinie; nie brakło na pewno sposobności, ażeby przeobrazić tę okupację w ostateczne przyłączenie.

W czasie tego długiego okresu Europa zażywała zupełnego spokoju, niczym nie zakłóconego. Stosunki Austrii z Rosją były zadowalające. Dopóki w Serbii panował król Milan, dopóty była ona zależna od Austrii. Milan, który otrzymywał od Austrii hojne zapomogi, nie byłby się nigdy odważył wystąpić przeciwko niej. Franciszek-Józef mógł zatem przyłączyć wówczas obydwie prowincje w znacznie korzystniejszych warunkach, aniżeli w roku 1908.

Rzecz jednak miała się tak: cesarz zdecydował się na to przyłączenie dlatego, że przedsiębiorczy minister zrecznie podał mu tę myśl i umiał go przekonać, iż nie pociągnie to za sobą żadnych komplikacyj, że nie przedstawia to niebezpieczeństwa. Rosja niewątpliwie zaprotestuje, lecz jest zanadto osłabiona, aby się opierać. Czyż zresztą Niemcy, mające tak potężną armię, nie będą bronić i popierać Austrii? Co do Serbii, to zdana jedynie na własne siły nie może nic uczynić i nic nie uczyni.

W ten sposób, niezręcznie i nieostrożnie, dokonano przyłączenia Bośni i Hercegowiny, zadając Rosji i Serbii cios dotkliwy i poniżający.

Franciszek-Józef, zgodziwszy się w zasadzie, pozostawił swemu ministrowi troskę o wszystkie szczegóły wykonania; wypadły one jaknajgorzej.

Izwolskij, rosyjski minister spraw zagranicznych, miał słusznie czy niesłusznie — prawdopodobnie słusznie — wrażenie, iż został w tej sprawie oszukany przez swego austriackiego partnera, wystrychnięty na dudka. Stąd jego rozdrażnienie i gniew, podzielany przez rosyjskie czynniki kierownicze. Przyłączenie Bośni i Hercegowiny wyglądało na akt przemocy, wymierzony przeciwko Rosji i Serbii. Istotnie, rządy petersburski i belgradzki ustąpiły w końcu, ale tylko przed siłą.

Ponieważ same Austro-Węgry nie były w stanie nakłonić Rosji do ustąpienia, musiały uciec się do pomocy swego sprzymierzeńca, Niemiec. Ambasador niemiecki w Petersburgu, celem przyspieszenia rozwiązania, interweniował u rządu rosyjskiego, wypowiadając pogrożki, przypominające ultimatum. Rosjanie więc poddali się, a Serbowie byli zmuszeni pójść za ich przykładem.

I oto Austria stała się dłużniczką cesarstwa niemieckiego, swego sprzymierzeńca i sąsiada, bez pomocy którego nie byłaby się wywikłała z tego przesilenia, w które tak nie w porę się zaangażowała. Zaciągnęła wobec Niemiec wielki dług. Wilhelm II, z natury niezbyt dyskretny, nie omieszkiał jej tego przypomnieć. W czasie pierwszych swych odwiedzin w Wiedniu, z wielkim hałasem wychwalał wierność Niemiec, które w „błyszczącej zbroi” stanęły u boku Austrii.

* * *

Rok 1908, w którym odbyło się to przyłączenie, był dla Franciszka-Józefa jednym z najszcześniejszych i najmilszych z ostatnich lat jego panowania.

Zdawało mu się, że nierozzerwalnie przyłączył do monarchii dwie prowincje. Była to wielka radość dla niego, gdyż dewiza jego dynastii brzmiała: „Ciągłe więcej ziemi!” Nadomiar, sukces ten przypadł akurat na sześćdziesięcioletnią rocznicę jego wstąpienia na tron.

Na cześć cesarza odbywały się wielkie uroczystości. Przez ulice stolicy przeszedł wspaniały orszak. Wszystkie dzieci ze szkół przedefilowały przed cesarzem w ciągnącym się nieskończenie pochodzie. Najbardziej jednak schlebily cesarzowi oficjalne odwiedziny cesarza niemieckiego, który przybył do Wiednia z wszystkimi panującymi książętami niemieckimi i przedstawicielami „wolnych miast”, pragnącymi złożyć hołd Franciszkowi-Józefowi.

Nic nie mogło bardziej go ucieszyć i wzruszyć. Pomimo klęski pod Sadową, nie przestał nigdy uważać się za władcę germańskiego, jakkolwiek klęska ta zerwała wszelkie węzły materialne i polityczne między Niemcami a Austrią, ostały się węzły moralne, wynikające ze wspólnoty języka, kultury i cywilizacji.

Ten pełen szacunku i uległości gest książąt niemieckich wobec władcy, którego zawsze uważali za swego seniora, napawał Franciszka Józefa słodką dumą.

Wielki obraz, znajdujący się na Wystawie wiedeńskiej w r. 1935, przedstawia historyczną scenę tego hołdu.

* * *

Bardziej jeszcze, niż wspomnianą niefortunną aneksją, Słowianie monarchii austro-węgierskiej byli wzburzeni przeciw rządowi wiedeńskiemu z powodu dwóch wielkich procesów, podczas których wyszło na jaw niemoralne i bezmyślne postępowanie dyplomacji austriackiej.

W czasie największego przesilenia, gdy wojna z Serbią mogła lada chwila wybuchnąć, wszczęto w Agram olbrzymi proces przeciwko pięćdziesięciu Serbom, oskarżonym o zdradę stanu; groziła im kara śmierci. Oskarżenie było w całości oparte na zeznaniach agenta — prowokatora.

W krótki czas później odbył się nowy proces, bardziej jeszcze upokorzający i przykry dla rządu austro-węgierskiego. Historyk Friedjung oskarżył Serbo-Kroatów, iż za namową i pomocą władz serbskich uknuły spisek przeciwko państwu. Oskarżeni, pewni swej niewinności, wszczęli we Wiedniu kroki sądowe przeciwko oszczercy, żądając, ażeby dostarczył najmniejszego bodaj dowodu.

Proces wprowadził w zakłopotanie władze austriackie, gdyż pewien serbski podsekretarz stanu udał się do Wiednia i ustalił, iż dokumenty, świadczące przeciwko jego rodakom, są fałsyfikatami, sporządzonymi przez zaprzędanych Austrii agentów, którzy działali w porozumieniu z pewnymi dyplomata-
mi austro-węgierskimi.

Polityk czeski Massaryk, który po wojnie został pierwszym Prezydentem Rzeczypospolitej Czechosłowackiej, usiłował dopomóc oskarżonym swym talentem i autorytetem. Zdołał wykazać ich zupełną niewinność i zawstydzić publicznie wszystkich tych, którzy uknuli tę wstrętną intrygę.

Czesi, Słowacy, Serbowie, Kroaci, wszyscy niemal Słowianie monarchii, czyli najliczniej reprezentowany element, coraz ostrzej zaczęli występować przeciwko rządowi wiedeńskiemu.

W Rosji, Francji, Anglii i Włoszech wszyscy interesujący się polityką międzynarodową zmuszeni byli stwierdzić, iż monarchią austro-węgierską kierują ludzie lekkomyślni, nieostrożni i niezręczni.

Austria zaczynała być przedmiotem poważnych obaw dla pokoju Europy.

Cesarz, stary już, na wszystko pozwalał swym ministrom. Odsuwał się coraz bardziej; nie przebywał już niemal zupełnie w Hofburgu, dokąd udawał się tylko na najważniejsze uroczystości. Stałe mieszkał w Schoenbrunnie.

W r. 1910 — miał wówczas osiemdziesiąt lat — cesarz zaczął zapadać na zdrowiu. W cztery lata później, wiosną r. 1914, zdrowie jego dawało powody do poważnych obaw. Gdy wywiązało się zapalenie płuc, lekarze bardzo się zaniepokoiili; następca tronu, który bawił poza stolicą, przygotował się do powrotu. Lecz niezwykle silny organizm Franciszka-Józefa jeszcze raz zwyciężył.

Cesarz widywał już tylko swoich ministrów i najwyższych dostojników dworskich, którzy mówili mu to tylko, co chcieli, pragnąc zaoszczędzić mu trosk.

Jedynie przez panią Schratt dowiadywał się Franciszek-Józef, co się działo na świecie; u niej mógł zaczerpnąć jakichś wiadomości.

Wpływ następcy tronu.

Wpływ Franciszka-Ferdynanda wzrastał. Jego mąż zaufania sztabu głównego Konrad von Hoetzendorf, człowiek przedsiębiorczy, ruchliwy, z całych sił parł do wojny z Włochami, to znów z Serbią. Zdaniem jego był to jedyny środek uchronienia monarchii przed grożącymi jej niebezpieczeństwami, które niechybnie doprowadzą do jej ruiny. Zamiast ocze-

kiwać ataku wrogów, należało — sądził — wyprzedzić ich, zgnieść ich, dopóki miało się środki po temu.

Hazardowna ta polityka, zwłaszcza jeśli szło o Włochy, nie była zgodna z linią Aerenthala, który był dość inteligentny, ażeby rozumieć, iż plany Hoetzendorfa to istne szaleństwo.

Zatarg między tymi dwoma ludźmi stał się tak gwałtowny, że cesarz musiał wdać się w tę sprawę. Zawezwawszy Hoetzendorfa, nakazał mu ostro, a nawet brutalnie, zaprzestać ataków przeciw Aerenthalowi, którego politykę wobec Włoch cesarz uważa za właściwą.

Hoetzendorf, zmuszony podać się do dymisji pod koniec r. 1911, został wskutek nalegań Franciszka Ferdynanda na nowo powołany w roku następnym. Arcyksiążę, który początkowo popierał Aerenthala, zapalał doń teraz nienawiścią. Z wrodzoną mu gwałtownością i zaciekłością występował przeciw niemu.

Gdy Aerenthal zmarł z początkiem roku 1912, Franciszek-Józef zamianował na jego miejsce byłego ambasadora w Petersburgu, hrabiego Berchtolda. Zamienił stryjek na siekierę kijek.

Aerenthal bowiem pomimo swych wad, miał jednak pewne zalety. Berchtold natomiast miał same wady.

Co uczynił, ażeby zasłużyć na tak wysokie stanowisko? „Raczył się urodzić!” To wszystko.

Wielki pan, dziedzic olbrzymiego majątku, był typem magnata austriackiego, który dzięki swemu wysokiemu urodzeniu ma dostęp do wszystkich, nawet najwyższych i najbardziej odpowiedzialnych stanowisk.

Jeśli zaś powierzone takiemu arystokracji zadania, obej-

mujące nie tylko zaszczyty, nie są należycie wykonywane, to winę przypisać trzeba tylko tym, którzy je powierzyli.

Berchtold, człowiek powierzchowny, lekkomyślny, hula-ka i sybaryta, nie miał odpowiednich kwalifikacji, ażeby kierować dyplomacją, i to w ciągu tak krytycznych lat, tuż przed wybuchem wojny.

W państwie toczyły się wówczas ostre walki narodowościowe, a poza granicami — wojny bałkańskie, ponadto austriackie czynniki kierownicze miały do rozwiązania szereg skomplikowanych problemów, jakie następczało wojownicze usposobienie Niemiec i odsuwanie się Włoch.

Berchtold ze spokojem, graniczącym z nieświadomością lawirował wśród zagadnień, których istnienia nawet nie podejrzewał. Bawił się nadal, jakby nigdy nic, nie troszcząc się zbytnio.

Przypominał jedną z postaci „Reigen” („Taniec śmierci”), słynnego utworu Artura Schitzlera, a mianowicie — pewnego hrabiego, donżuana, który, bawiąc się zdobywał aż... ulicznice.

Nie mając głębszego wykształcenia, ani kultury, Berchtold bezwiednie dał się wciągnąć w wir. Praca odstraszała go; sprawy dyplomatyczne go nudziły. Gdy tylko wymagały one skupienia uwagi, chętnie wyręczał się swymi podwładnymi. Najbardziej wpływowym z nich był hrabia Forgasch, który w r. 1909 zaaranżował cały proces w Agram, wymyślił rzekome spiski, posługując się sfałszowanymi dokumentami. Skandaliczny proces, który go ośmieszył, a zarazem pozbawił czci, wszędzie indziej byłby od razu zakończył jego karierę.

Po czteroletnim urzędowaniu w Dreźnie jako minister pełnomocny, Forgasch wrócił na Ballplatz, gdzie mając tak niedołężnego i niedbałego szefa, stał się wkrótce wszech-

mocny.

Gdy pewnego razu ambasador francuski, Dumaine żalił się przed nim, że minister tak długo zwleka z odpowiedzią, Forgasch, śmiejąc się, odpowiedział:

— Jakto? Więc pan jest na tyle naiwny, że w ważnych sprawach zwraca się pan do Berchtolda? Niech pan ze mną o tym pomówi. To jedyny sposób, żeby sprawy załatwić.

Forgascha opisuje Dumaine następująco: „Wielki, silny człowiek o bardzo niskim czole; twarz niezwykle brzydka, przy czym ta brzydota wynika nie z jakiejś niekształtności, lecz z zupełnego braku harmonii pomiędzy poszczególnymi częściami — jak gdyby rysy tej twarzy wzbraśniały się utworzyć całość.”

Forgasch, szyderca i cynik, starał się naśladować Bismarcka, udawał brutalnie szczerego i gburowatego.

A zatem, aż do wybuchu wojny, polityką zagraniczną monarchii kierowali następujący ludzie:

Stary, osłabiony monarcha, mający osiemdziesiąt kilka lat, pragnący niewątpliwie pokoju, lecz pozbawiony siły woli, niedostatecznie poinformowany o stanie rzeczy i to, w dodatku, tylko przez swych ministrów, — nie pojmujący, nie będący w stanie pojąć trudności, jakie wyłoniły się wskutek przyspieszonego biegu wypadków.

Następca tronu, człowiek niezrównoważony stale rozjątrzony niemożliwą — z powodu przepisów etykiety — sytuacją w jakiej znajdowała się jego żona, która zawładnęła nim w zupełności.

Pozatem — dygnitarze, cywilni i wojskowi, ludzie przeciętni, ograniczeni i w dodatku kłócący się z sobą.

Oto jak przedstawiał się całokształt sprawy. Wystarczy to sobie uprzytomnić, aby zrozumieć katastrofę.

Falszywe rachuby dyplomacji austriackiej.

Rosja, rozwścieczona doznany w roku 1908 poniżeniem, pragnęła, oczywiście, odwetu.

Jeden z jej agentów na Bałkanie, a mianowicie belgradzki jej przedstawiciel Hartwig, zagorzały słowianofil, przekroczwszy może nieco otrzymane instrukcje — co niejednokrotnie się zdarzało dyplomatom carskim — dążył z całych sił do pojednania się Serbów z Bułgarami, którzy mieli obłować się na Turkach. Organizował sojusz państw bałkańskich, skierowany przeciwko Turkom, których państwa te miały być domniemanymi spadkobiercami.

Gdy w r. 1911 Włochy zaatakowały Turcję w Trypolisie, państwa bałkańskie zapragnęły uczynić to samo. Serbowie Bułgarzy i Grecy zawarli przymierze polityczne i wojskowe, zmierzające do wojny z Turcją. Nawet operetkowe państwo Czarnogórskie, zaproszone w ostatniej chwili, przyłączyło się do nich.

Wszystkie te ugody doszły do skutku dzięki pomocy i pod egidą Rosji.

Dla dyplomacji austriackiej było to bardzo poważne zagadnienie. Jak należy postąpić na wypadek ewentualnych zmian na Bałkanach? Austria miała dość czasu, aby powziąć decyzję, gdyż o tych układach wiedziała oddawna, przed Francją i Niemcami, a to prawdopodobnie naskutek niedyskrecji Ferdynanda bułgarskiego, którego regułą niezmienną było siedzieć na dwóch stołkach. Stawiał jednocześnie i na Austrię i na Rosję.

Rząd wiedeński miał kilka dróg do wyboru. Mógł, rozgłaszając o tych sojuszach utrudnić, a nawet uniemożliwić ich

urzeczywistnienie; mógł również dać państwom bałkańskim do zrozumienia, że bez jego zgody nie dokona się żadnej ważnej zmiany terytorialnej na Bałkanach.

Nie uczynił jednak niczego; nie zdecydował się na żadne z tych dwu rozwiązań. Zadowolił się biernym czekaniem.

Czym tłumaczyć tego rodzaju bezczynność, która przecież wydaje się zadziwiająca? Przede wszystkim — ograniczonością czynników kierowniczych, zwłaszcza ministra Berchtolda, który zupełnie nie orientował się w sytuacji.

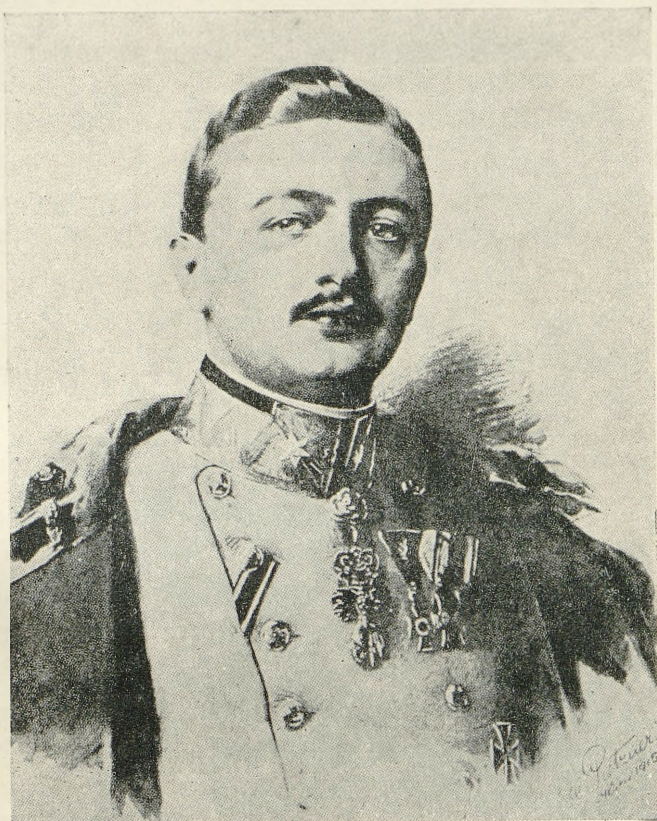
Nadto, Wilhelm II, który również nie miał zmysłu politycznego, zachęcał Austrię, ażeby nie tamowała biegu wypadków. Wojna — jego zdaniem to jakby sąd boży; niechaj więc rozstrzyga.

Cywilni i wojskowi dygnitarze austriaccy byli najzupełniej przekonani o zwycięstwie Turcji. Z tego też powodu nie spieszo im było z interwencją. Błędy ich i niepowodzenia były oparte na mylnym sądzie i niewłaściwej ocenie sił.

Austria wówczas dopiero skłonna była by interweniować, gdyby państwa bałkańskie zostały pobite — co zdaniem jej dyplomatów musiało niechybnie nastąpić — wyobrażając sobie, iż będzie zbawcą, przywracającym właściwy ład.

Pod pozorem protegowania Serbów, można będzie z łatwością nałożyć im kaganiec. Austriacy, ponieważ nienawidzili Serbów, wyobrażali sobie, że muszą oni zostać pokonani. Oślepieni tą nienawiścią, nie doceniali zalet tego małego narodu, zwłaszcza jego walorów wojskowych. Jeśli szło o wyśmiewanie się z Serbów i obrzucanie ich obelgami, Austriacy i Węgrzy współzawodniczyli z zapalem.

Zapał ten był tym dziwniejszy, iż Austriacy od wieków niemal posługiwali się wyłącznie tymi południowymi Słowia-



Cesarz Karol I.

nami dla obrony przed Turkami swych granic wojskowych, owych słynnych „kresów”.

Kroaci, bracia Serbów, byli zawsze, podobnie jak Węgrzy, najlepszymi żołnierzami monarchii.

Piękne więc marzenia austriackie zostały szybko zniweczone z powodu obrotu, jaki przybrały wypadki.

Państwa bałkańskie odniosły drugoczące zwycięstwo nad Turcją.

W Wiedniu wywołało to zdumienie i wzburzenie. Austriacy nie mogli pogodzić się z tym, że państwa bałkańskie, a zwłaszcza Serbowie, mieli takie powodzenie i zdobyli nie tylko Macedonię, lecz posunęli się aż do Adriatyku. Austria nie mogła ścierpieć, aby Serbowie tam się usadowili. Była zdecydowana, w razie potrzeby, siłą usunąć ich z nad morza. Zażądała utworzenia niezależnej Albanii, którą oczywiście zamierzała usidlić. Celem zaś podkreślenia swych wymagań, zmobilizowała znów pokazną część swej armii, a mianowicie — około siedmuset tysięcy ludzi, którzy każdej chwili gotowi byli wyruszyć. Wojowniczy Hoetzendorf, którego Franciszek-Józef odsunął w r. 1911, — ponieważ chciał wypowiedzieć wojnę Włochom, zaangażowanym wówczas w Trypolisie, — został ponownie wezwany na swe stanowisko i stanął znów na czele armii.

Chcąc bardziej jeszcze podniecić opinię przeciw Serbom, władze zrobiły huczek z okazji rzekomego zamachu na konsula austriackiego w Prizrend. Utrzymywano, że Serbowie pobili go i zelżyli. Ta zmyślona zresztą historia zakończyła się jednak wstydem dla tych, którzy ją ukartowali, — podobnie jak było z procesem w Agram.

Czemu Franciszek-Józef pozwalał na to wszystko? Nie pochwalał przecież nadmiernej, jego zdaniem, surowości, z ja-

ką traktowano Serbów. (Powiedział podobno: „Cóż w tym byłoby złego, gdyby mieli okienko na Adriatyk?). Ale powierzył kierownictwo spraw wybranym lub tolerowanym przez siebie ministrom, a oni załatwiali je możliwie najgorzej. Jak gdyby umyślnie popełniali szereg błędów i fałszywych posunięć!

Największym i najbardziej brzemiennym w konsekwencji błędem było widoczne zachęcanie Bułgarów, którzy, uważając swe zyski terytorialne w Macedonii za niewystarczające, zamierzali napaść na Serbów, swych byłych towarzyszków broni, ażeby im wyrwać część zdobyczy.

Dyplomacja austriacka uczyniła wszystko, co tylko było w jej mocy, ażeby skłonić ich do tej niemoralnej, bratobójczej, a w dodatku głupiej wojny, która mogła przecież spowodować interwencję Rumunii, pragnącej pewnych ustępstw od Bułgarii, która stała się zbyt można.

Austriacy nie przewidzieli tych następstw, chociaż łatwo było ich się domyśleć. Wprawili w ruch pionka bułgarskiego, nie troszcząc się ani przez chwilę o to, w jaki sposób odparowane będą jego posunięcia na bałkańskiej szachownicy.

Omyliwszy się już raz, jako że wierzyli w zwycięstwo Turków, popełnili nowy błąd, i to zgubny, licząc na zwycięstwo Bułgarów. Ci, zaślepieni gniewem na Serbów, zaatakowali ich jak szaleńcy wbrew wszelkim nakazom zdrowego rozsądku. Rumunia natychmiast się wmixowała. Dostali się tedy Bułgarzy w dwa ognie. Zostali pobici, poniżeni i musieli zastosować się w zupełności do rozkazów zwycięzcy. Austria doznała wraz z nimi porażki. Po pierwszym zaś niepowodzeniu nastąpiło, w parę miesięcy później, drugie. Wówczas ogarnął Austriaków gniew, który jest jak wiadomo złym doradcą.

Gdy bowiem Serbowie nie opróżnili byli jeszcze całego

terytorium albańskiego, Berchtold wysłał w nocy z 17 na 18 października istne ultimatum. Zdawało się, że wojna już wybucha.

Europa była poruszona. Rosja, Francja i Anglia wywarły natychmiast nacisk na Serbów, ażeby niezwłocznie usłuchali Austrii.

Gdyby to zależało od Berchtolda, Austria już w lipcu, zaraz po klęsce Bułgarów, byłaby wypowiedziała Serbii wojnę. Nosił się z tym zamiarem i zwierzył się swym sprzymierzeńcom, Niemcom i Włochom.

Ale Niemcy, które pod względem wojskowym nie były jeszcze gotowe, oświadczyły kategorycznie, że nie poprą Austrii. Włosi dali analogiczną odpowiedź, powołując się na paragraf trójprzymierza, na mocy którego nie byli obowiązani przyłączyć się do wojny zaczepnej. Ten sam zresztą powód przytoczyły w roku 1914, uzasadniając swoją neutralność.

Tak więc Austria, z winy swych kierowników, popełniła szereg niesłychanych błędów, które pociągnęły za sobą zupełne fiasko. Zmuszona była patrzeć bezsilnie na triumf znienawidzonego i pogardzanego narodu serbskiego. Raz jeszcze zarządził Hoetzendorf mobilizację, która trwała miesiące, zrujnowała skarb państwa i na nic się nie zdała.

Przywódcy wojskowi byli wściekli. Ciągłe kazano im dobywać szabli, a po tym z całym spokojem kazano ją chować z powrotem. Ten powtarzający się gest stał się w końcu śmieszny i poniżający. Hoetzendorf oświadczył: „Nie można wiecznie robić armii zawodu”.

Niepowodzenia dyplomatyczne miały oczywiście oddźwięk wewnątrz kraju. Nigdy jeszcze sytuacja wewnętrzna nie była tak krytyczna.

Czesi, Kroaci, Serbowie, Rumuni z Siedmiogrodu —

ośmieleni klęską, jakiej doznała monarchia, coraz bardziej utwierdzali się w nadziei gwałtownego przewrotu zewnętrznego, który by im dał możliwość zrzucenia jarzma austriackiego.

Tragiczna dekada.

Franciszek-Józef wyjechał do Ischlu 27-go czerwca 1914 roku, w przeddzień zamordowania w Sarajewie następcy tronu i jego żony. Przyspieszył nieco swój wyjazd w tym roku, ażeby nie być w stolicy, gdy wróci Franciszek-Ferdynand i uniknąć konieczności przyjęcia go.

Nie ganił wprawdzie samej podróży, lecz był bardzo niezadowolony z oficjalnego charakteru, jaki nadał jej arcyksiążę, chcąc sprawić przyjemność swej ambitnej małżonce, która była uszczęśliwiona na myśl o tryumfalnym wjeździe do Sarajewa u boku swego męża.

Wiadomość o morderstwie przyniósł cesarzowi hrabia Paar.

— Wyższa siła — zawołał Franciszek-Józef — przywróciła porządek, którego niestety nie mogłem utrzymać!

Cóż może być bardziej rewelacyjne, niż ten okrzyk cesarza? Wyraża on dokładnie, jakie uczucia żywił cesarz wobec Franciszka-Ferdynanda. Nigdy bowiem nie wybaczył on sobie, że zgodził się na jego morganatyczne małżeństwo. Myśl, że ten nieprawowity związek mógł być kiedyś zamącić porządek następstwa ciążyła mu jak wyrzut... I oto fatalność uporządkowała wszystko. Cesarz doznał ulgi. Zniknęły obawy, od których nie mógł sam się uwolnić.

Nie tylko cesarz myślał w ten sposób. Wśród kierowni-

czych czynników monarchii, arystokracji, w świecie politycznym, wielu było tego samego zdania. Zbrodnia w Sarajewie usunęła straszną niewiadomą, jaką przedstawiało wstąpienie na tron Franciszka Ferdynanda.

Pierwsza reakcja cesarza po zamachu była rozsądna; odnosił się nie chętnie do wszelkiej nagłej akcji, uważając, że śmierć jednego człowieka, nawet jeśli był on arcyksięciem, nie może i nie powinna być przyczyną wojny.

Dość szybko jednak zmienił zdanie. W kilka dni później, w liście do Wilhelma II, wspomina już o moralnej, jeśli nie prawnej, współwinie rządu belgradzkiego. Wysiłki jego ministrów, zwłaszcza Berchtolda, zaczynają wydawać owoce...

Wilhelm II zaś i odpowiedzialni politycy niemieccy nie tylko nie powstrzymywali Austriaków, ale, o ile możliwości, nakłaniali ich do działania. Cesarz niemiecki i jego ambasador w Wiedniu prą Austrię do wojny. Niebawem też osiągają swój cel.

Franciszek-Józef szybko się oswoił z myślą ekspedycji karnej przeciwko Serbii. Premier węgierski Tisza, inteligentniejszy od innych ministrów, wyczuwając niebezpieczeństwo ogólnej pożogi, usiłował przez chwilę zapobiec tym niedorzecznym zamiarom. Zwrócił się do cesarza, przedstawiając mu groźbę zbyt ostrego postępowania. Ale i jego opozycja długo nie trwała. Wkrótce zmienił zdanie. Wyrażne zachęcanie Austro-Węgier przez Niemcy wpłynęło na jego orientację. Kości były rzucone: wojna z Serbią!

Franciszek-Józef i jego ministrowie wyobrażali sobie początkowo, że będą mieli tylko do czynienia z Serbią. Zdaniem ich szło o nie wielką wyprawę, nie przedstawiającą żadnego ryzyka. Rosja nie ruszy się, poprostu z tego powodu, iż Niemcy z łatwością ją nastraszą i, podobnie jak przed pięcioma la-

ty, zmuszą ją do ustąpienia wobec faktu dokonanego. Franciszek-Józef był o tym głęboko przekonany. Tym też tłumaczy się szybkość i łatwość, z jaką dał się wciągnąć. Wykazał zupełny brak zdrowego rozsądku i informacji, oraz pobieżną, niedokładną ocenę wydarzeń.

Bez wahania podpisał zarówno wypowiedzenie wojny Serbii, jak rozkaz ogólnej mobilizacji.

Pierwsze wątpliwości i obawy opadły go dopiero, gdy się dowiedział, że cała niemal Europa będzie wmieszana w tę wojnę.

W dniu, w którym Konrad von Hoetzendorf przyszedł się pożegnać, objąwszy dowództwo nad najliczniejszą i najpotężniejszą armią, jaką kiedykolwiek zebrano pod berłem Habsburga, cesarz wyrzekł ponuro brzmiące słowa: — Jeśli monarchia ma zginąć, to przynajmniej niech zginie z honorem.

Słowa te nie zdradzają zbyt wielkiej ufności. Cesarz ze smutkiem, a nawet przygnębieniem dowiedział się, że Anglia będzie prowadzić wojnę wraz z Francją i Rosją.

Nic nie wywarło na niego tak wielkiego wrażenia, jak ta wiadomość. Miał największy szacunek dla brytyjskiej siły i sprawności.

Gdy się przekonał, że państwo to przyłączyło się do jego przeciwników, uważał to za zły znak.

„Nie jesteśmy dość silni — oświadczył podobno — aby walczyć z Anglikami.”

Franciszek Józef i wojna.

Cesarz powierzył dowództwo wojsk arcyksięciu Fryderykowi, gdyż wymagały tego tradycje i przepisy; lecz rozumiało się samo przez się, że arcyksiążę będzie się posłusznie stosował do rozkazów sztabu głównego.

Na Franciszka-Józefa spadły kolejno pierwsze wieści o strasznych rzeziach, których ofiarą padły jego wojska, — o szybkim, miażdżącym niemal posuwaniu się Rosjan, i o utracie Lwowa. Okropne te wiadomości odbierały mu otuchę.

Był jakby uwięziony w swym pałacu w Schoenbrunie; przestał wychodzić, nie pokazywał się wcale. Mieszkańcy stolicy nigdy już nie mieli sposobności widywania go.

I jakby dla wzmożenia jego trosk i niepokojów, pomiędzy sztabem głównym austriackim a niemieckim rozpoczęły się ostre spory. Niemcy, mało ceniąc swego sprzymierzeńca, przybierają władczy ton i narzucają swe kierownictwo wojskowe.

Rokowania z Włochami wiosną r. 1915 i następstwa, jakie państwa centralne gotowe są poczynić, ażeby Włochy nie przyłączyły się do wrogów, znów przysporzyły bólu Franciszkowi-Józefowi. Niemcy, bardzo hojne i rozrzutne cudzym kosztem, usilnie nalegają na Austrię, ażeby dała Włochom prowincje, których się domagają, — byle zapobiec przejściu Włoch do obozu nieprzyjacielskiego.

Sama ta myśl jednak oburza Austriaków, a już najbardziej cesarza.

Jakto? Zamiast ukarać zdradę (Włochy dopuściły się jej, gwałcąc swój obowiązek sprzymierzeńca) Niemcy chcą wynagrodzić Włochy kosztem Austrii, która ma wyrzec się terytoriów i ludności na rzecz wiarołomnego sojusznika?!

Rząd wiedeński nie mógł na to się zdobyć, a najmniej Franciszek-Józef. Nigdy, w czasie swego długiego żywota, nie poświęcił żadnej z odziedziczonych prowincyj, chyba, że był do tego zmuszony, t. j. po doznaniu klęski.

Pomimo więc starań, Niemcy nie zdołały narzucić Austrii swej woli.

Teraz uświadomił sobie Tisza, srogi, energiczny Madziar, iż lekkomyślny Berchtold nie potrafi zupełnie kierować dyplomacją austriacką. Był to fakt, który niestety Tisza odkrył nieco późno! Zażądał dymisji Berchtolda i uzyskał ją.

Nie chcąc sam objąć tego stanowiska, które Franciszek-Józef byłby mu chętnie powierzył, postarał się, ażeby je otrzymał jeden z jego zaufanych, Burian.

Spóźniona ta zmiana nie spowodowała żadnej poprawy. Zdawało się, że tragiczna jakaś fatalność kieruje odtąd wypadkami ku nieuchronnemu rozwiązaniu.

Jedynie natychmiastowe i ważne ustępstwa zdołałyby może powstrzymać Włochy. Ale cesarz i jego ministrowie nie mogli zdobyć się na takie poświęcenie.

Włochy przyłączyły się do Ententy. Austriacy dowiedzieli się o tym ze zdumieniem i wściekłością — tak, jakby to nie było do przewidzenia.

Manifest Franciszka-Józefa do jego ludów rozpoczynał się zdaniem, ujawniającym stan jego umysłu:

„Włochy popełniły wobec swych dwu sprzymierzeńców zdradę, jakiej nie zna historia.”

Obelgi te oczywiście nie zmieniły i w niczym nie mogły zmienić faktów.

Powodzenie wielkiej ofensywy przeciwko Rosjanom z wiosną r. 1915 i załamanie się frontu nieprzyjacielskiego po-

wodowało w pewnej mierze to, co Austria zwała zdradą Włoch. Ale te sukcesy wojskowe nie są ostateczne.

Zima 1915—1916 była bardzo ciężka; wszędzie niemal, a głównie w stolicy, zaczyna się odczuwać brak środków żywności.

Cesarz, prócz troski o armię, ma również poważne kłopoty z polityką wewnętrzną. Sztab główny domaga się znacznie surowszej polityki w stosunku do Czechów. Zamierzano wsząć proces o zdradę stanu przeciwko jednemu z najbardziej znanych polityków czeskich, Kramarzowi.

Jakkolwiek otoczenie cesarza starało się ukryć przed nim najgorsze wiadomości, dowiedział się on z wielkim bólem o dezercjach popełnianych na wielką skalę przez żołnierzy czeskich, którzy całymi batalionami, a nawet pułkami przechodzili na stronę Rosjan. Armia jest podminowana przez walkę narodowości.

W październiku r. 1916 pewien socjalista zabija w jednej z restauracyj wiedeńskich prezesa rady ministrów, Stürgkha. Cesarz ma jeszcze dość siły, ażeby zamianować na jego miejsce Koerbera, swego starego zaufanego.

Śmierć.

W ten sposób na wypełnianiu obowiązków, upływa posępne, szare życie cesarza.

Często przyjmował następcę tronu, syna swego bratanka, arcyksięcia Karola, dla którego czuje wielką sympatię. Kilka lat wcześniej był na jego ślubie z księżniczką Zytą, córką księcia

cia Parmy. Od tego czasu doznawał jedynie radości ze strony młodej pary, co było dla niego czymś zupełnie nowym.

Siły zaczynają go opuszczać. 11-go listopada 1916, akurat dwa lata przed zawieszeniem broni, oficjalny komunikat doniósł, że cesarz jest cierpiący, lecz mimo to wypełnia w dalszym ciągu wszystkie swoje obowiązki.

Nie wypełniał ich już długo. W tydzień później, 21-go listopada, o godzinie 9.20 wieczorem, zmarł na zapalenie płuc — zwykłą i stosunkowo łagodną śmierć starców.

Następca jego, cesarz Karol, przybył wraz z żoną do jego łoża, owego legendarnego łoża z żelaza. Natychmiast też wezwali oni do umierającego wierną, starą jego przyjaciółkę, panią Schratt, której cesarz od kilku dni nie widział, pragnąc jej oszczędzić — jak mówił — widoku jego konania.

Pogrzeb był skromny i wzruszający. Honory oddawał tylko jeden pułk w polowym umundurowaniu. Niezliczone tłumy wypełniły place i ulice w okół katedry św. Stefana; nawet dachy były pełne ludzi. Panowała nastrojowa cisza; ani jednego gestu czy okrzyku. Ludność zdawała się być tak niechęśliwa, że nie mogła się zdobyć na żaden wyraz uczucia. Odnosiła się do śmierci cesarza z jakąś posępną obojętnością.

Jeden z najstarszych i najwierniejszych sług Franciszka-Józefa, adiutant hrabia Paar, wyraził się do jednego ze swych przyjaciół, gdy tylko cesarz zamknął oczy: „Przed tobą życie jeszcze otwarte. Ja od dziś jestem człowiekiem umarłym.” Był na pogrzebie. Drugiego grudnia po wysłuchaniu uroczystej mszy z okazji sześćdziesięcioośmioletniej rocznicy wstąpienia Franciszka-Józefa na tron, hrabia Paar umarł — tak, jakby nie miał po co chodzić po tym świecie, skoro skończyła się już jego służba.

ZAKOŃCZENIE.

SĄD O FRANCISZKU JÓZEFIE.

Wielką tragedią tego panowania było to, że trwało ono tak długo. Są kraje i epoki, w których trwałość taka stanowi siłę, jak na przykład Anglia za królowej Wiktorii, gdy przez długi okres czasu panuje spokój, wewnątrz i nazewnątrz, gdy zaznacza się nieprzerwany rozwój dobrobytu.

Ale Franciszek-Józef wstąpił na tron w chwili rewolucji. W całej niemal Europie buntowały się narody przeciwko swym królom. Przede wszystkim musiał zlikwidować to przesilenie i zdobyć z powrotem część swego cesarstwa. Nie przyszło mu to bez trudu. Chcąc poskromić bunt Węgrów, musiał uciec się do pomocy cara.

Po usunięciu tego niebezpieczeństwa, walczył z coraz większymi trudnościami wewnętrznymi. „Wewnętrzny wróg”, który też w końcu zniszczył jego cesarstwo, początkowo był ledwo widoczny, stopniowo tylko się ujawniał. W państwie tak różnorodnym, jak Austria, zasada narodowościowa była pierwiastkiem rozkładu. W miarę, jak liczne i różnorodne jego ludy: Węgrzy, Czesi, Słowianie południowi, Włosi, Rumuni, uświadamiali sobie swe aspiracje i prawa,

wydawało się niemożliwością kazać im żyć spokojnie, normalnie, pod jednym wspólnym berłem.

Sily, które je rozdzielały są potężniejsze od tych, które mogłyby je zjednoczyć i które, zresztą, ograniczały się do wspólnego mianownika, dynastii. Nadto, dynastia, na miejsce rządu absolutystycznego, ustanowić musiała rząd mniej lub bardziej konstytucyjny. Trudności zwiększały się, sytuacja była bez wyjścia. Radzono sobie jak się dało, stosując politykę „z dnia na dzień”, uciekając się zawsze do kompromisu, który był kwintesencją wszelkiej polityki austriackiej. Trzeba było, chcąc pokonać wszystkie te przeszkody, władcy niezwykle inteligentnego, giętkiego, a zarazem bardzo energicznego, obdarzonego zaletami różnorodnymi i niemal sprzecznymi ze sobą.

Franciszek-Józef nie mógł być takim władcą — i stąd dramat polityczny jego panowania i życia.

Urodzony w roku 1830, wzrastał i był wychowywany w czasie triumfalnej reakcji, gdy głos miał Metternich, przeciwko ideom i zasadom Rewolucji francuskiej i epoki napoleońskiej.

Nie nasuwało się wtedy jeszcze zagadnienie narodowości, które miało stać się tak palącym problemem. Odpowiedzialni politycy austriaccy nie wiedzieli wcale, zdawało się, o jego istnieniu. Jakże więc Franciszek-Józef, wstępując na tron jako osiemnastoletni młodzieniec, mógł zdawać sobie sprawę z powagi tego zagadnienia? Słowo „rasa” nie miało dla niego znaczenia. „Ludy” jego państwa, jak je zawsze nazywał, aż do końca swego życia, byli to wszyscy jego poddani, złączeni z nim potężnymi węzłami „dynastycznego lojalizmu”.

Przez całe życie był ofiarą tej początkowej omyłki, która

tłumaczy piętrzące się trudności wewnętrzne i klęski Austrii nazewnątrz.

W ten sposób, aż do końca obserwować można równoległe działanie dwóch sił niszczących — jedną wewnątrz, drugą zewnątrz.

Austria więc narażona jest na dwa niebezpieczeństwa, które też najczęściej idą w parze.

Ewolucja narodów, włoskiego i niemieckiego, pragnących dokonać swego zjednoczenia, zmierza pod wpływem nieprzepartej siły do wydarcia Austrii — na rzecz Włoch — ziemi zamieszkałej przez ludność włoską, a na rzecz Prus — hegemonii politycznej i moralnej, jaką miała w Niemczech.

Aby uniknąć tych niebezpieczeństw, sternicy Austrii musieliby być zręczniejsi, energiczniejsi i mieć więcej szczęścia. Ponieważ tego wszystkiego nie było, los, nie napotykając przeszkód, szedł swoją koleją.

Austria została wypędzona najpierw z Włoch, a po tym z Niemiec. Te klęski militarne zmusiły ją do skupienia się; i to tłumaczy, jeśli nie usprawiedliwia, wielkie ustępstwa poczynione Węgrom, tak wielkie, iż sprawiają wrażenie istnej kapitulacji. Wewnątrz monarchii nastąpiła całkowita reorganizacja.

Franciszek-Józef zgodził się na nią, ściślej: nie sprzeciwił się jej — ze „względów okolicznościowych”, a mianowicie — chcąc jak najszybciej „wojny odwetowej” przeciwko zwycięskim Prusom, co jego zdaniem zmuszało go do ustąpienia Węgrom, bodaj za cenę wielkich ofiar.

Ale, po dokonaniu tych ustępstw, nie można już było ich znieść ani cofnąć, ani nawet zmniejszyć.

„System dualistyczny”, dziwna ta, paradoksalna organizacja państwowa, niezrozumiała niemal dla obcych, przyjął

się na długo, — zdawało się, że na zawsze. Pociągnął za sobą szereg następstw zgubnych. Monarchia nie mogła ustanowić rządu liberalnego, federalistycznego, któryby zapewnił najliczniej reprezentowanym narodom: Czechom, południowym Słowianom, Rumunom, te same swobody i prawa, jakie posiadali Węgrzy.

Uparci i zachłanni Madziarzy stanowczo odmawiali wszelkich ustępstw tym, którzy słusznie ich się domagali, uniemożliwiali w ten sposób życie większości ludów monarchii.

Przedstawiciele tych mniejszości, nie mogąc niczego spodziewać się „z wewnątrz”, z konieczności zwracali się coraz bardziej „nazewnątrz”. Dlatego też każda wojna, każda klęska mogła spowodować katastrofalny wstrząs wewnętrzny.

Roztropność i mądrość nakazywały zatem czynnikom kierowniczym prowadzić z sąsiednimi mocarstwami politykę umiarkowaną, ugodową i uparcie pokojową.

Zdawało się, że Franciszek-Józef doskonale to rozumie. Najszczęśliwszy okres jego panowania rozpoczyna się od okupacji Bośni i Hercegowiny po kongresie berlińskim, i trwa aż do przyłączenia obu tych prowincyj w r. 1908. W ciągu owych lat trzydziestu, w Austrii podobnie jak w całej Europie panuje pokój, zaznaczający się falą dobrobytu, stałym wzrostem bogactw.

Z Rosją utrzymywała Austria stosunki przyjazne, co było dla niej najważniejsze. Odkąd bowiem skierowała swoją ekspansję na Bałkany, stosunki jej z Rosją stanowiły najważniejszy, najdelikatniejszy problem dyplomatyczny.

Tylko, że Franciszek-Józef ma bolesne przejścia: samobójstwo syna, zamordowanie żony, a wkrótce po tym — meżalinians bratanka, Franciszka-Ferdynanda.

Tak ciężko doświadczony przez los, cesarz skupił się, stał się jeszcze bardziej ostrożny przezorny, niż dawniej.

* * *

Skąd więc ta wyraźna zmiana, w parę lat po wojnie rosyjsko-japońskiej, w metodach jego dyplomacji?

Na miejsce dawnych cywilnych i wojskowych dygnitarzy zamianował cesarz ludzi nowych. Byli oni ożywieni innym duchem. Pragnęli zdawało się, kroczenia śmiało naprzód; uważali dawne rządy za zbyt bierne i ospałe. Lecz wielką lekkomyślnością było zmuszać do tego rodzaju wysiłków zachwiane, rozpadające się państwo, które niby stary mur trzymało się jeszcze tylko dlatego, że nikt nie śmiał go tknąć.

Franciszek-Józef, wskutek starczej swej słabości i zaślepienia, pozostawił swobodę działania nowym swym ministrom; wraz z nimi więc ponosi odpowiedzialność, postępując równie nieostrożnie jak oni.

Błędy polityki austriackiej wynikały głównie z powierzchownej, bardzo niedokładnej znajomości Europy, zwłaszcza Rosji. Aerenthal, a następnie Berchtold, najbardziej ograniczony i lekkomyślny ze wszystkich, przedstawiali cesarzowi to państwo jako zbyt osłabione, aby energicznie zareagować na politykę bałkańską Austrii. Mylili się, i podobnie wprowadzili w błąd cesarza co do Włoch, Anglii i Francji.

Z zadziwiającą bez troską, własnymi rękami, wzniciła Austria pożar, nie myśląc o tym, że się łatwo rozszerzy. Niebawem obiał całą Europę. Z lekkim sercem wywołała „małą wojnę” przeciwko Serbii, nie przypuszczając ani na chwilę, że wojna ta wywoła wojnę światową.

Zdumiewająca jest krótkowzroczność jej przywódców,

zarówno Węgrów jak Austriaków. Jest to punkt, na który powinno się położyć nacisk.

Gdy w kilka dni po wypowiedzeniu wojny Serbii, rząd austriacki stwierdził, że cała niemal Europa znajduje się pod bronią, że Anglia wmieszała się do konfliktu, — był zmieszany, przerażony... Nie pojmował, co się stało... Byłby najchętniej zawołał: „Nie chcielibyśmy tego!”

Najbardziej dziwił się niewątpliwie sam Franciszek-Józef. Nieświadomie włożył palec w tryby, w które jego cesarstwo, wciągnięte zostało bez reszty, zanim wyszło zmiażdżone.

W istocie, zagadnienia, które od dość dawna miał do rozwiązania, przewyższały znacznie jego inteligencję.



Jeśli się chce sprawiedliwie sądzić Franciszka-Józefa, trzeba oddzielnie rozpatrzyć jego charakter i oddzielnie umysł.

Miał bardzo rozwinięte poczucie obowiązku, wiernie i punktualnie spełniał swe zadania i wysoko cenił swój zawód. Żaden monarcha nie brał swego zawodu bardziej serio, niż Franciszek-Józef.

Miał wrodzone zamiłowanie do porządku i karności, doskonałe maniery, naturalną godność. Świadomość należenia do najstarszej i najznakomitszej w Europie dynastii łączyła się u niego z uprzejmym obejściem, skromnym trybem życia, brakiem wszelkiej próżności czy chęci popisywania się.

Umysł jego nie wyrastał niestety ponad przeciętność, był raczej poniżej, aniżeli powyżej tej normy. Do należytego zaś spełnienia jego zadania w tak trudnych warunkach trzeba było wyjątkowych zdolności. Nie umiał szybko się zorientować w kwestiach skomplikowanych, pojmować akcyj i reakcyj,

przewidywać następstw dalekich. Nie miał w sobie nic z dobrego szachisty, który, ilekroć czyni posunięcie, oblicza dokładnie, jakie ono może wywołać oddźwięk. Jego widzenie było ciasne, ograniczone.

Potwierdza to wiele przykładów jego działania. W czasie wojny krymskiej — aby tylko jeden przytoczyć — nie domyślał się wcale, jak zgubne następstwa pociągnie za sobą jego ustosunkowanie do Rosji. Brak zaś inteligencji, jakiego wtedy dał dowód, łączył się u niego z niewdzięcznością i niewątpliwą oschłością.

Żałoby i cierpienia spływały po nim, nie wzruszając go głęboko. Był psychicznie zamknięty w potrójnej skorupie. Z nielicznymi wyjątkami, nie żywił wielkiej wdzięczności dla tych, którzy mu służyli. Przeciwnie, zdawało się, że szybko o nich zapomina.

Pojęcie, jakie sobie stworzył o swym obowiązku i sposób, w jaki sobie ułożył życie i pracę, zdradzają brak zdrowego sądu i bystrości umysłu. Wszystko było poświęcone drobiazgowemu rozwijaniu czysto biurokratycznej działalności, machinalnej, stawiającej na jednym planie całość i szczegóły, sprawy najważniejsze i rzeczy uboczne. W miarę, jak jego panowanie przedłużało się, stawał się istnym automatem.

Popelnivszy wielki, brzemienny w konsekwencje, błąd — że w czasie wojny krymskiej poróżnił się z Rosją, — Franciszek-Józef zrobił nie mniejsze jeśli nie jeszcze większe głupstwa, ulegając sugestiom Bismarcka, który zdołał uczynić z Austro-Węgier poprostu satelitę sprusaczonych Niemiec.

Nierozważny pęd na Wschód, który naraził Austrię na różne komplikacje i spory bałkańskie, — ani też zacieśniający się coraz bardziej sojusz z Niemcami, — nie mógł służyć istotnym interesom monarchii naddunajskiej.

Prawdziwy sojusz może łączyć jedynie narody o siłach mniej więcej równych. Austria, będąc częściowo tylko państwem niemieckim, nie powinna była nierozważnie mieszać się w odwieczny konflikt między Słowianami a Germanami.

Zadanie to znacznie przewyższało jej siły.

W zatargu tym miała więcej do stracenia, aniżeli do zyskania.

W stolicy i w kraju, w którym chęć zabaw i łatwego życia stała się, zwłaszcza dla dygnitarzy najważniejszą kwestią, zaznaczył się wielki brak przenikliwości, zdrowego sądu, odrętwienie umysłów i charakterów.

W tego rodzaju letarg umysłowy popadli w końcu kierownicy i wraz z nimi cała monarchia.

Pewien Francuz, podróżujący po Austrii na początku ubiegłego stulecia, zrobił wnikliwą uwagę: „Należałoby — mówił — wypisać na słupach przydrożnych zdanie następujące:

„Tu panuje bezmyślność!”

K O N I E C.



33454

/2